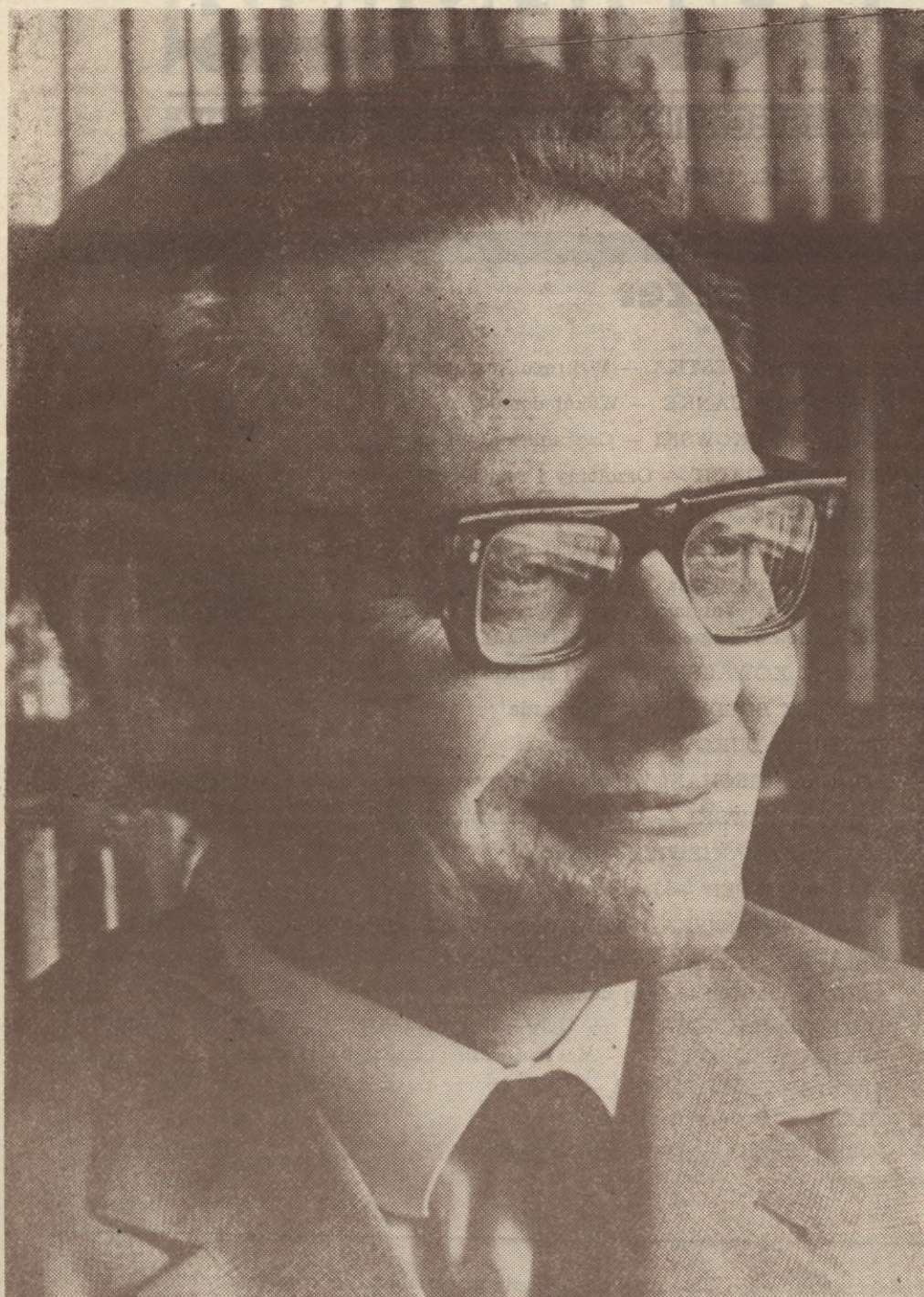


Wypożyczalnia
Czytelnia
Czasopism
Publicznych
w Starym
Cmentarzu

POMERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



15 listopada mija
rok od śmierci
Franciszka
Fenikowskiego.
W następnym
numerze
drukujemy
fragmenty jego
wspomnień
i nieznane dotąd
wiersze

NR 10

PAŹDZIERNIK 1983



10'83

POMIERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK ZAŁ. 1963

Nr 10(126)

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Zbigniew Gach
Stanisław Janke
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)
Nina Rasz
Edmund Szczesiak

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Józef Borzyszkowski
Konrad Ciechanowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Krystyna Puzdrowska
Jerzy Samp

Prenumerata na rok 1984:
roczna 480 zł, półroczna
240 zł, kwartalna 120 zł.
Egzemplarze z 1983 r. po
30 zł.

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10
80-828 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO
Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

Zarząd Główny Zrzeszenia
Kaszubsko-Pomorskiego

INDEKS 37193

Druk.: Zakłady Graficzne
w Gdańsku
Zam. 1239 — 4000 egz. D-7

PL ISSN 0238-9045

W numerze:

- 1 STANISŁAW PESTKA — W kręgu kaszubskiego kaduceusza
- 5 STANISŁAW JANKE — Wokół domu
- 7 JÓZEF MIĄSKOWSKI — Czekanie na wielką rybę
- 10 ZBIGNIEW GACH — Oszolomy i rezydenci
- 16 EDMUND SZCZESIAK — Za siódmą górą
- 20 ZYGFRYD PRÓSZYŃSKI — List otwarty do pana Jana Piepki
- 21 Osady i oczekiwania (wypowiedzi Andrzeja Arendta, Jerzego Barthelke, Edwarda Brezy, Janusza Kowalskiego, Heleny Kotłowskiej, Bolesława Machuta, Marka Zelewskiego i Jerzego Tredera)
- 25 JANUSZ KOWALSKI — Kolej na Kokoszki
- 29 TADEUSZ BOLDUAN — Mitomania
- 30 ZYGMUNT BUKOWSKI — Wiersze
- 33 KONRAD CIECHANOWSKI — Krzywe zwierciadło we wspomnieniach
- 35 JÓZEF MILEWSKI — Werbista o. Bernard Bona
- 37 ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ — Kulig
- 40 ANTONI PIEPER — Jak powstała półwyspa Éi?
- 41 IRENA OSTROWSKA-WNUKOWA — Chciało się dotykać ścian
- 43 Wpłaty na „Fundusz Pomeranii”; Kleka
- 44 ANNA ŁAJMING — Mój dom (20)
- 48 TADEUSZ SADKOWSKI — Ochrona drewnianych kościołów na Kaszubach
- 52 HENRYK SKOROWSKI — Maszopi czuli potrzebę bycia razem
- 57 KREBAN Z MILACHOWA — Cziěj gburzē z Gnieżdżewa
- 58 MIĄSK — Powtórka z historii
- 58 JÓZEF LIPSKI — Życie wypełnione muzyką
- 60 Kleka

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych.

W kręgu kaszubskiego kaduceusza

Stanisław Pestka

Być może nie jest to najświetniejsza scena w powieści Aleskandra Majkowskiego pt. „Pomorzanie”, ale warto do niej nawiązać, gdyż stanowi cenny przyczynek do charakterystyki młodego doktora Lubińskiego z Gdańska. Ten niekonwencjonalnie myślący inteligent jest przywódcą młodego ruchu pomorskiego. Ujawnia się to w scenie z życia zaprzyjaźnionej rodziny Żółkowskich, reprezentujących miejscową inteligencję, podczas spotkania Lubińskiego z ich krewniaczką Heleną. Młoda dziewczyna, która przez pewien czas przebywała w domu rodziców w Księstwie (Poznań), zetknęła się z innymi tradycjami społecznego działania, z nieco innym pojmowaniem roli inteligencji. Jeżeli ktoś jak Lubiński broniąc rodzimych, kaszubskich wartości zagrożonych germanizacją, usiłował kroczyć uporczywie własną drogą, to narażał się wówczas na niezbyt pochlebne oceny i ryczałtowe cenzurki.

Pozostając pod wpływem opinii z zewnątrz Helena spodziewała się, że w osobie Lubińskiego ujrzy nieledwie demona, Katylinę, odrażającą postać naczyną piętnem zła, nietolerancji i snobizmu. Tymczasem już pierwsze chwile spędzone w towarzystwie młodego inteligenta z Gdańska zmusiły ją do zrewidowania krzywdzącej opinii o nim. Prawdziwe cechy osobowości Lubińskiego można by ująć krótko: stoicki spokój, ujmujący sposób bycia, roztropność, spora wiedza historyczna, głęboki związek psychiczny z własnym kaszubskim środowiskiem, pasja działania. Tak więc prawdziwy obraz Lubińskiego pozostawał w sprzeczności z utartym wyobrażeniem pomorskiego inteligenta skwapliwie dyskredytowanego przez niektórych zawistnych konkurentów.

Lubiński — powieściowy odpowiednik dra Aleksandra Majkowskiego — nie był wyjątkiem. Nosićielami podobnych cech charakterologicznych byli też pozostali Młodokaszubi, ich bliscy współpracownicy, wielu przedstawicieli kaszubskiej inteligencji fachowej. Nie znaczący to wcale, iż natura szczęśliwie poskapiała im rozmaitych wad i przywar. Bystrym okiem dostrzegali je przede wszystkim reprezentanci sąsiednich nacji, mieszkańcy innych regionów kraju. To oni są autorami pierwszych uogólnień i stereotypów odnoszących się do właściwości charakterologicznych swoich sąsiadów, w tym przypadku mieszkańców Pomorza. Zresztą — jest to prawdziwość uniwersalna: poznanie siebie, określenie własnego oblicza dokonuje się między innymi przez ocenianie obcych. Tak powstają stereotypy, które mają to do siebie, że najpierw definiujemy, potem dopiero obserwujemy. Jednym z nich jest antypatia, nie wia-

domo często skąd biorąca swoją siłę napędową. W „Dzienniku Goncourtów” jest kapitalne zdanie: „Antypatie są najpierw poruszeniem, potem dopiero zobaczeniem”. Czyli, że odruch emocjonalny do tego stopnia zabarwia in plus albo in minus kliszę, przez którą patrzymy na tego drugiego, że w wielu przypadkach o obiektywizmie nie ma mowy. Niestety, tę samą metodę stosują w praktyce sami oceniający swoich. Na tym tle rodzą się nałogowe kategorie myślowe, wzajemnie uzupełniające się lub wykluczające sądy, pozornie jasne i przejrzyste opinie, a w istocie zaciemniające sedno sprawy.

Próby wniesienia ładu do tego kłębowiska domniemań, najróżniejszych cenzurek, panegiryków, hymnów pochwalnych ku pokrzepieniu serc i ciętych charakterystyk, są tym trudniejsze, im większą rolę odgrywa wartościowanie cech inteligencji kaszubsko-pomorskiej, szukające osłony w wiedzy potocznej. Sięgnijmy pamięcią do czasów Floriana Ceynowy. Niby światło punktowego reflektora ściagała go wszędybylska opinia, tropiąca to, co było w tej postaci i co nie było w zgodzie ze smakiem epoki. A ponieważ Ceynowa uparcie podążał własną drogą, drogą, która prowadziła do zachowania lokalnej tożsamości przez ożywienie etnicznej tradycji, przeto ubrano go w strój oryginała, dziwnego apostoła, literata nie pojętego przez kulturalny ogół, samotnika z Bukowca, twórcy ryzykownych eksperymentów. Nie to jest zapewne najistotniejsze, że powstaje konflikt między silną inteligentną jednostką a społeczeństwem. Nawiasem mówiąc istnienie tego konfliktu za życia wybitnej indywidualności nie musi być wcale świadectwem przegranej programu, o którego urzeczywistnienie zabiegał jego twórca. Bywa tak, że znajduje on realizatorów wśród „późnych wnuków”.

Kiedy określone cele, jakie stawiają sobie środowiska inteligencji zostają osiągnięte, albo też pozostają poza zasięgiem możliwości, wszczynają się zawsze spór o źródła sukcesów i porażek. Co do nich doprowadziło? Jakimi środkami i strategią działania okazały się właściwe, dostosowane do aktualnej sytuacji, a jakie nie zdały egzaminu? Dużą wagę przypisuje się nastrojom społecznym, tradycjom kulturalnym, sprzecznościom interesów ekonomicznych itd. Najbardziej nawet chłodne, rzeczowe i bezstronne analizy czynników obiektywnych nie tłumaczą jeszcze wszystkiego. Poważnego potraktowania wymaga także czynnik subiektywny ujętym w psychologii indywidualnej i zbiorowej. Pospolicie bowiem obserwowane fakty przekonują, że w zbliżonych wa-

runkach, dysponując porównywalnie podobnymi środkami materialnymi i organizacyjnymi różne zespoły kierownicze dopracowują się odmiennych, niekiedy krańcowo różnych rezultatów. W tej sytuacji niemalże wszyscy czują się powołani do wystawiania ujemnych cenzurek bądź laurek. Tamtym się udało, bo potrafili wykształcić pożądane cechy osobowości. Tamci niewiele osiągnęli, gdyż nie zdołali czy nie chcieli dopasować charakteru swej umysłowości do zadań chwili bieżącej.

Terenem szczególnie interesującej dla nas obserwacji jest historia ruchu kaszubskiego od jego zarania do czasów dzisiejszych oraz działalność inteligencji pomorskiej w życiu zawodowym i publicznym. Znałe są drobiazgowo opisy cech i walorów, mniej czy bardziej trwale związanych z kaszubskością i pomorską. Cnoty i wady naszego inteligenta układają się w długi ciąg epitetów i pozytywnych wyróżników. Obejmuje on między innymi takie kwalifikacje i właściwości jak silnie rozwinięte poczucie obowiązku, kult fachowości, solidność, skromność, krytycyzm, zmysł gospodarności idący w parze z pracowitością, dyscyplinę wewnętrzną, uczulenie na prawdę i prawo, aktywność w sferze kultury, zdolność do poświęceń itd.

W charakterze rodzimej inteligencji nigdy nie miała brawura, szwależerstwo, romantyczny idealizm, samochwalstwo i działanie na „błysk”, czyli na pokaz, zatracanie się w szumnych hasłach i deklaracjach bez pokrycia, lekceważenie hierarchii wartości, rozrzutność, skrajna nietolerancja. Skoro aż tyle pięknych przymiotów zdobi warstwę inteligenta, to na usta ciśnie się zawołanie: czapki z głów, proszę państwa! Godną oprawę dla tego jasnego wizerunku mogą stanowić tylko złote ramki. Niestety, złotej oprawy nie będzie, bo w tymże wizerunku muszą zmieścić się również ciemniejsze, posępne barwy. Nie szczędzą ich sobie sami Kaszubi, Pomorzacy dalecy od samozachwytów, zdolni do surowych samocen, bez ulegania jakiemuś samobiczownictwu czy jego odwrotności, megalomaniom. Zarówno w przeszłości, jak i współcześnie wśród tutejszej inteligencji była wyraźna świadomość własnych słabości, ograniczeń i przywar. W pamięci tych, którym przypadło w udziale przewodzenie tkwiącym niczym drzazga wspomnienia zgubnego oddziaływania dość licznych wad i niedoskonałości.

Lektura prasy kaszubskiej, poważniejszych publikacji na tematy pomorskie, jak również osobiste przeżycia i odczucia dostarczają obfitego materiału, pozwalającego na skonkretyzowanie całego szeregu niechlubnych przymiotów. Według niektórych czołowe miejsce zajmuje tradycjonalizm, będący synonimem postawy nieelastycznej. Ażeby wykluczyć jakiegokolwiek nieporozumienia trzeba powiedzieć, że błędem jest łączenie tradycjonalizmu z wiernością tradycji, z autentycznym ruchem regionalnym. Z tradycjonalizmem idzie w parze pewna zaściankowość myślenia, zacieśniająca horyzont spraw ważnych do partykularnych wymiarów. Częstym zjawiskiem jest też przesadna ostrożność w podejmowaniu inicjatyw i asymilowaniu cudzych, cennych doświadczeń. Znamienne jest też nieufne, czasami tylko w pierwszych kontaktach, traktowanie obcych, przyjmowanie postawy obronnej, co można wytłumaczyć różnymi zaszłością historycznymi. Przytoczę tu refleksję pisarza, Jana Drzeżdżona: „to, co Kaszubów najbardziej boli: niemożność wydobycia się ze skorupy, w którą zostali wepchnięci i częściowo sami się zaszyli w swojej samoobronie”. Wniósłbym tutaj jednak małą poprawkę: z tego zaskorupienia, typowego bardziej dla inteligencji starszej daty, wielu współczesnym inteligentom kaszubsko-pomorskim udało się wydobyć.

Pod wpływem przeobrażeń społeczno-gospodarczych i postępów edukacji oraz działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego znika podłoże, na którym rodziły się rozmaite kompleksy, częściej będące wyrazem braków urojonych niż rzeczywistych. Chyba każdy z nas miał okazję zetknąć się z wykształconymi ludźmi, których gnębił kompleks na tle własnego rodowodu. Normalnie należałoby oczekiwać może nie tyle olśnienia swoją genealogią, co

odruchowej potrzeby uczuciowych związków z lokalną społecznością. Tymczasem sam bywałem świadkiem jak młodzi absolwenci szkół wyższych, pochodzący z Kaszubi i Kociewia noszący piękne, wpisane w historię regionu nazwiska, nerwowo odżegnywali się od swego zaplecza etnicznego. Niestety, również u starszego pokolenia inteligentów takie postawy bynajmniej nie należą do rzadkości. Pamiętajmy, że postawa jest to stan gotowości do działania. Działania jeśli nie przeciwnego, to obojętnego wobec tradycji środowiska, z którego poszczególne jednostki się wywodzą.

Czym tłumaczyć tę „ucieczkę” od własnych korzeni? O takim nastawieniu przeważnie decyduje kompleks. Po prostu ten i ów przyjmuje jako dobrą monetę obiegowy slogan, że kaszubszczyzna znakomicie utrudnia dostęp do kultury powszechnej. A utrudnia ponoć dlatego, iż w swej warstwie językowej, obyczajowej i kulturalnej jest chropawa, nieco siernieżna i chłopska. Argument, że pod chropowatą, nieoszlifowaną powłoką kryje się coś, co ma wartość diamentu, zupełnie nie dociera do uprzedzonych. Oni uparcie tęsknią za „czymś lepszym”, co przychodzi z zewnątrz. Stąd już tylko krok do poczucia własnej małowartościowości (my jesteśmy *minorum gentium*). Na to tylko czekają rozmaici kombinatory i gracze usiłujący dobrze się urządzić kosztem innych, udowadniający, że my jesteśmy lepsi od tych, którzy wywodzą się z regionu.

Wielu tego typu inteligentów, niekiedy z kategorii tzw. szpagatowych, dotkliwie odczuwa przykre rozdwojenie. Wyrzekając się przynależności do wspólnoty ukształtowanej przez wielowiekową tradycję skazuje się na rozterkę. Nie są naprawdę ani tu ani tam. Rychło też spostrzegają, że oderwanie się od swoich nie daje im automatycznie szerokich możliwości tworzenia odrębnych walorów.

Jest w tym na pewno jakiś tragikizm życiowy. Bywa on tym większy im silniej daje znać o sobie charakterystyczne, także dla licznych przedstawicieli naszej inteligencji, wprost chorobliwe poczucie wstydlivosti. Jak wiadomo podłożem wstydu jest odkrycie czegoś, co poniża godność osobistą albo obnażenie czegoś, co stanowi nietykalną część naszego ja. Zdolność wstydu jest zaletą, oznaką moralnej wrażliwości. Kiedy jednak w zetknięciu z obcymi zbyt duża ilość rzeczy wywołuje zawstydzenie, i to takich, które normalnie nie powinny zawstydzają, jednostka czy określona zbiorowość rozbraja się psychicznie, traci tak potrzebną w życiu pewność siebie i swoich racji. W konsekwencji następuje wycofanie się we własny, prywatny świat, spotęgowanie skrytości. Ci, którzy od lat działają w Zrzeszeniu, a więc na scenie publicznej, dobrze wiedzą jak trudno przełamywać opory inteligentów zapraszanych do uczestnictwa w ruchu społeczno-kulturalnym. Wejście w inny, bogatszy świat budzi u nich nieuzasadniony lęk. Przyczynę sprawczą tego zaskorupienia upatrywałbym w swoistej nadwrażliwości i obsesji wstydlivosti. Ów fatalizm usposobienia stanowi chyba przekonujące wyjaśnienie dlaczego wśród naszej inteligencji spotykamy sporo ludzi przesadnie skromnych, uważających się za szarych, małych, skrzydzonych przez los.

Są inne wady i przewiny inteligencje może nie tak groźne w skutkach, ale które powodują, że zwykłe zadania, normalne problemy urastają do ścieżki herkulesowych przedsięwzięć. Należy tu wymienić drażliwość na punkcie własnej opinii. Nierzadko się zdarza, iż adwersarze kruszą kopie do upadłego, byleby postawić na swoim. Spór o pisownię na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych stanowi klasyczny przykład zacietrzewienia i niechęci do kompromisowych rozwiązań. Być może ta cecha, wykazująca dziś tendencję zanikową, jest pogłosem ongiś tak rozpowszechnionej na Kaszubach procesomanii. Gdy czytelnik zagłębia się w dzieje różnych stowarzyszeń i studiuje biografie indywidualności pomorskich większego formatu odnosi wrażenie, że główną treścią skądinąd ciekawych i chwalebnych poczynąń była walka sprzecznych żywiołów. Przejawy wewnętrznego skłócenia, wywołanego najczęściej

bezinteresowną zawiścią czy zazdrością, w której celują niekiedy profesorskie powagi, wyciskały fatalne piętno na historii ruchu regionalnego. Stąd uleganie frustracji, obnoszenie swoich żalów do zbiorowości czy też do konkretnych osób i płaczliwa pamiętliwość, przechodząca czasami z pokolenia na pokolenie. W codziennosc — i tak przecież niełatwą — częstokroć wdzierano się przez dodatkową szczelinę głuche rozgoryczenie, które w sposób przejmujący podkreślało anonimową moc kaszubskiego Smętka.

Zapewne są to najgroźniejsze z przywar. Należałoby tu jeszcze wymienić żywą jeszcze zwłaszcza na prowincji skłonność do wynoszenia wielkości, które w istocie nie wyrosły ponad przeciętność. Jeżeli na przykład twórca czy jego miejscowy mecenas uważa, że związek z naturą, z folklorem i rodzimością wystarczy, by osiągnąć wspaniałe wyniki bez rzetelnych głębszych studiów i rozleglejszych zainteresowań, to w praktyce otwiera drzwi średniactwu. Krytyczny stosunek do tego zjawiska atakowanego przez dziennikarskie pióra był aktualny w okresie dwutygodnika „Kaszëbë” i jest aktualny jeszcze dziś w dobie istnienia miesięcznika „Pomerania”. Tym bardziej, że wielu młodych i średniego pokolenia naszych inteligentów nie zdradza wielkich chęci do pogłębionej pracy nad sobą. Niedobrze się dzieje kiedy inteligencja, która ma organizować wyobraźnię i świadomość społeczną, rezygnuje z wyższych aspiracji poznawczych. Myślenie abstrakcyjne, głębsze zainteresowania filozoficzne nadal przegrywają w rywalizacji z utylitarnymi kierunkami studiów. Poznanie naukowe, filozoficzne, będące podstawą szerokiej samowiedzy kulturowej jest nadal tym przysłowiowym ziarenkiem gorczycznym odrzucanym ze wzgardą.

Nie dla pustej satysfakcji sporządza się tę „ewidencję” różnych inteligentkich przypadłości. Mając przed sobą portret zbiorowy kaszubskiej inteligencji choć wykonany po amatorsku, łatwiej ogarnąć niejako jednym rzutem oka wszystkie jej wady i zalety. Skoro już dość daleko zaszliśmy w pasji samokrytycznej można podjąć się próby odpowiedzi na pytanie czy obraz kaszubsko-pomorskiej inteligencji odpowiada najwyższym sprawdzianom, jakie stawia współczesna epoka? Jakie cechy charakteru i umysłowości trzeba eliminować, a jakie usilnie rozwijać i umacniać? Nie dla mody i nie dla teatralnego poklasku. Chodzi przede wszystkim o to, by inteligencja potrafiła sprostać niełatwym wymagom dnia dzisiejszego i z honorem wywiązać się z obowiązków, jakie już teraz nakłada na nią nadchodząca przyszłość. Z tych obowiązków w przeszłości nie zawsze wywiązywała się ona najlepiej, ale w sumie bilans jej działań przedstawia się dodatnio.

Najbardziej rzuciło się w oczy dążenie poszczególnych grup inteligentkich, ażeby potwierdzić swą wartość w sferze działania na rzecz zbiorowości. Młodokaszubom, którzy nawiązywali do koncepcji Ceynowy oraz ich następcom przyświecała dewiza, że najpierw ma się obowiązeki względem małej ojczyzny, a za jej pośrednictwem uczestniczyć się we wspólnocie ogólnonarodowej. Realizację wielkich zbiorowych zadań takich jak obrona polskości w okresie Kulturkampfu, tworzenie szerokiej perspektywy dla ruchu regionalnego, udział w pomorskich akcjach niepodległościowych w przełomowym okresie 1918—1920, rozumiano w kategoriach szczytnego posłannictwa. Przewodzić społeczeństwu w jego szarym dniu i w chwilach historycznie doniosłych — to tyle, co panować nad wartościami, nad słowem, a więc i nad duszami ludzkimi. Czyli inaczej mówiąc sprawować rząd dusz. Przywołuję pojęcie, które na skutek różnych okoliczności znacznie straciło na atrakcyjności, zostało pozbawione dawnej, władczej mocy.

W polskiej nie tak znowu odległej tradycji, zwłaszcza literackiej, symbolem rządu dusz, uwzniośłonego przez romantyczną poezję był kaduceusz. Romantyczny indywidualizm wierzył, że drogą do przyszłości, do niepodległości otwiera się wieszczym słowem, które zapala do czynu. Do kultury polskiej przeniknęła tradycja tyrtelizmu stawiająca wysoko etos wal-

ki, a co za tym idzie podkreślająca konieczność podporządkowania interesu indywidualnego wymaganiom zbiorowości. Na gruncie kaszubsko-pomorskiego przeschepili tę tradycję uczestnicy ruchu filomackiego, dla których Mickiewicz był niekwestionowaną wyrocznią. Z tym, że tutaj nastąpiło przesunięcie akcentu z mistyczno-patetycznej otoczki, z charyzmy na konkretne, praktyczne treści programu ideowego, jaki miała urzeczywistniać tutejsza inteligencja. Kaduceusz nie kojarzył się tu z laską Mojżesza, czy różdżką nawiedzonych zaklinaczy. Wykształceni na kulturze klasycznej absolwenci gimnazjów chełmińskiego, chojnickiego czy wejherowskiego wiedzieli, że genezy tego symbolu należy szukać w starożytnej Grecji i Rzymie.

Zgodnie z dawnym przekazem kaduceusz, w języku gerckim „kerykejon” (w tym miejscu trudno powstrzymać się od uwagi: jakże archaicznie brzmi kaszubska „krëkiew”) oznaczał drewnianą laskę Hermesa-Merkurego, przyozdobioną dwoma splecionymi węzłami i skrzydłami. Kaduceusz uchodził za autorytet Hermesa, posłańca bogów. Później stał się godłem posłów przybywających w celach pokojo-

Fragment referatu wygłoszonego na Kaszubsko-Pomorskich Spotkaniach we Wdzydżach.

wych i handlowych. Jeszcze później wkroczył w obszary codzienności europejskiej i stał się plastycznym wyrazem przodownictwa inteligencji w życiu duchowym, intelektualnym społeczeństw. W tej postaci zasymilowała go polska tradycja kulturalna. Do historii przeszli stańczykowski kaduceusz. Bywalcy „Zielonego Balonika” mogli oglądać prawdziwy kaduceusz w Jamie Michałkowej. Czasami stawał się symbolem niepoahamowanych uroszczeń jednostek czy całych grup inteligencji. Ponieważ dynamika wydarzeń politycznych i procesów społeczno-gospodarczych doprowadziła, szczególnie w naszych czasach, do zmiany statusu inteligencji, przeto poczytywał kaduceusz poszedł jakby trochę w zapomnienie.

Czy w nowoczesnym świecie jest dla niego miejsce? Naturalnie, ale pod warunkiem, że narosłe wokół inteligentkiego kaduceusza spekulacje i apostołskie mitologie zostaną odrzucone. Ta przestroga jest tu raczej zbyteczna, bo inteligenci rodem z Kaszub odznaczali się znaczną trzeźwością. W ich naturze nie leżało pogrążenie się w mgławicach utopizmu, nie zatracali się w romantycznym patosie i nie strolili w szaty królewsko-kapłańskie. Jednakże trzeźwość spojrzenia na życie, na samego siebie to nie to samo, co pełna wiedza o danym przedmiocie. Tę wiedzę określają także wydarzenia, które przyniósł wiek XX i zapowiada XXI wiek. Na tym tle można rozpatrywać oblicze ideowe całej warstwy, jej wewnętrzne zróżnicowanie i ogromne przemiany, jakim uległa i ulega w dalszym ciągu.

Niektórzy badacze życia społecznego twierdzą, że inteligencja przestała istnieć jako odrębna, posiadająca wyrazistą fizjonomię warstwa społeczna. Ze rozplynęła się w masie, która wydzwignęła się na wyższy poziom bytowania. Oto jedna z lapidarnych formulek: „Nie ma już bohaterów, jest tylko chór”. Inni znawcy przedmiotu są ostrożniejsi w swoich diagnozach: nowa inteligencja jest antytezą inteligencji starej daty, która bezpowrotnie odpłynęła w przeszłość. Profesor Salomea Kowalewska uważa, iż inteligencja utraciła swą funkcję przodowniczą, stając się po prostu nową, zawodową grupą społeczną. Jakież to cios dla inteligentów wychowanych w kulcie własnej wielkości i wyjątkowości.

Aby w tych zawiłościach nie zatonać trzeba wprawdzie uporządkować podstawowe pojęcia i dać odpowiedź na szereg istotnych pytań! Kim jest inteligent i jaka jest jego geneza? Kto to jest intelektualista? Wpływ romantyzmu na mentalność Polaków, na etos inteligentki? Czy postszlacheckie cnoty i „garby” formowały jej kondycję psychiczną? Czy nadal inteligentność łączy się z wartościami moralnymi, z postawą altruistyczną?

Pytamy więc o cechy dzisiejszego inteligenta, o rolę i funkcje społeczne, jakie mu przynosić pełnić. W związku z tym kolejne pytanie: czy pojęcie elity, jako zbioru jednostek niepospolitych, nieprzeciętnych wciąż zachowuje swój walor? A jeżeli tak, to można mówić jedynie o elicie funkcji, której autorytet wypływa nie tyle z rzadkich przymiotów osobistych, co z piastowanej funkcji społecznej. Potwierdzeniem tego poglądu byłby zanikający typ przywództwa charyzmatycznego.

Przyjęcie tej sugestii nie oznacza, iż inteligent nie może być pozytywnym przykładem i wzorem dla otoczenia. Jedną ze starszych definicji inteligencji wyjaśniała, że zasadniczym atrybutem tej warstwy jest przeżywanie kultury, przyznawanie jej pierwszeństwa przed rzeczywistością. Tak było dawniej. Jeszcze w latach trzydziestych Aleksander Hertz pisał w pracy pt. „Inteligencja wobec mas”: „Mówiąc o inteligencji mamy na myśli te warstwy, które są w szczególny sposób związane z procesem tworzenia kultury i silnie podlegają jej oddziaływaniom”. Po ostatniej wojnie pojęcie znacznie zmieniło swój zakres znaczeniowy. „Oznacza ono nadal — stwierdzał prof. J. Chałasiński w 1970 roku — ludzi pracy umysłowej... nie oznacza jednak elitarniej warstwy społecznej, jakkolwiek wśród starszego pokolenia inteligencji oraz w kręgu jej wpływów utrzymuje się dawny, tradycyjny, elitarny sens pojęcia inteligencji”. Do tej formacji socjologicznej autor rozprawy pt. „Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej” odnosi się krytycznie, może zbyt krytycznie, jako że jego zdaniem była w jakimś sensie przedłużeniem szlachty, przyjęła szlachecki stosunek do życia, do pracy, szlachecką pogardę dla warstw niższych i pretensje do przewodzenia narodowi, ponadto tworzyła getto towarzyskie.

Ilość zgromadzonych zarzutów i pretensji pod adresem inteligencji, ukazywanie wewnętrznych skaz i pęknięć nie było w stanie zachwiać poważniej wyidealizowanego obrazu jej roli społecznej. Może dlatego, że już w momencie narodzin, jako odrębna warstwa weszła na scenę historyczną w połowie XIX wieku otoczona nimbem niezwykłości. Ukształtowała się najwyraźniej na obszarach Europy Środkowej i Wschodniej. Niejako szczytowy punkt wzrostu osiągnęła u nas w okresie romantyzmu, wysuwając na czoło patriotyzm walki zbrojnej. Później w dobie pozytywizmu program pracy od podstaw i pracy organicznej. Wtedy też ustaliła swą pozycję jako twórczyni etosów. Specyfika owej warstwy polegała na tym, dowodzi socjolog Jerzy Chłopecki, że nie wyrastała jak warstwy wykształcone na starych kapitalistycznych metropoliach świata pierwszej rewolucji przemysłowej w etosie „do roboty”, ale „od roboty”. Nie mogło być inaczej skoro baza przemysłowa i mieszczaństwo były u nas stosunkowo słabe.

Wszystko to pogłębiało niemożność sformułowania szeroko zakrojonego programu społecznego, skłaniało do swoistego abstrakcjonizmu, szukania oparcia w ogólnych zasadach etyki. Dlatego też wysoka lokatę uzyskiwała literatura piękna, twórca, pisarz wskazujący rzeszom współobywateli kierunki ewolucji, dostarczający czytelnikowi autorytatywnych pouczeń.

Tak było również na Kaszubach i Pomorzu. Zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku inteligent był tu zdany na własne siły, sam musiał wysnuwać nauki i wnioski o charakterze praktycznym z dzieł twórców, formułować zadania dla siebie i dla innych. Dzięki temu wytworzyła się u nas czytelność wzoru inteligenta, z którym łączono wysokie poczucie honoru, umysłową docieklivość i odwagę cywilną, świadomość obowiązków społecznych i wrażliwość estetyczną. Podobnie ujmując rzecz socjolog Andrzej Lipiński: „Osobowość inteligenta, obok osobowości np. robotnika najpełniej wyrażała istotne wartości kultury, jakkolwiek występowała wśród znacznej mniejszości naszego społeczeństwa. Jednak ten typ osobowości najłatwiej integrował się w podstawowe instytucje i on to w znacznej mierze określał »charakter narodowy« rozumiany jako zbiór cech i wyborów, wyznaczający charakterystyczne dla polskiego społeczeństwa sposoby reagowania na zdarzenia i sytuacje”. Charakter narodowy, którego istnieje-

niu ostatnio zaprzecza, znany ze swady polemicznej Aleksander Bocheński, pojmowany także jako suma dyspozycji duchowych milionów jednostek, jest na pewno czymś, co istnieje rzeczywiście, a nie tylko pozornie.

Natomiast z istnieniem osobowości inteligenta w stanie nienaruszonym jest już gorsza sprawa. W wyniku rewolucyjnych przeobrażeń społecznych i gospodarczych, gwałtownych przemian cywilizacyjnych twór zwany inteligencją nabrali cech amorficzności, stając się niejednorodnym i wewnętrznie rozproszkowanym. Jego dawniejsza uprzywilejowana pozycja została poddana głęboko sięgającym ograniczeniom i modyfikacjom. Pojawiła się nowa inteligencja ukierunkowana w większym stopniu zawodowo lub „do wewnątrz”, w daleko mniejszym stopniu ucieleśniona na ideę posłannictwa czy na powinności społeczne. W naszych oczach dokonało się „rozprysnięcie” dość zwartej ongiś warstwy na niezliczoną wprost ilość odłamków. Powszechnie używane są takie terminy jak inteligencja humanistyczna, techniczna, twórcza, z awansu społecznego, młoda, urzędnicza, wiejska, małomiasteczkowa, rolnicza itd. Ukoronowaniem całej populacji oświeconych, podzielonej na segmenty jest inteligencja pracująca.

Nie brakuje prób zaprowadzenia ładu w tym „ogrodzie nieplewionym”. Profesor Jan Szczepański proponuje zaliczyć do inteligencji jedynie twórców głównie z wyższym wykształceniem, ekspertów, menadżerów (osoby wyłącznie z wyższym wykształceniem, a więc: inżynierowie, lekarze, prawnicy, ekonomiści i in. zawody). Dalej organizatorów życia społecznego, działaczy społecznych i kulturalnych, oficerów, kierowników domów kultury. Jeżeli idzie o „pracowników umysłowych”, zalicza ich do grupy biurowo-administracyjnej. Uwaga na marginesie: akurat ta grupa po wojnie rosła w zawrotnym tempie. Według niektórych socjologów z językowego przyzwyczajenia została ochrzczone mianem inteligencji, podczas gdy z jej kwalifikacjami merytorycznymi, poziomem wykształcenia i ogólną kulturą bywało rozmaicie.

Cytowany już prof. Szczepański w jednej ze swych prac analizuje pojęcie intelektualista. Jest to człowiek pracy twórczej, którego cechuje bezinteresowny stosunek do wiedzy i sztuki. W granice tego pojęcia włącza Szczepański pracowników nauki, literatów, architektów, publicystów, reżyserów, artystów, śpiewaków, muzyków itd. Niepełność i dyskusyjność tego ujęcia wydaje się chyba oczywista. Ten sam element dyskusyjności można wykryć w definicji ukutej na użytek praktyczny: inteligencja to warstwa ludzi wykształconych, zajmujących się zawodowo pracą umysłową, posiadająca zdolność głębszego rozumienia świata. Politolog, Mariusz Gulczyński prezentuje nieco inne widzenie inteligentckiego problemu. Toteż stawia pod znakiem zapytania obiegowe sądy i definicje dowodząc, że potoczny podział na robotników, chłopów i inteligentów nie jest dostateczny dla zdefiniowania aktualnej struktury naszego społeczeństwa. Przyjmując jego punkt widzenia należałoby współcześnie zaliczać do klasy robotniczej wszystkich bezpośrednio produkcyjnych pracowników niezależnie od wykształcenia. Z kolei inteligencja fachowa wykonująca prace o charakterze usługowym, w poziomie życia nie odbiegająca od średnich standardów życiowych umownie może być określana mianem proletariatu inteligentckiego.

W konsekwencji prestiż tej warstwy wynikający z przeświadczenia, że realizuje się misję zbawicielską dla dobra milionów, uległ wybitnemu zmniejszeniu. Ale nie zmalała jej rola czysto służebna wobec innych klas, wobec socjalistycznego państwa i nienarodzonych pokoleń jutrzejszych. Uważam, iż w przeciwieństwie do dawnej inteligencji bardziej zakorzenionej w kulturze niż w realiach życiowych, obecna jednakowo głęboko tkwi w sprawach kultury i rzeczywistości. Pomimo swoich kłopotów z samoidentyfikacją specjalistycznego rozdrobnienia, czerpania wzorów — nie zawsze najlepszych — z innych klas i warstw, może być twórczynią etosów, może aspirować do wyrażania opinii publicznej i pełnienia funkcji ideotwórczej. Niemniej wszystkim jej

poczynaniom powinna towarzyszyć refleksja, wywie-
dziona nie tylko z wydarzeń sierpniowych 1980 ro-
ku, lecz z całej powojennej historii Polski, że roz-
strzygające, decydujące znaczenie ma klasa robotni-
cza.

Te ogólniejszej natury uwagi dotyczące statusu
inteligenta są rodzajem tła umożliwiającego nakre-
ślenie bardziej wyrazistego rysunku inteligencji Ka-
szub i Pomorza. Przecież działały tu podobne, w wie-
lu przypadkach takie same mechanizmy społeczne, w

toku przemian gospodarczych i politycznych for-
mowała się nowoczesna świadomość kulturowa. By-
ły też czynniki specyficzne przesądzające o odmien-
nej drodze pokoleń miejscowej inteligencji zdoby-
wającej samoświadomość i dojrzałość intelektualną.
Konieczne byłoby zatem rozszerzenie perspektyw,
sięgnięcie do korzeni. Wydobywając na światło dzien-
ne zawile lub mniej znane kwestie z przeszłości
wyjaśnia się tym samym wiele motywów działania
dzisiejszej inteligencji kaszubskiej.

Wokół domu

Stanisław Janke

Ostrzegano mnie, że temat jest delikatny i trud-
ny. Myślałem: tym lepiej, to smakuje przygodą. I co
ciekawsze — rzecz ma się w Wielu. We wsi czi-
godnej, z tradycjami, pośród kalwaryjskich wzgórz,
na ziemi Hieronima Derdowskiego, Wincentego Ro-
gali i wielu innych zacnych i zasłużonych dla ka-
szubskiej sprawy.

Przyjechałem w samo południe. Pełnia lata daje
się we znaki. Dom, o który mi chodzi stoi nieda-
leko przystanku. Zdobi go niewielka figurka usa-
dowiona we wnęce między kondygnacjami. Dom ni-
by ten sam, a jednak inny. Nad frontowymi drzwia-
mi powinna wisieć zielona tablica z napisem: „Mu-
zeum Kaszubskie w Wielu”. Po szyldzie jednak nie
ma śladu, w oknach zaciągnięte żaluzje, a drzwi
zamknięte, jak się to mówi, na wszystkie spusty.
Kiedys, o tej porze, garnęli przez te drzwi letnicy
ciekawi oryginalnego muzeum, które stworzył jeden
człowiek, teraz przed wejściem, na schodach, siedzą
dwaj znużeni turyści i pewnie nie wiedzą dokąd te
schody wiodły.

Zachodzę z boku. Na końcu mrocznego korytarza
drzwi, a na nich wizytówka. Leonard Brzeziński —
któż w Wielu nie zna tego pana. Jestem пригото-
wany na długą rozmowę, bo pytań w zanadru mam
wiele. Drzwi uchylają się nieznacznie. Twarz, która
wyloniła się z cienia jest mi dobrze znana. Ostatni
raz widziałem ją może przed dwoma laty. Wtedy
była to twarz sędziwego pana, który dopełnia dzie-
ło swojego życia, teraz człowieka, któremu się nie
powiodło. W głosie Brzezińskiego snuje się zmęcze-
nie, rezygnacja, a może i coś więcej. Mówi, że nie
chciałby rozmawiać. W tym jest prośba. Chcę ją
uszanować, ale szkoda mi informacji, których z ust
tego człowieka mógłbym usłyszeć. Więc jeszcze na-
gabuję. A może jednak. Targuję się o dwa trzy py-
tania, ale nic z tego. Brzeziński milczy. Stoi w
drzwiach i milczy.

W Gminnym Ośrodku Kultury im. Hieronima
Derdowskiego jest przestronnie i jasno — dosłown-
ie i w przenośni. Przed sobą mam teczkę z napi-
sem „Muzeum Kaszubskie w Wielu”. Sporo leży
w niej pism. Rozmówca — dyrektor GOK-u Józef
Brzeziński — skory do udzielania informacji. Z mie-
szkańcami domu przy ulicy Głównej 4 łączy go po-
krewieństwo. Pytam się, czy to może być jedna
z przeszkód w rozwikłaniu sprawy. Mówi, że czasa-
mi też zadaje sobie to pytanie. Owszem, jest skłon-
ny stanąć z boku, ale sądzi, że to i tak niczego nie
zmieni. Pokrewieństwo rzecz ważna, lecz nie naj-
istotniejsza. Wystarczy prześledzić tę całą historię.
Więc to robimy. Fakt po fakcie.

Jest rok 1970. Leonard Brzeziński sposobi się do
otwarcia muzeum, na które złożą się jego zbiory
gromadzone od wielu lat. Dotychczas eksponował je
na strychu. Otwarcie muzeum zainteresowane jest
PTTK. Osobiście inicjatywę wspiera członek zarzą-
du PTTK w Chojnicach Albin Makowski, znany
kolekcjoner, posiadacz wielu muzealiów, które gro-
madzi we własnym mieszkaniu i udostępnia publicz-
ności. Udział w tworzeniu muzeum ma również miej-
scowy społecznik i gawędziarz Edmund Konkolew-
ski. Dzięki staraniom PTTK i lokalnych władz Leo-
nard Brzeziński zakupuje dom przy ulicy Głównej
4, należący do Gminnej Kasy Spółdzielczej w Wielu
z siedzibą w Karsinie. I tu trzeba dodać, że jest to
zakup na korzystnych warunkach finansowych. Ro-
la PTTK w założeniu muzeum jest niebagatelna.
Stąd taki oto zapis w akcie notarialnym z dnia
20 sierpnia 1970 roku: „Leonard Romuald Brzeziń-
ski oświadcza, że ustanawia na nabyte nieruchomości
nieograniczone czasowo prawo użytkowania po-
mieszczeń znajdujących się na parterze wymienio-
nego budynku mieszkalnego na rzecz Powiatowego
Oddziału PTTK w Chojnicach z przeznaczeniem na
Muzeum Regionalne”. I dalej czytamy: „L.R. Brze-
ziński postanawia, że ustanowione wyżej prawo użyt-
kowania obowiązywać będzie również jego następ-
ców prawnych”.

Na muzeum przeznaczają się tymczasem dwa po-
mieszczenia znajdujące się na parterze. Dwa dalsze
zajmuje L. Brzeziński i jego krewni: Bolesława (sio-
stra) i Jan Wittstokowie.

W roku następnym muzeum zostaje otwarte. Jest
wspaniałą atrakcją dla letników, którzy odwiedzają
Wiele. Leonard Brzeziński pracuje bez wytchnienia.
W tym muzeum jest jedynym kustoszem i przewod-
nikiem. Robi to, można powiedzieć, społecznie, bo
wynagrodzenie PTTK i zysk z biletów wstępu, to
zapłata raczej symboliczna.

Dwa lata później — w roku 1973 — Brzeziński
przekazuje zbiory PTTK. W tym geście jest wielka
bezinteresowność. Że muzealia stanowią wartość bez-
cenną, temu się nie da zaprzeczyć. Sędziwy kustosz
postanawia też uregulować swoje sprawy majątko-
we. 24 kwietnia 1977 roku spadkobiercą domu zo-
staje jego siostrzeniec Stefan Wittstok. I odtąd on
będzie decydował o wszystkich sprawach z domem
związanych. To można wyczytać w akcie notarial-
nym.

Mówi się, że PTTK nie przejawiało zbytnej tros-
ki o muzeum. Pewnie tak było. Nie da się jednak
zaprzeczyć, że miało zamiar przeprowadzić remont
wielewskiej placówki muzealnej. Na tę okazję stolarz

wykonał drzwi i okna. Niestety, nowy właściciel domu w ostatniej chwili nie zgodził się na remont, gdyż — według niego — okna zostały źle zaprojektowane. PTTK nie napierało, więc okna stały się przedmiotami bezużytecznymi, a pieniądze zostały wyrzucone w błoto.

Prężnie działający GOK w Wielu może pochwalić się wieloma inicjatywami, które na trwałe weszły w życie kulturalne wsi. Dlatego też nie należy się dziwić, że zainteresowało się również losem muzeum. Dyrektor Józef Brzeziński marzył od dawna, by ta placówka była bardziej widoczna niż dotychczas, by przyciągała jeszcze więcej zwiedzających. Żeby jednak tak się stało należało przewartościować stare formy wystawiania, unowocześnić bazę, powiększyć lokal. Stąd też 20 kwietnia 1980 roku w siedzibie GOK-u odbyła się narada w sprawie przyszłości tej wielewskiej placówki. Poza gospodarzami w naradzie uczestniczyli przedstawiciele Muzeum Narodowego w Gdańsku, PTTK, a także właściciel domu. I już wtedy ustalono, że w przyszłości cały parter budynku przy ulicy Głównej 4 zostanie przeznaczony na cele muzealne. Jednakże plany te stały się realne wówczas, gdyż losem wielewskiej placówki zainteresował się Tadeusz Chrzanowski, wojewódzki konserwator zabytków. I on też 7 września 1982 roku organizuje kolejne spotkanie w rzeczonyj sprawie, na którym podjęto ważne decyzje. Ustalono między innymi, że zbiory Leonarda Brzezińskiego zostaną przeniesione do siedziby GOK-u i pozostaną tam do czasu przygotowania lepszych warunków lokalowych. Muzeum Narodowe w Gdańsku zobowiązało się zinventaryzować eksponaty, opracować je pod względem naukowym i przygotować scenariusz przyszłej wystawy. Natomiast Wydział Ochrony Dóbr Kultury podjął się opracowania dokumentacji technicznej na roboty remontowo-adaptacyjne parteru. I wszystko to zaakceptował właściciel budynku. Niestety, w praktyce wyglądało to nieco inaczej. Wyznaczony przez Wydział Ochrony Dóbr Kultury projektant, który miał dokonać opracowania dokumentacji technicznej „nie mógł wywiązać się ze zlecenia — czytamy w liście wojewódzkiego konserwatora zabytków do właściciela domu — ponieważ Obywatel (Stefan Wittstok — przyp. mój S.J.) uniemożliwił mu wykonanie czynności inwentaryzacyjnych. Również pomimo obietnic nie udostępnił Obywatel dokumentacji instalacyjnej obiektu i fotografii dawnego wyglądu budynku.

Stanowisko takie wskazuje na aspołeczną postawę Obywatela i uniemożliwia realizację ustaleń dotychczasowych prawidłowego działania tej społecznej placówki w Wielu.

Tyle z listu. Można jeszcze dodać, że właściciel motywuje swoje zachowanie jak powyżej jedynie tym, że projektant przyjechał w niedzielę, co znaczy, że w porze niewłaściwej.

Mimo tego incydentu założone prace posuwały się naprzód. 12 listopada 1982 roku odbyło się kolejne spotkanie w sprawie muzeum. I na tym spotkaniu również obecny był właściciel budynku. Ustalono, że w drugim etapie prac remontowych na cele muzealne przekazane zostaną pomieszczenia, w których zamieszkują rodzice właściciela i jego wuj Leonard Brzeziński. Dla nich natomiast wyremontowane zostaną pokoje zastępcze mieszczące się w przybudówce domu. I mówiło się, że wyremontowana przybudówka będzie miała te same wygody co dotychczasowe lokale, a nawet lepsze. Jak można wyczytać z notatki sporządzonej na tym spotkaniu Stefan Wittstok wyraził zgodę na powyższe prace.

Już w czasie pierwszego spotkania u wojewódzkiego konserwatora zabytków zrodziła się myśl, że muzeum powinno przejść w ręce wielewskiego GOK-u, że instytucja ta najlepiej zaopiekuje się spuścizną Leonarda Brzezińskiego. PTTK zgodziło się na takie rozwiązanie, zastrzegając jedynie, że w przyszłości na budynku muzeum umieszczona zostanie tablica upamiętniająca rolę towarzystwa w tworzeniu się tej placówki. 26 lutego 1983 roku prezydium ZG PTTK w Warszawie wyraziło oficjalną zgodę na przekazanie muzeum.

W tym czasie poczyniono już przygotowania do remontu Muzeum Kaszubskiego. Opracowana została dokumentacja inwentaryzacyjna i adaptacyjna. Pracownicy Muzeum Narodowego w Gdańsku, którzy przeprowadzili inwentaryzację zbiorów wykazali, że Leonard Brzeziński pozostawił 365 zabytków etnograficznych i 12 archeologicznych, a ponadto wiele okazów przyrody, jak spreparowane ryby i żmije, zasuszone rośliny, rogi zwierzęce i inne. Plastycy Zofia i Ryszard Nałęcz Jawecy opracowali projekt plastyczny nowej ekspozycji (zainteresowani mogą oglądać go w sali klubowej GOK-u). Rzemieślnicy wykonali okna i drzwi. Zawarto umowy na wykonanie robót elektrycznych i budowlanych. A to wszystko pochłonęło już sporo pieniędzy. I w tym miejscu znowu trzeba napisać: Niestety. Bo oto 15 kwietnia 1983 roku Stefan Wittstok przesłał list na ręce dyrektora GOK-u następującej treści: „Z uwagi na to, że rodzice moi, jak również wujek Leonard Brzeziński nie wyrażają zgody na przeprowadzenie się do innych pomieszczeń, koncepcję remontu pomieszczeń Muzeum proszę ograniczyć do użytkowanych dotychczas pomieszczeń”.

24 maja 1983 roku zorganizowano jeszcze jedno spotkanie w sprawie muzeum. Tym razem jednak — mimo dwukrotnego zaproszenia — właściciel domu nie przybył. W związku z tym wszelkie prace wstrzymano, a sprawa skierowana została na drogę sądową.

Sąd zainteresowany będzie raczej czy decyzja właściciela jest zgodna z prawem czy też nie. Konserwator sądzi, że „odmowa ta jest pozbawiona podstaw prawnych wobec zapisu istniejącego w akcie notarialnym z dnia 20 sierpnia 1970 roku”. I pewnie ma rację. Są jednak pytania, na które warto szukać odpowiedzi. Czy motyw podany w liście z 15 kwietnia jest prawdziwy? A ponadto: jakie są rzeczywiste intencje właściciela? Trudno odpowiedzieć na pierwsze pytanie skoro ani Leonard Brzeziński, ani rodzice spadkobiercy nie chcą rozmawiać z reporterem. Jeden z wielewskich społeczników, który prosił o anonimowość, tłumaczył to tak:

— Prawa zależności jednej osoby od drugiej są bardzo surowe. Nie można więc wymagać, żeby ci ludzie świadczili przeciwko właścicielowi budynku.

Te słowa jednak, to tylko cześć spekulacji. A jak na sprawę całą patrzy Stefan Wittstok? Gdy przyszedłem do niego na rozmowę, on pierwszy zadał mi pytanie: kto mnie nasał? Odpowiedziałem szczerze, że temat ten interesuje moja redakcję i to wszystko. Po tej odpowiedzi przeszliśmy do zasadniczej rozmowy. Oto ona:

— Czy na spotkaniach, które odbyły się 7 września i 12 listopada 1982 roku zgodził się pan na przeprowadzenie remontu części parterowej budynku?

— Nie można powiedzieć, że się zgodziłem. Ja mówiłem wówczas, że się zorientuję, że raczej tak, ale się jeszcze zastanowię.

— Notatki sporządzone na tych spotkaniach wskazują jednoznacznie, że pan wyraził zgodę. Tam są pańskie podpisy.

— Podpisywałem, bo tak życzyli sobie uczestnicy tych spotkań, wojewódzki konserwator zabytków. Ja byłem pod ich presją.

— Przygotowania do remontu pochłonęły parę milionów złotych. A pan nie zezwolił na prace remontowe mimo wcześniejszych uzgodnień i mimo adnotacji w akcie notarialnym, że parter budynku przy ulicy Głównej 4 przeznaczony jest na muzeum.

— W liście do dyrektora GOK-u napisałem, że wujek i moi rodzice nie wyrazili zgody na przeprowadzkę do innych pomieszczeń. Poza tym w akcie notarialnym nie ma mowy o wszystkich pomieszczeniach na parterze i tam jest zaznaczone, że tylko PTTK ma niezbywalne prawo do muzeum. Powtarzam — niezbywalne. Ja cały kodeks znam już na pamięć i mówię panu, że GOK nie ma żadnego prawa do tego lokalu i zbiorów wujka.

— To znaczy, że gdyby PTTK nadal było w posiadaniu muzeum, pan by się zgodził na remont całego parteru?

— Nie wiem. Trudno mi w tej chwili odpowiedzieć.

Tak toczyła się nasza rozmowa. Można by tak bez końca. Intencje właściciela nie są jednoznaczne. To jest pewne. Należy sądzić, że zupełnie inaczej patrzy na dom przy ulicy Głównej jego poprzedni właściciel Leonard Brzeziński. W tym budynku przecież miało dopełnić się jego dzieło. Któregoś dnia ten sędziwy i schorowany pan przybył do GOK-u, by zobaczyć nowy projekt plastyczny swojego muzeum. Ci, którzy byli przy nim powiadają, że na jego twarzy widzieli zachwyt.

— Takie muzeum było marzeniem mojego życia — mówił wzruszony.

Zapewne kiedyś bardzo wierzył, że siostrzeniec godnie zaopiekuje się jego spuścizną. I chyba dlatego też właśnie jemu zapisał ten dom.

Organizatorzy budowy rozszerzonego Muzeum Kaszubskiego w Wielu postanowili nie czekać na rozstrzygnięcie sądu. I słusznie, bo sprawa ta jest zbyt zawiła, żeby miała się szybko skończyć. A poza tym rozstrzygnięcie na korzyść organizatorów wcale nie oznacza, że w przyszłości z właścicielem domu będzie żyło się lepiej. Dlatego też zaczęto poszu-

kiwać innego budynku, który nadałby się na placówkę muzealną. Znalazł się taki. Stoi naprzeciw siedziby GOK-u i należy do Marii Felskiej. Można go kupić na korzystnych warunkach finansowych. Na sesji Gminnej Rady Narodowej poświęconej między innymi sprawom kultury wojewódzki konserwator zabytków przedstawił radnym zasadność zakupu nowego domu.

— Nie może być tak — mówił — żeby ludzie przyjeżdżający do Wielu byli pozbawieni Muzeum Kaszubskiego, które od ponad dziesięciu lat jest atrakcją tej wsi. Moglibyśmy przekazać zbiory Brzezińskiego któremuś z gdańskich muzeów, ale przecież nie o to chodzi.

Radni jednogłośnie zaakceptowali nowe projekty organizatorów. Też uważali, że z tym nie należy zwlekać. Jest szansa, że ekspozycje zostaną udostępnione zwiedzającym na początku letniego sezonu w roku przyszłym.

Pewnie jeszcze wiele dobrego usłyszymy o tym muzeum. Należy tylko żałować, że w jego historii pozostanie blizna. A można by jej uniknąć, zarówno tu, jak i gdzie indziej, gdyby dobro społeczne znaczyło cokolwiek więcej niż interes osobisty.

Czekanie na wielką rybę

Józef Miąskowski

Czterdzieści pięć lat, a więc najlepszy chyba męski wiek: jeszcze pełnia sił, a już bogate doświadczenie. Sylwetka spadochroniarza: ani grama zbędnego tłuszczu, bicepsy, zwinność ruchów. Za to ręce u pana szypry żylaste, utrudzone, o dłoniach szorstkich, zgrubiałych, twardych i sękatych od mozołu. Modny wąs, twarz ogorzała od słońca, czupryna przetkana pierwszymi srebrnymi włosami.

Ojciec pana Edwarda, Pomorzanin z Sepolna Kraińskiego, odslugiwał powinność w Marynarce Wojennej w Gdyni, tu poznał przyszłą żonę i tu się osiedlił. Mężnie bronił Helu, a po wojnie ponad ćwierć wieku rybaczył w „Dalmorze”; teraz odpoczywa. Trzy siostry, taka ciekawostka, wyszły za mąż za rybaków z „Dalmoru” — zatem szwagrowie pana Edwarda to pan Radio, pan chief z pokładu i pan starszy rybak. Rodzony brat, też po rybackich studiach — pływa w „Gryfie”. To nie wszystko! Na kutrze pana Edka pływa jego zięć, po Liceum Morskim („Teorię zna, ale praktyki ma mało — musi się uczyć...”) a czasem, tak dla wprawki, syn — też Edek, lat 12, jeśli WOP przymknie oko... Starszy chłopak, Darek, odbywa służbę wojskową, ale po niej też wybiera się rybaczyć; ukończył budowlankę, co nigdy nie zawadzi, ale już uzyskał kwalifikacje w zawodzie dziadka i ojca.

OPISANIE FLOTYLLI

Od kilku dni wykręcałem co dzień numer pana Edwarda Nowaka w Gdyni-Orłowie, by usłyszeć uprzejmie „Mąż w morzu”. A czy będzie w sobotę? Prawdopodobnie tak, mówiła na to pani Nowakowa,

ale to nigdy tak na pewno nie wiadomo, w końcu nie człowiek o tym decyduje a pogoda i ryba: — Proszę zadzwonić późnym wieczorem. Dzwonię. Jest. Mowa krótka: w niedzielę o dziewiątej mam być w porcie.

Pełnia lata, absolutnie słoneczny, piękny dzień. Kto nie wyjechał w góry albo nad jeziora, ten jest na plaży. Ale pan Edek i załoga kutra, jeden plus dwa, są od wpół do ósmej zajęci przy rozładunku. W sobotę wprawdzie weszli o czternastej z 25 skrzynkami śledzia w ładowni — w przyłowie był, jak o tej porze, cenny dorsz — ale Centrala-Rybna w sobotę po południu świętowała, więc przyszli dziś. Los rybaka.

Flotylla pana Edwarda to dwa drewniane kutry: mniejszy, którym teraz sam dowodzi, 14 metrów, dąb, silnik „Skandia” i GDY-38 na burcie — kupił był cztery lata temu od pewnej wdowy; ten większy, 24 metry, kompozycja, czyli zdrowa sosna i częściami stal, silnik „Volund” nabył z przetargu w 1979 roku w „Dalmorze”. Rok budowy 1957, a więc dla firmy państwowej czy spółdzielni absolutny gruchot, złom — ale co wyszło z tego w doświadczeniach, a przede wszystkim pracowitych rękach! Kuter GDY-50 jest — potocznie określając — zadbany, świeżo pomalowany i nie skorodowany, a na pokładzie i pod nim ma wszystko, co niezbędne i się przyda: dwie echosondy, dwie ukaefki, nowy radiotelefon z Unitry, angielski radar — też z przetargu — i aparaturę „Decca” do szybkiego i dokładnego określania pozycji na morzu, wreszcie dwa kompasy.

Większy kuter powierzył pan Edek doświadczono-

mu szyprowi. Zamyślał inaczej — ale na ten mniejszy, raczej prymitywny, nie sposób było kandydata na dowódcę znaleźć. Mimo ogłoszeń, rozpytywań; taką posuchą i brak rąk w zawodzie.

Słówek teraz o załodze.

Ma rybaków, którzy pływają z nim od 1979 roku. Pięciu w 1981 roku wyjechało za granicę za pośrednictwem Morskiej Agencji. Nie rybacza, a pracującą na statkach handlowych, przeważnie „grekach”, dorabiają się, tęsknią, a czasem przysłały byłemu szefowi barwną widokówkę.

Jak to się dzieje, że nie odczuwa — mówiąc językiem gazetowym — „trudności kadrowych”? Przecież nie ma dla swoich pracowników domów wczasowych, kolonii dla dzieci, przecież nie rozdaje talonów czy asygnat, a jedyną więź między nim a nimi stanowi płaca — pieniądź? Jest kilka odpowiedzi na tak sformułowane pytanie. Po pierwsze — sam też pływa, sam więc przykłada się do każdej roboty, z patroszeniem włącznie, tak jak oni — a jak sądzę nawet nieco pilniej, lepiej. Ma więc z załogą stosunki dobre, koleżeńskie, może nawet przyjacielskie — choć z wszystkimi jest „na pan”, gdyż unika stosunków międzyludzkich typu „brat łąta”. Być może jest to nawyk z lat pracy na wielkich trawlerach-przetwórnich na oficerskim stanowisku, ale to się sprawdza i gra. Po drugie — tajemnica tkwi w... wnętrznościach dorsza. Otóż z dziesięciu ton tej ryby jest prawie pięć ton samych odpadów i jest to znakomita, bardzo poszukiwana karma dla hodowców zwierząt futerkowych. U pana Nowaka sprzedaje się więc te wnętrzności i to za niezły pieniądź, a suma uzyskana w ten sposób jest równo między wszystkich dzielona; w praktyce, jak mówi, każdy ma jakby drugą pensję i jest to dobra, sprawiedliwa rekompensata za brak zaplecza socjalnego. A tymczasem na przykład spółdzielnia „Jedność Rybacka” zagospodarowuje podobne odpady na własnej farmie, Alaską zwanej, a państwowy „Dalmor” także odpady zbiera w Chyloni i płaci załodze za kilogram bodaj tylko po dwa złote. Mądre? Mądre, a co najważniejsze daje pożądany efekt.

NIEPORADNI MUSZĄ ODEJŚĆ

O panu Edwardzie mówiono na naszych Spotkaniach Publicystycznych traktując go jako przykład znakomitego dostosowania się do zmienionych warunków, co — tak nawiasem mówiąc — świadczy zawsze o inteligencji. Nowak porzucił po wielu latach pracę w rybołówstwie dalekomorskim, uspołecznionym, wielkim, uprzemysłowionym — aby zająć się uprawą morza między 19 południkiem szerokości północnej od wschodu a 17 południkiem od zachodu, a więc gdzieś na trawersie Ustki. Od północy jego połowy limituje zasięg polskiej strefy na Bałtyku, ustalony na konferencji w Helsinkach. Zamiast w rejonie Falklandów czy u wybrzeży Afryki Południowej łowi więc na akwenie stosunkowo małym, trudnym, wymagającym doświadczenia i zegarmi-strzowskiej niekiedy precyzji; dość powiedzieć, że np. w rombie o bokach 10 na 10 mil morskich — a na takie romby dzieli nasz Bałtyk właśnie system „Decca” — czyha na sieci na dnie od 20 do 30 „zaczepów”; łowi się tam, oprócz ryby, także maszty zatopionych kutrów, zbutwiałe i oderwane dziobnice, kawałki burt, a bywa, że skrzydło samolotu, minę albo przerdzewiałą a mimo to groźną torpedę. Ryzyko i wielki w razie zahaczenia koszt; sieć kosztuje już ponad sto tysięcy, a do jej zbudowania — bo tak się to fachowo nazywa — trzeba szukać doświadczonych sieciarzy.

Przystawione białe rękawiczki oficera floty rybackiej i spokój po wachcie, i przywileje — trzeba było zamienić na wyteżoną, głównie fizyczną pracę na okrągły zegar, bez urlopów i bez świąt, dokąd ryba jest i wali w sieci. Koszty rybołówstwa indywidualnego przy tym stale rosną i już teraz takie przedsięwzięcie kryje w sobie znaki zapytania. Gdy na przykład w latach 70-tych za tonę ryby można było kupić aż trzy tony ropy, to teraz stosunek ten kształtuje się jak 1 do 1 — a co będzie za rok, za

dwa lata? Tona łodu dostarczana rybakom z „Dalmoru” kosztuje 1200 złotych, a 60 złotych bierze tenże „Dalmor” za dzierżawę zwykłej skrzynki. A inne wydatki, w tym głównie — bo przecież pływa się na kutrach bardzo starych — remonty i konserwacja? Nie sposób napraw części podwodnej kadłuba dokonać na wodzie, więc trzeba płynąć do Władysławowa na tzw. ślip; tam znów, w imię reformy gospodarczej, drą z rybaków ile się da, więc wyciągnięcie z wody albo wodowanie kosztuje po dziesięć tysięcy, a każda doba pobytu na ślipie — pięć.

W stoczni trzeba umieć zrobić wszystko koło kutra własnymi siłami i środkami, a zatem wszystko co potrzeba wiedzieć i wszystko umieć. Nieporadni muszą odejść. Remont przeciąga się z braku materiałów i części, a ostatnio GDY-50 aż dwa miesiące tkwił w gdyńskiej „Naucie”. Nie tylko nie przynosił zysków, ale potężnie kosztował.

— My aktualnie — mówi mi pan Edek — jesteśmy właśnie tacy na trzy S: samodzielni, samorządni i samofinansujący. Jeśli ryby na Bałtyku zabraknie, to co będziemy robić? Wciąż czekam i czekam na tę wielką rybę, a na razie przez ten remont jestem o pół miliona do tyłu...

KONIEC WOLNOŚCI MÓRZ

Tu pora na komentarz odautorski, choć jest to wbrew beznamiennej, obiektywizującej konwencji reportażu.

Wtrąciłem uprzednio, szkicując sylwetkę mego bohatera, zdanie o umiejętności przystosowywania się do zmienionych warunków, czyli inteligencji. O co konkretnie idzie? Otóż o to, iż rybołówstwo dalekomorskie uprawiane przez Polskę zwyczajnie się kończy, choć z pewnością pan minister Korzonek jest — przynajmniej na użytek prasy — odmiennego poglądu.

Formalnie należy ono do tzw. bloku żywnościowego, więc powinno doznawać odpowiednich preferencji. Faktycznie, jak pisze np. w „Dzienniku Bałtyckim” z 8 sierpnia br. Maria Lang — mimo iż aż dwukrotnie nad stanem rybołówstwa dyskutowała w pierwszej połowie 1983 roku sejmowa Komisja Gospodarki Morskiej i Żeglugi, nie określono dotąd ani pożądanej wielkości połowów, ani wielkości spożycia ryb i ich przetworów, a to dlatego, że nie ma wciąż podstawowej decyzji o odbudowie floty rybackiej, co wiąże się logicznie z zapewnieniem odpowiedniego potencjału stoczni.

A przecież fakty i liczby muszą niepokoić. Taki „Dalmor” na przykład łowił do niedawna — bo do 1980 roku — ponad 270 tysięcy ton, dysponując 41 trawlerami-przetwórniami, z których czternaście łowiło na wydajnych wielce łowiskach Peru. Z Peru, jak wiadomo, trzeba było się wycofać i to ze stratami. Obecnie ten armator ma 27 statków i jest to już, niestety, flota stara: osiem jednostek liczy sobie od 10 do 11 lat, średnia wieku dla reszty to 16 lat. W ostatnich siedmiu latach „Dalmor” otrzymał jeden tylko statek, kosztującą ponad miliard złotych (!) „Casiopeję”. W 1982 roku statki gdyńskiego przedsiębiorstwa zловиły 103 tysiące ton, a to głównie wskutek generalnej zmiany rejonów połowu i przemieszczeń z tym związanych. Plan na ten rok przewiduje 132 tysiące ton i jest szansa, że będzie wykonany, może nawet przekroczony. Jeszcze słowo na temat „połowy — a rynek”: otóż z 71 tysięcy ton ryby, złowionych w pierwszym półroczu, 33 tysiące ton o wartości dwóch i pół miliarda złotych przeznaczono do konsumpcji w kraju.

Co się stało, jaka to nieprzyjemna prawda wylania się z tych danych?

Wyjaśnienie tkwi w przeszłości. W latach 50-tych budowano w Stoczni Gdańskiej masowo dla kraju i dla ZSRR trawlerzy parowe o nośności 400, a następnie 500 ton, łowiące z burty. W latach 1955—1959 polscy konstruktorzy ukończyli studia nad trawlerem-przetwórną o nośności 1250 ton, a więc znacznie większym od statków rybackich, budowanych wówczas gdziekolwiek w świecie. Projekt zakładał połów z rufy, przetwarzane ryby w zmechanizowanym ciągu technologicznym, zdolność do dłu-

giego przebywania na odległych łowiskach i przechowywanie zamrożonych filetów w chłodzonych ładowniach. Statki zakupił ZSRR i nasz „Dalmor”.

I tak to się zaczęło... Wkrótce powstał trawler-zamrażalnia 1500 ton, zaprojektowany z myślą o podzwrotnikowych akwenach środkowego Atlantyku o bardzo skomplikowanych i kosztownych urządzeniach przetwórczych i chłodniczych, baza-przetwórnia 9200 ton nośności dla Przedsiębiorstwa Dalekomorskich Baz Rybackich, autonomiczny trawler dalekiego zasięgu na łowiska Północnego Atlantyku o nośności 1500 ton i zwiększonej prędkości i inne statki, konstruowane — jak wypada sądzić — na podstawie następujących przesłanek:

- że wiecznie będzie obowiązywać zasada wolności mórz, sformułowana przez żyjącego na przełomie XVI i XVII wieku Imię Grotiusa, holenderskiego prawnika, filozofa, dyplomata i polityka — a zatem można będzie łowić gdzie się chce i ile się chce;

- że nigdy w istotnym stopniu nie ulegną zmianie koszty paliwa — a zatem im większy będzie statek rybacki, bardziej uprzemysłowiony, szybszy — tym wyniki ekonomiczne będą lepsze.

A tymczasem zanim jeszcze — na szczęście — zdążyliśmy dorobić się w naszej rybackiej flocie statków, dorównujących wielkością statkom towarowym, może nawet zbiornikowcom — okazało się, iż założenia były fałszywe. Być może lepiej byłoby przyglądać się bacznie temu, co w tym samym okresie budowali u siebie i u innych — w tym także w Polsce — Anglicy czy Francuzi.

Są to sprawy na ogół znane i nie odkrywam Ameryki pisząc o nich. Idzie jednak o to, że nie ma sensownego wyjścia z sytuacji, w jaką się wmanewrowaliśmy. Teza, że naszym dalekomorskim armatorom opłaca się połowy gdzieś na Pacyfiku, na akwenie, do którego nikt jak dotąd nie zgłosił prawa własności, a następnie sprzedawanie ryb w różnych, w domyśle raczej egzotycznych portach świata — w zamian za co zakupimy w Europie, powiedzmy w Holandii, miłe Polakowi rolmopsy, matiasy czy piklingi — jest tyleż zabawna, co odmłodzona z wszelkiej ekonomii. Nie bierze bowiem pod uwagę wpływu ogromnej odległości na kształtowanie się kosztów osobowych, kosztów zaopatrzenia kosztów remontów itd. oraz faktu, że ludzie miejscowi też umieją łowić i będą konkurencyjni.

Oto dlaczego pan Edward zrezygnował, nie widząc trwałych perspektyw — i wybrał ryzyko, ale na własny rachunek.

„SVOJE UMIAŁEM WYEGZEKWOWAĆ...”

Wizyta w willi w Orłowie. Standard wysoki; przed domem stoi polonez. Sześć milionów złotych obrotu w tamtym roku z jednego kutra, podatek potrącany przy zakupie przez Centralę Rybną, jako jedynej odbiorce: do jednego miliona trzy procent, powyżej cztery do sześciu.

Tak, ale aby stać się armatorem, właścicielem dwóch kutrów, niechby i ze złomu — trzeba było od czegoś zacząć. Od dwóch rąk, niezłej chyba głowy i szansy, jaką memu bohaterowi reportaży dał „incydent zagraniczny”.

Ala po kolei. Pan Edward po ukończeniu ZSZ w Gdańsku-Brzeźnie zaczynał w Stoczni Marynarki Wojennej jako mechanik precyzyjny. Potem był podchorążym we Wrocławiu, ale na świecie był 1957 rok i odprężenie, więc w ramach redukcji szkoleń mu rozwiązano na trzy miesiące przed promocją. Był więc podoficerem zawodowym w Krakowie, w „Czerwonych Beretach” i ma na koncie 48 skoków. Zwolnił się i poszedł na praktykę do gdyńskiej „Arki”, przeżył jej nie najrozsądniejsze rozwiązania, likwidację kutrów a następnie, już w „Dalmorze”, naszkicowaną uprzednio rozbudowę floty oceanicznej.

Kończył zaocznie kursy w Szkole Morskiej i był

na motorowym trawlerze MIR „Wieczno” trzecim, a następnie drugim oficerem. Stamtąd przeszedł do spółdzielni „Jedność Rybacka” w Uście:

— Miałem za niski dyplom, żeby w MIR zostać kapitanem, a chciałem wreszcie samodzielnie łowić...

Został od razu szyprem na kutrach 24-metrowych, tych stalowych. Pensja i part były wciąż wyższe, bo i wyniki lepsze. W 1971 roku Polska sprzedawała armatorowi z Wysp Bahama, o banderze Brytyjskiej Wspólnoty i siedzibie w Freetown 32 kutry i siedem lugrotrawlerów. Na jednym z lugrotrawlerów typu B-17, z serii „ptaszków”, a konkretnie na „Maskomorze” został dowódcą; kontrakt zawarto na dwa lata.

Łowił najpierw w Brazylii, a potem „Maskomora” przebazowano do Surinamu w byłej Gujanie Holenderskiej. W załodze miał dwóch Indian, metysa, kreola, Murzyna i Hindusa.

— Takim mówiłem lenglidżem marynarskim. Co powiedziałem, to rozumieli, swoje też umiałem wyegzekwować...

Raz załoga tylko zbuntowała się z powodu braku wody pitnej, którą omyłkowo motorzysta czarny jak heban wypompował do żęzy. Odstawił załogę do bazy, łowił tylko w trójkę ze specjalistami — Polakami, a potem dostał nową.

Był twardy, bo taki jest, ale sprawiedliwy. „Drogi kapitanie — pisze mu dziś Mr. Bal Krishna, hinduski bosman — chcę panu powiedzieć, że bardzo mi pana brak. Był pan i będzie dobrym kapitanem, you were and you will be a good captain...” To się chyba liczy.

Przez dwa lata, gdy pływał na kontrakcie, w ogóle nie był w domu. Pisał kartki, listy, żona w kraju dostawała cztery tysiące złotych pensji. A on 300 dolarów, a od tony „szyjek” z odłowionej krewetki 135 dolarów kapitańskiego partu, czyli udziału.

Krewetki łowi się całkiem inną techniką, sześcioma sieciami ciągniętymi z obu burt statku na wysuniętych, długich na około 10 metrów bomach. Tylko nocą. Sto kilogramów szyjek za jedną noc to już wspaniały wynik. Szyjki w lodzie co pewien czas odstawiano do bazy, a najdłuższy rejs trwał aż 45 dni.

WYJŚCIE W MORZE

Późny niedzielny wieczór. My tu na ogół albo oglądamy rutynowo telewizję, albo w gronie przyjaciół dopijamy ostatnie kieliszki winiaku i — powiedzmy — filiżanki deficytowej kawy, albo idziemy z pieskiem na ostatni spacer, a pan Edward przygotowuje się do kolejnego wyjścia w morze. Na GDY-38 oczywiście nie ma kuka, czyli kucharza i każdy gotuje sobie jak umie sam — więc bierze zupki w proszku, chleb, masło, ser a na dodatek coś z „Baltony”. Ma w niej prawo do zakupów za cztery tysiące złotych miesięcznie i to bodaj jest jedyną dla rybaków przywilej.

Wyjście w morze o pierwszej w nocy, więc już w zacinających się poniedziałek. Przedtem trzeba, jak zawsze, wykonać dziesiątki czynności, od pobrania lodu po odprawę w punkcie kontrolnym WOP.

Jaki będzie ten rejs? Dzień był wietrzny a i teraz po niebie pędzą obłoki, raz po raz przyciemniając światło księżyca. W basenie portowym pluszcze krótka fala, zapowiedź tego, co czeka za główkami falochronu.

Dla nas prognoza pogody dla południowo-wschodniego Bałtyku to najwyżej wskazówka, jak się ubrać i czy wziąć na wszelki wypadek parasol. Dla załogi kutra GDY-38 rzecz ważna, a czasami kwestia bezpieczeństwa, kwestia życia.

„Stan morza 4 do 5, stan zatoki 2 do 3. Uwaga: ostrzeżenie o silnym wietrze...” Silnik rytmicznie pyka, cumy zdjęte, dystans wodny między burtą a nabrzeżem zaczyna się powiększać. A ja, już w domu, w mym zaciszu i twierdzy, śpię snem najtwardszym i najzdrowszym przewracając się z boku na bok.

Oszołomy i rezydenci

Zbigniew Gach

Powstaje pytanie: po co w takim razie piszę to wszystko, skoro nic się nie da zmienić i pozostaje tylko pełna „beznadzieja”? Piszę, bo wierzę jednak, że może do kogoś trafić, bo mam dosyć trupów młodych ludzi, moich przyjaciół, którym starałem się pomóc, którzy nie mieli siły wyjść z grobu, jaki sami sobie za życia wykopali „niewinną” zabawę ze strzykawką i prochami.

(Z broszurki pt. Na narkomanię nie ma mocnych — autorstwa prezesa Młodzieżowego Ruchu na Rzecz Przeciwdziałania Narkomanii „MONAR”, mgra Marka Kotańskiego).

Kiedy narkoman Darek-„Cukrzyk” po tygodniowym zaledwie pobycie w ośrodku „MONAR” w Zapowiedniku koło Skarszew ruszył z miną biednego misia (określenie kolegów) w stronę przystanku autobusowego, kierowniczką Basia Karaczyńska usiadła na ławce i zaciśnęła z całej siły pięści:

— On już jest trup — powiedziała.

Spoglądający także za odchodzącym wychowawcą Danek (Bohdan) Ciupiński zerwał żdzibło trawy i zaczął je miażdżyć w zębach:

— Oto widzimy człowieka, który nie umiejąc pływać, skacze beztrudno w głębinę. W tej właśnie chwili odbił się od pomostu i leci, i nikt już nie jest w stanie mu pomóc.

Mieszkańcy ośrodka, czyli „rodzina”, w milczeniu dopalili papierosy i zaczęli się rozchodzić. Dziesięć minut po obfitym drugim śniadaniu to wystarczająca przerwa. „Kaczor” i inni dyżurni kucharze znów zaszli się w kuchni, Grzesiek-„Wskazówka” podążył ze swoją grupą do stolarni, Maciek „od Suli” podryfował z kolegami do piwnicy urządzać kawiarnię-tawernę, Bogdan usiadł obok stosu cegieł i zaczął poprawiać szkic kominka, dziewczęta powróciły do prania i prac w ogrodzie. „Oszołomy”, czyli nowicjusze, z niechęcią chwycili za miotły i szczotki. Jako najniżej postawieni w hierarchii ośrodka, zobowiązani są przez pierwszy miesiąc pobytu pracować po 12 godzin dziennie, od 6.00 do 18.00 — to ważny zaczyn terapeutyczny. Owa robota jest często-gęsto nietęga, ale przecież oni zwykle nigdy przedtem nie pracowali. Zmagają się więc teraz ze swą narkomańską „niezależnością” czy raczej z niewyobrażalnym egoizmem. Przełamanie się i porządna praca to w ich przypadku wygranie pierwszej rundy w walce ze śmiercią. Następne są równie ciężkie, tak samo bowiem każde potknięcie może spowodować nokaut, dlatego wielu rezygnuje i odchodzi. Ponieważ się zdają sobie sprawę, że zaprzepaścili ostatnią szansę — jak to mówią — uwolnienia się od „glizdy”. Zaczynają wtedy rozpowiadać nieprawdopodobne rzeczy o okrutnej metodzie „MONAR”-u. Próbuja usprawiedliwić własną decyzję o ostatecznym zeszmaceniu się.

Stowarzyszenie „MONAR” zostało zarejestrowane 3 sierpnia 1981 r., ale praktycznie rozpoczęło działalność trzy lata wcześniej, w roku 1978. Wówczas to nakładem „Naszej Księgarni” ukazała się książka

Kazimierza Jankowskiego pt. *Mój Sambhala*, opisująca Synanon, organizację byłych alkoholików i narkomanów, założoną w 1958 r. w Santa Monica w Kalifornii przez byłego alkoholika (niegdysiejszego dyrektora Gulf Oil Company) Charlesa Dedericha. We wstępie K. Jankowski, z zawodu psychiatra, napisał: „Po paru tygodniach pobytu w Santa Monica otrzymałem zaproszenie na objazd kalifornijskich posiadłości Synanonu, a w szczególności farm położonych w Tomales Bay. Zostałem w ten sposób dłużnikiem, a jednocześnie przyjacielem i sympatykiem tej organizacji, i jeżeli moja książka pomoże w założeniu odpowiednika Synanonu w Polsce lub przynajmniej powstaniu podobnych grup terapeutycznych, może będzie to forma odwiedzienia się za niezwykłą gościnnością, jakiej zaznałem w Synanonie”.

Życzenie doktora Jankowskiego rychło stało się faktem, jeszcze bowiem w tym samym roku otworzono z myślą o leczeniu narkomanów oddział garwolińskiego szpitala neuropsychiatrycznego w Głoskowie (woj. siedleckie), przejmując wiele z założeń Synanonu. W jednym wszakże, bardzo zasadniczym punkcie ośrodek w Głoskowie, nazwany początkowo Młodzieżowym Ośrodkiem dla Narkomanów (M-O-Nar), różnił się od Synanonu — mianowicie z Głoskowa nie zamierzano uczynić wiecznej przechowalni dla byłych narkomanów. Lider ośrodka, bardzo zasłużony dla leczenia narkomanii w Polsce psycholog Marek Kotański, od początku założył, że zapoczątkowany przezeń ruch powinien w kilkuletnim cyklu leczenia wyciągać narkomanów z nałogu i przygotowywać do normalnego życia. Za minimalny okres pobytu przyjęto dwa lata, wliczając w to wielokrotne, systematycznie wydłużane przepustki.

Obecnie Młodzieżowy Ruch na Rzecz Przeciwdziałania Narkomanii „MONAR” dobił się już w kraju 6 punktów konsultacyjnych oraz 10 ośrodków resocjalizacyjnych, gdzie leczy się dobrowolnie przyjeżdżających narkomanów, jednak po uprzedniej ich detoksykacji w szpitalu. Od niedługiego czasu opinią najlepszego cieszy się wspomniany ośrodek w Zapowiedniku, oficjalnie przejęty 4 września 1982 r., a od 17 września goszczący pierwszego mieszkańca-pacjenta. Formalnie kieruje ośrodkiem jedynie Barbara Karaczyńska, szczupła blondynka w wieku balzackim; w rzeczywistości współautorem wielu po-

myślów organizacyjnych i terapeutycznych jest również jej towarzysz, Krzysztof Kowalski — niemal dwumetrowej wysokości wiceprezes Zarządu Głównego „MONAR”. Mieszkańcy ośrodka zowią tę parę „Kryształami” (od pseudo Krzysztofa: „Kryształ”, a jest to bardzo charakterystyczny przydomek zwyczajowy, że liderzy muszą być tutaj wzorcami osobowymi. Oboje pochodzą z Warszawy i są wychowanymi Marka Kotańskiego, aktualnie prezesa Zarządu Głównego „MONAR”. Uśmiechają się nieznacznie na uproszczone reporterskie pytanie: jak można by najkrócej scharakteryzować „MONAR”-owską metodę leczenia?

Barbara: — To jest raczej system niż metoda. W tej chwili my już dokładnie wiemy, czego chcemy, czego oczekujemy od pacjentów. Natomiast opisać tego do końca nie sposób, nawet w bardzo długiej rozmowie, bo to jest wszystko elastyczne, wymagające ciąglej czujności i inwencji.

Krzysztof: — Narkomania jest pewną siłą motoryczną kierującą człowiekiem. Zawładuje jego inteligencją i wszystkimi dyspozycjami psychicznymi (typu: chce, muszę, pragnę). „MONAR” poznał ten nałóg, rozgryzł jego mechanizmy. Pracujący tu ludzie wiedzą, kiedy i jak człowiek jest „podchodzony” przez narkomanię i z całą mocą starają się temu zaradzić. Pierwsze miesiące pobytu narkomana w naszym ośrodku to jak gdyby uczenie się sztuki tłumaczenia nałogu, stawiania mu weta, postępowanie na przekór. Takie działanie właśnie powściąga nałóg, stopuje go, ujarzmia.

Barbara: — Tak, to jest dobre określenie. „MONAR” dogłębnie poznał narkomanię, chyba już do końca. A znając ten nałóg, umiemy radzić ludziom jak mają go zwalczać. Przy czym jest jeden warunek: absolutna uczciwość. Otrzymując od pacjentów nieszczerze lub niepełne informacje, nie możemy właściwie przeciwdziałać nałogowi. Dlatego system „MONAR”-u nie jest dla wszystkich narkomanów, a raczej — jest dla wszystkich, lecz nie w każdym czasie. To paradoksalne, ale najlepszą motywacją dla leczenia się z narkomanią bywa zabranie w ślepią uliczkę i strach (np. przed wyrokiem za włamanie do apteki albo przed pójściem do wojska). Są oczywiście również powody dużo prostsze, na przykład stwierdzenie, że żyły już nie wychodzą na wierzch i nie ma w co kłuć. Darek „Cukrzyk” przyjechał do nas, bo skonstatował, że „już tak ciężko zdobywać te środki do ćpania”. Przy takiej motywacji widoki na wyleczenie są bardzo mizerne, a praktycznie — żadne. Zawsze odpadają ludzie, którzy przyjeżdżają tu z ciekawości albo żeby sobie zaliczyć jeszcze jeden „psychiatryk”.

Krzysztof: — Tak. Naprawdę wychodzą z nałogu tylko ci, którzy wiedzą po co przyjechali, którzy rozumieją, że jeśli chcą żyć, nie mają innego wyjścia niż się leczyć i wyleczyć. Z narkomanią jednak prawie nigdy nie rezygnuje się dobrowolnie. Nie ma niczego takiego, że narkoman budzi się pewnego pięknego dnia i mówi sobie: co ja robię?! Nałóg nie pozwala na takie myślenie. A tutaj, w ośrodku, właśnie tak trzeba myśleć i działać wbrew nałogowi. Trzeba podejmować wybory, na które nie stać byłoby narkomana na zewnątrz. I w ten sposób łamię się nałóg. Basia już powiedziała, że dla osiągnięcia tego celu nie stosujemy żadnej sztywnej metody, jest jednak oczywiście kilka generalnych zasad, które obowiązują wszystkich.

Barbara: — Najważniejszy jest nakaz całkowitej abstynencji, za złamanie której prawie zawsze wylatuje się z ośrodka, bez prawa powrotu. Jako pobyt w ośrodku liczymy okres powyżej dwóch tygodni; jeśli ktoś ucieknie przed upływem dwóch tygodni, może się starać o powtórne przyjęcie. Ale wypadki powrotów zdarzają się bardzo rzadko i bardzo rzadko mają sens. Poza abstynencją obowiązuje zakaz agresji, w czynie i słowie, a także zakaz grożenia agresją. Wszystkich, którzy nie ukończyli szkoły średniej, obowiązuje uczenie się. Naszą ambicją jest, żeby każdy monarowiec kończył leczenie z maturą w kieszeni. To są przecież zwykłe ludzie inteligentni i stać ich na dalszą naukę.

Krzysztof: — Mówią niektórzy, że nasi pacjenci żyją jakby pod kloszem, bo nie stykają się z wieloma problemami normalnego życia. Jest to tylko częściowo prawda, bo oni tutaj uczą się także życia społecznego.

Barbara: — Jedyną szansą dla człowieka, który ma wyjść z narkomanii, jest życie uczciwie. I cały wic polega na tym, że my im proponujemy życie uczciwie. Natomiast jeśli chodzi o takie normalne trudności życiowe, to ta izolacja jest tylko do czasu. Stąd nie wychodzi się równo po dwóch latach, stąd wychodzi się bardzo płynnie. Przychodzi okres, w którym czas spędzany przez pacjenta na przepustkach jest dłuższy niż przebywanie w ośrodku. Ktoś na przykład przyjeżdża tutaj na cztery dni, a potem wyjeżdża na trzy tygodnie organizować sobie życie na zewnątrz. I w pewnym momencie, w sposób taki prawie niezauważalny, po prostu opuszcza ośrodek.

Krzysztof: — Ja bym powiedział, że ten klosz (ten „inkubator” — jak mówią sami mieszkańcy) jest pozorny, bo on ma chronić tylko przed niektórymi bodźcami, które dla narkomana z krótkim okresem abstynencji są zabójcze. W ośrodku nie ma czynników „nakrecających”, jak na przykład sklep monopolowy, nie ma pijaka, nie ma „zaćpanego” narkomana, nie ma pokusy typu: wykupić coś w aptece na sfalszowaną receptę. I tylko w tym sensie jest to „inkubator”. Ale na co dzień ci ludzie przecież pracują. Na początku wymaga się od nich pracy takiej, w której dawaliby z siebie wszystko, a nawet więcej niż im się wydaje, że potrafią. Niektórzy oczywiście tego nie wytrzymują, ale tak naprawdę szansę na wyjście z narkomanii mają tylko ci, którzy w tym celu zdecydowali się zrobić wszystko. W zasadzie cała „waga” polega na tym, że my tylko czuwamy, dogłębiamy i niekiedy mocniej korygujemy, ale egzekwują sami pacjenci, zbiorowość. Zbiorowość jest wspólną wolą ludzi, którzy indywidualnie mają wolę bardzo słabą. Początkowo było tak, że przebywaliśmy w tym ośrodku z grupą pięciu czy sześciu osób, zaszczepiając w nich pewną ideę, pewne wartości. A w tej chwili oni to kontynuują, jak gdyby zarażając ową ideą abstynencji, trzeźwości i życia w uczciwosci tych, którzy tutaj przychodzą. I na tej zasadzie to się kręci.

Basia: — „MONAR” usuwa raczej skutki niż przyczyny brania narkotyków. Robimy tak: przyjmujemy kogoś do ośrodka, mówimy mu na dzień dobry — po wnikliwej rozmowie — jaki on nam się wydaje i jaki prawdopodobnie jest, po czym zaczyna się jego normalne funkcjonowanie. Praktycznie biorąc nie pytamy o przeszłość, bo to nie jest dla nas ważne. Ważne jest, że zaczyna na nowo.

Krzysztof: — Podstawową terapią jest tutaj praca, będąca sposobem na wywoływanie pewnych zmian psychologicznych. Poprzez pracę narkoman musi się generalnie przełamywać, to znaczy robić rzeczy, których nigdy nie akceptował. Wykonując robotę w miarę możliwości sumiennie i dokładnie, pokonuje bariery w sferze swojej psychiki. To pozwala mu uwierzyć, że jest w stanie robić rzeczy trudne, takie, do których wcześniej nigdy by się nie zmusił. Narkoman to człowiek o postawie bardzo konsumpcyjnej, nastawiony do życia wygodnicko. Dlatego nie akceptuje, nie godzi się na trudności. Kiedy pojawia się trudność, następuje jak gdyby mechanizm ucieczki. A pracą, zacięciem można go pokonać. Pracą połączoną z abstynencją.

Basia: — Ludzie, którzy nigdy nie brali narkotyków, często nie potrafią odróżnić „zagrzanego” narkomana od tego, który nic nie wziął. Natomiast narkoman leżący się czuje to jak gdyby przez skórę. Dlatego we wszystkich ośrodkach naszego stowarzyszenia funkcjonuje tak zwana Służba Ochrony „MONAR”-u (w skrócie: SOM). Społeczność wybiera do niej ludzi godnych zaufania, którzy codziennie, o dowolnych porach, mają prawo kontrolować trzeźwość wszystkich mieszkańców. Taka kontrola polega na sprawdzeniu wydechu i reakcji źrenic na światło, niekiedy także na zmierzeniu ciśnienia i sprawdzeniu drżenia rąk.

Krzysztof: — Mało komu wiadomo, że narkomani często używają zamienników, ponieważ mają wbudo-

wany w swoją osobowość przymus odurzania się. Zamiennikiem, z braku narkotyków, bywa najczęściej tak zwany „czaj”, czyli silny napar z herbaty (w ośrodku wolno przyrządzać herbatę tylko z płaskiej łyżeczki), ale może nim być także jakieś lekarstwo zażyte w dużych ilościach albo alkohol. Mielismy dwie dziewczyny, nastolatki, które opii się płynem do mycia szyb i aż do przyjazdu karetki wymiotowały mydlinami. Mielismy też inną narkomankę, która próbowała się odurzać wachając farby i rozpuszczalnik. Pomysłowość w tej materii jest nieograniczona — zresztą za zamienniki uznajemy nawet „nakręcające”, wspominkowe rozmowy o „ćpaniu”. Dlatego tak ważne są w ośrodku szczerze i uczciwość. Bez nich musielibyśmy poruszać się po omacku, nie wiedząc, w jakim stadium leczenia są nasi pacjenci. A to zupełnie nie miaoby sensu.

Do zasanowanej kadry ośrodka, liczącego obecnie 25 pacjentów, należą (opócz „Kryształów”, czyli „de-rekcyj”) lekarz Marian Kociuba oraz wychowawcy Danek (Bondan) Ciupiński i Ryszard Piecnowski. Poza nimi na etatach są również: sekretarka medyczna, dwoje księgowych, konserwator i kierowca do zaopatrzeniowego fiata 125 p pick-up.

Marian Kociuba pochodzi z Lubelskiego. Po studiach medycznych w Białymstoku interesował się przez jakiś czas psychiatrią, ale ostatecznie stwierdził, że najbardziej pasjonuje go praca z młodzieżą. Poprzez Garwolin i Głusków trafił do Zapowiednika, gdzie przyjechał na stałe w kwietniu 1983 r. Wychowawcy Danek i Ryszard mieszkają w Gdyni, dojeżdżając do Zapowiednika na kilkudniowe dyżury. Danek jest z reguły od poniedziałku do środy, Ryszard — od czwartku do soboty. Obaj zostali przetestowani w Głoskowie, gdzie pacjenci pozytywnie ocenili ich kwalifikacje oraz — co ważniejsze — osobowości. Obaj zdecydowali się na ten typ pracy, widząc spustoszenie, jakiego narkomania dokonała wśród ich bliskich znajomych i wśród krewnych. Obaj traktują to, w co się włączyli, jako sprawę — wymagającą nie poświęcenia, ale dużego, rozumnego zaangażowania. Nie wyodrębniają się spośród grupy pacjentów — są po prostu z nimi i w pracy, i w zabawie. Danek napisał nawet *Hymn ośrodka w Zapowiedniku*, śpiewany na melodię *Hymnu I Brygady*:

Mówili, żeśmy stumanieni,
Mówili, że nie będzie z nas już nic,
Ze nie ożywi się kamieni,
Choćby w nie serca swoje wbić.

Refr.: My z Zapowiednika —
Wolna republika!
Na stos rzuciliśmy
Siłność i zło,
Na stos, na stos!

Bo myśmy wyspę swą odkryli
Pośrodku lasów, pól i łąk,
I świat zobaczy, że się mylił,
Kiedy się rzekał naszych rąk.

Refr.: My z Zapowiednika... itd.
Tutaj na nowo się rodzimy,
Tu nam smakuje zwykły chleb
I już nie wpuści nas w maliny
Naszej „glizdeczki” cwany łeb.

Refr.: My z Zapowiednika... itd.

Wszyscy w ośrodku są na „ty”, co jednak nie osłabia wymagań. Ciekawe, że wiele drobnych rygorów wymyślili i akceptują sami pacjenci. Dla przykładu można podać ustanawianie tzw. „kaprali”, czyli osób odpowiedzialnych za poprawianie się w pracy konkretnego nowicjusza. „Leczymy się sami, ale pomagamy sobie wzajemnie” — oto zasada monarowców. Tutaj prawdziwy przyjaciel powinien obowiązkowo donieść o tym, że ktoś złamał abstynencję. Zatajenie takiej wiadomości oznacza, że się wchodzi w „układ”, a to jest typowo narkomańska skłonność, polegająca na wzajemnym kryciu swoich przewinień. Jednym z najczęstszych przewinień w ośrodku jest rozmowa „nakręcająca”, czyli wspomnianie chwil, w których się „ćpało”. Jak to powiedział jeden ze starszych mieszkańców ośrodka: długie „szlugi” (papierosy) i przyćmione światła, więc pełna „kojara” (atmosfer-

ka narkomańska), „buzuja” człowieka i utrzymują w „gotowości bojowej” do „przygrzania” przy pierwszej nadarzającej się okazji. A to oznacza, że taki człowiek się nie leczy, że stoi w miejscu, stanowiąc dodatkowo zagrożenie dla innych. Dlatego w ośrodku tak bardzo tępi się „układy”.

Pierwszym pacjentem Zapowiednika był 30-letni Andrzej z Częstochowy. Od dnia jego przybycia, czyli od 17 września 1982 r. liczy się początek działalności ośrodka. Andrzej dotrwał do dnia dzisiejszego i jest obecnie jednym z rezydentów, czyli pacjentów przebywających w ośrodku minimum przez 10 miesięcy i czyniących stałe postępy w leczeniu. Rezydenci, pełniący niejako funkcje młodszych wychowawców, sami wybierają i organizują sobie pracę, mają prawo do jedno- lub dwuosobowych pokoi, korzystają w sposób nieskrępowany z przepustek i posiadają jeszcze kilka innych przywilejów. Rezydent oczywiście traci swoją pozycję w przypadku naruszenia zasad panujących w ośrodku, a jeśliby złamał abstynencję, wyleciałby z jeszcze większym hukiem niż byle „oszołom”.

Najdłuższy staż pośród rezydentów ma 24-letni Mirek z Warszawy, blondyn w srebrnych, druczanych okularach. Zaczynał jeszcze w warszawskiej grupie terapeutycznej prowadzonej przez Krzysztofa, dlatego nie liczy się go jako pierwszego pacjenta Zapowiednika. Faktycznie jednak przyjechał tu w grupie pionierskiej, razem z „Kryształami”. Mirek w tym roku zdał na Uniwersytet Warszawski, na socjologię, i ma już olbrzymi, no, powiedzmy spory dystans do tego, co było. Jest wysportowany, pełen chęci do życia. Po obiedzie potrafi wyjść z jadalni i razem z innym rezydentem, Bogdanem, zakrzyknąć prosto w słońce, rozpościerając ramiona: „Boże, czemu stworzyłeś mnie takim bykiem?!” Potem siada na ławce pod jodłą albo pod kasztanem i zaciąga się dymem z papierosa. Jako rezydent ma dużo wolnego czasu, może więc pogadać. Zdania układa precyzyjnie, klarownie, dbając o najbardziej „akwedutny” (tutejszy neologizm) dobór słów:

— Pobyt w ośrodku „MONAR”-u to właściwie učenje się życia, przy czym podstawowa linia postępowania jest prosto wytyczona: jeśli chcesz się leczyć, musisz być maksymalnie szczery. Błąd wielu dziennikarzy polega na tym, że chcą u nas widzieć tylko metodę i zasady, gdy tymczasem tutaj przede wszystkim pulsuje życie. Może nie takie zwyczajne, bo obwarowane specyficznymi rygorami, ale pamiętajmy, że chodzi o niewolników nałogu. Jednakże tutaj ludzie również przyjaźnią się i kochają, a także kłóca się i nienawidzą. Wbrew niektórym poglądom, „MONAR” nie niszczy osobowości (bo narkoman to przecież wrak bez osobowości), lecz właśnie wydobywa ją, kształtuje i umacnia. Inaczej twierdzą tylko ci, którzy nie wytrwali w leczeniu. Nie ma u nas także kar jako takich, lecz są konsekwencje wyłamania się spod rygorów. Taką konsekwencją może być bieganie dookoła ośrodka, dodatkowa praca, krótkoterminowy zakaz palenia papierosów czy też — bardzo częste w stosunku do „oszołomów” — strzyżenie głowy na „zero”. Długie włosy to symbol przynależności do narkomańskiej kasty; pozbycie się ich bywa dużym wstrząsem, a jednocześnie jest jak gdyby pierwszym etapem na drodze do zerwania z przeszłością. Na początku procesu leczenia narkoman liczy każdą minutę i każdą godzinę abstynencji, potem zaś już nawet tygodnie nie mają znaczenia. Przychodzi jednak taki moment, kiedy narkoman z całą ostrością uświadamia sobie, że już nigdy nie będzie wolno mu wziąć — i owo uświadczenie jest momentem strasznym, a jednocześnie przełomowym. Jeżeli później ktoś ma odwagę uczciwie powiedzieć, kim był poprzednio (egoistą, kłamcą, oszustem), to znaczy, że „pękł”, że już się do tamtego nie poczuwa, że ma dystans, że jest na dobrej drodze do wyleczenia. Podleczone narkoman powinien dobrowolnie raz na zawsze odciąć się od środowiska narkomańskiego. Także — rezygnować z niektórych tras i omijać punkty spotkaniowe narkomanów, jak na przykład pasaż w Warszawie czy Długa w Gdańsku. Powinien wreszcie unikać widoku pijaków i z daleka omijać pola makowe, żeby go jeszcze czasem coś nie „tąpnęło”.

— Leczenie u nas polega na tym, żeby sobie ciągle podwyższać poprzeczkę — dorzuca wpołnający na trawie Bogdan. — Pierwsze przełamanie się to praca, a potem „oszołom” systematycznie otrzymuje od starszych stażem koleżanek i kolegów liczne tak zwane informacje zwrotne, czyli uwagi, które powinny zapasć w jego świadomości i wywoływać właściwą reakcję. Nowicjusz zresztą musi przyjmować informacje zwrotne, bo nie ma wyboru. Kto nie przyjmuje informacji zwrotnych, ten się nie leczy (trwa w narkomańskiej zaciekłości), a kto się nie leczy, musi odejść z ośrodka.

Bogdan już na początku pobytu w ośrodku poznał swoje przyszłe szczęście — szczenińkę Gosię-„Małą” (nie mylić z Gosią-„Czarną”). U progu bieżącego roku Gosia-„Mała” poczuła się brzemienią, w związku z czym 25 czerwca odbył się ślub. Podczas uroczystości w Urzędzie Stanu Cywilnego w Skarszewach państwo młodzi kroczyli w wypożyczonych przez Dankę teatralnych strojach renesansowych, a społeczność ośrodka — łącznie z całą kadrą — wystąpiła jako banda wesółych przebierańców. Miały Skarszewy o czym mówić! O północy tegoż dnia odbył się w Zapowiedniku ślub „MONAR”-owski — pierwszy tego typu w kraju, jako że po raz pierwszy w związek małżeński wstąpiło dwoje leczących się narkomanów (zwykle bywało odwrotnie, to znaczy pary narkomańskie rozchodzili się po leczeniu). Nowożeńców przyjęło w „biurowcu” w blasku pochodni i uroczyste wręczono słomiane kukiełki z napisami: „złość”, „nienawiść”, „nietolerancja”, „nieuczciwość”, „nietrzeźwość”. Następnie cały orszak udał się do parku, gdzie kukiełki zostały ciśnięte w ogień, a pozostałe z nich popioły — rozrzucone w cztery strony świata. Z kolei Młodemu podano w kielichach wodę, którą wlało do jednej czary i wspólnie z niej wypili. W miejscu posypania ziemi popiołami Bogdan rozsypał zboże, podlewając je resztą wody z czary. Cały ceremoniał trwał ponad pół godziny i był dla nowożeńców przeżyciem o wiele silniejszym niżli ślub w urzędzie.

Mieszkańcy Zapowiednika niemal podświadomie dają do tego, żeby tworzyć sobą jedną wielką rodzinę. Niejeden czy niejedna po raz pierwszy w życiu odczuwa tutaj coś w rodzaju normalnego ciepła rodzinnego. Niektórzy, jak na przykład Maciek „od Suli”, nie mogli znieść rodzicielskiej nadzrośliwości; inni, i tych jest znacznie więcej, nie mieli w domach uczucia, bo zresztą nie bardzo na nie zasługiwali. Sula (Sułtana), z pochodzenia Greczynka, jest matką 6-letniego Grzesia, ale dawniej „ćpając”, nigdy nie czuła nic specjalnego ani do swojego dziecka, ani do jego ojca. W domu rodziców chowana była zbyt twardo, bez żadnych sentymentów, i dopiero w Zapowiedniku po raz pierwszy w życiu zażrzało jej sere. Nie wiedząc, co się dzieje, poszła po poradę do Basi, ta zaś przytuliła ją jak siostrę, uśmiechnęła się i powiedziała: jesteś po prostu zakochana. Wybrańcem okazał się właśnie Maciek. W kilka miesięcy później Sula — za poręczeniem „MONAR”-u — odzyskała sądownie utracone wcześniej prawa rodzicielskie i przywiozła synka do Zapowiednika. Grzesio jest obecnie jednym z trojga dzieci pacjentek (matkami są również Bogusia i Ewa). Kiedy urodzi Gosia-„Mała”, będzie już czwórka; kiedy dziecko sprowadzi Majka — będzie piątka.

Majka pochodzi z Krakowa i jest najmłodszą stażem pacjentką Zapowiednika, przybyła bowiem przed tygodniem. Razem z nią przyjechał jej chłopak, ale ponieważ był „przygrzany”, odesłano go na odtrucie do szpitala w Kocborowie. Do Zapowiednika już nie zostanie przyjęty — przede wszystkim dlatego, że pary narkomańskie tworzą zwykły „układ” i nie motywują się do leczenia. Ale Majka mimo wszystko twierdzi, że ona zostanie. Ma 28 lat i niejedno już przeszła. Do leczenia skłoniła ją przede wszystkim tragedia, jaką przeżyła w ubiegłym roku. Siedząc w namiocie z 8-letnim synem, zrobiła sobie nad świecą „kompot” i „przygrzała” tak mocno, że straciła świadomość. Od ogarka świecy zapalił się namiot, a wraz z nim ona i dziecko. Oboje odratowano, ale dziecko, które lekarze parokrotnie wyciągali z śmierci klinicznej, właściwie utraciło rysy twarzy — w jej

miejsu jest wielka oparzelina. Majce, mimo przeszczepów, zostały ślady oparzeń na prawej stronie ciała, od kolana po policzek. Piątego dnia pobytu Majka przyniosła się przed społecznością, że przemyciła do ośrodka 8 opakowań relanium (dostało się wtedy SOM-owi za pobieżne sprawdzenie nowicjuszek). Obiecała jednak, że odtąd będzie ściśle przestrzegała zasady abstynencji i sama narzuciła sobie dodatkową pracę do godziny 21.00.

— Ja naprawdę chcę się leczyć — mówi w kilka dni po tamtym zajściu — i dlatego jestem gotowa pracować do upadłego.

Pracę w ośrodku wyznacza czteroosobowy zarząd, wybierany spośród mieszkańców. Aktualnie w skład zarządu wchodzi: Iwona (dzwieczna Mirka; prezes), „Kaczor” (czyli „Donald”; szef kuchni), „Cypis” (gospodarz głównego budynku) i Włodek („kierownik od pracy”). Zarząd rozliczany jest ze swej działalności przez społeczność, albowiem — jak mówią mieszkańcy — społeczność to jak gdyby sejm, zarząd to rada państwa, a „derekcja” to rząd. Od uchwał ogółu nie ma odwołania, jedynie w sprawach merytorycznych kadra ma prawo weta. Dzień pracy w ośrodku wygląda następująco: o godz. 5.30 pobudka dla pierwszej zmiany kuchennej i nowicjuszy; o godz. 6.00 pobudka dla pozostałych mieszkańców, z wyjątkiem drugiej zmiany kuchennej, kadry i rezydentów; o 6.20 śniadanie; o 6.45 odprawa dotycząca podziału pracy (prowadzi ten z członków zarządu, który w danym dniu ma tzw. nadzór); o 7.00 początek pełnej pracy wszystkich do niej zobowiązanych. O godzinie 10.00 jest drugie śniadanie; o 15.00 kończą się zasadnicze godziny pracy i podawany jest obiad (kelnerują kuchenni: „proszę bardzo”, „dziękuję uprzejmie”); o 18.00 kończą pracę nowicjusze; o 19.00 jest kolacja. W późnych godzinach wieczornych kończy pracę druga zmiana kuchenna. Na wszystkie posiłki wzywa się mieszkańców biciem w mosiężny dzwon.

Rozliczającym sumieniem zbiorowości jest tak zwana społeczność — ale tym razem w znaczeniu zebrania, podczas którego koryguje się postawy psychiczne pacjentów i pierze wszystkie ośrodkowe brudy, łącznie z najbardziej intymnymi. Bez społeczności mieszkańcy nie wyobrażają sobie funkcjonowania ośrodka, społeczność bowiem to jednocześnie pregiery i miejsce oczyszczania, kocioł namietności, ale i drogowskaz na przyszłość. Wolno tutaj używać mocnych słów i mocnych oskarżeń, nie wolno natomiast kłamać i wypierać się popełnionych błędów. Na społecznościach najlepiej widać funkcjonowanie zasady szczerości i jej związek z postępami w leczeniu. Tu najbardziej rozluźnieni, poza kadrą, są rezydenci, a najbardziej zamknięci, kłamliwi i tkwiący w „układach” — nowicjusze. Rezydenci są zdania, że „oszołomy” z początku programowo leca „w poczwórną zapartą”, czyli, że kłamia i wymyślała w mwał zasady, którą wyznawali lub też której hołdowali przecież przez kilka lat. Dopiero po jakimś czasie zaczynają rozumieć, że w ten sposób niczego nie osiągną, a już na pewno nie wyleczą się z nałogu. Jednakże zrozumieć to jeszcze nie wszystko. Nawet mieszkańców z półrocznym i dłuższym stażem co rusz przwznają się do przewinień, za które zbierają gromy od kadry. A to których poszedł na przepustce za nieznanym długowłosem, podświadomie mwałac o wyłudzeniu od niego narkotvku; a to któraś zbierała pieniądze na „złoty strzał” (przedawkowanie, porcja heroinu powodująca euforie i śmierć); ten wprowadził koleśków-„ćpunów” na teren ośrodka, inny przwzrządził sobie herbatę, która chłba nazwać by trzeba „czajem”, jeszcze inny coś sknocił, czegoś nie doniósł, czegoś nie zrobił, a powiedział, że zrobił... Zdarza się, że wznania narastają długo, aż wreszcie wybuchają ze zdwoioną siłą. Tak było na przykład z Ewą, pół-Ormianką, która nie mogąc sobie poradzić z nawarstwionymi problemami, napisała coś w rodzaju listu otwartego do społeczności:

„Prawie nigdy nie byłam z wami szczerą, poczynając od pierwszego dnia pobytu tutaj (7.II. 1983 r. — przyp. Z.G.). Nieprawdą było to, że chcę się leczyć, bo mam dziecko, które kocham i chcę mu stworzyć normalne warunki rozwoju. W ty-

dzień po urodzeniu zaczęłam brać i nie mogło być nawet mowy o tym, żebym go (synka — przyp. Z.G.) zaakceptowała i przyjęła do swojej świadomości, że jestem matką. (...)

Wcale nie wiedziałam o tym, że zostanę w ośrodku, myślałam, że to kolejna próba udowodnienia sobie, że robiłam wszystko i znów mi nie wyszło. (...) Przez bardzo długi okres czasu miałam słowo „wyjazd” na końcu języka. (...) Pierwsze trzy miesiące tutaj to beznadzieja i ciągła myśl o ćpaniu, a co za tym idzie, to niedostrzeżenie tego, co się dzieje wokół. Nie widziałam, że mam dziecko, że muszę żyć; uważałam się tylko nad sobą. (...) Nie miałam ambicji być kimś, coś w życiu osiągnąć, nie chciałam w to wkładać żadnego wysiłku. (...) Ciągłe byłam zmęczona, miałam najwięcej pracy i znów tłumaczyłam sobie to, jaka ja jestem dzielna. (...)

Potem nastąpił okres, kiedy byłam w stanie wy magać coś od siebie, dużo pracowałam, na wszystko miałam czas, dawałam sobie sama z tym radę i już myślałam, że jest dobrze. (...) Ale za szybko uznałam, że ze mną to jest już dobrze i zaczęło przewracać mi się w głowie. Nie wiedziałam nadal, że muszę być szczerą i zapom niałam, że jestem chora. Myślałam, że jak sobie „ustawię” tu w jakiś sposób, to mogę dalej tak żyć. (...)

Przed wami grałam dzielną dziewczynę, która została sama z dzieckiem i swoją nieudolnością, i postanowiła sobie dać radę. Były dni, kiedy patrząc na Marcinka przyrzekałam mu, że już nigdy go nie odrzucę, jak będzie się do mnie przytulał, i że nic nie jest w życiu ważne, tylko on. Ale nie na długo starczyło mi tego zaciecia, bo nie zrobiłam tego do końca dla siebie. (...) Znów nie byłam sobą, zaczęłam bać się i nie lubić ludzi, wszystko i wszyscy mnie irytowali. Było nawet tak, że nie wiem, czy byłabym zdolna do płaczu, gdyby stało się coś z Marcinkiem. I tak, bez żadnych ambicji i bez honoru brnęłam dalej w matnię. (...)

Společności w Zapowiedniku odbywają się dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, ale mogą być zwoływane także w inne dni, jeśli co najmniej trzy osoby zgłoszą taką potrzebę do prezes Iwony. Miejsce przeprowadzania społeczności jest tzw. sala terapeutyczna — z rozłożonymi i rozstawionymi wokół ścian materacami, stanowiącymi pozostałość po starych, kolonijnych łóżkach (teraz wszyscy mieszkańcy mają jednoosobowe łóżeczka). Czas odbywania społeczności to zwykle późny wieczór. Obecność jest obowiązkowa. Społeczności nadzwyczajne, na przykład z powodu złamania przez kogoś abstynencji, zwoływane są od razu, na gorąco, gdy tylko wykryta zostaje sprawa, którą należy bezzwłocznie omówić. Tak na przykład odbyła się społeczność z powodu przemycenia relanium przez Majkę. Tak również było nieco wcześniej, pod koniec czerwca, kiedy „Kaczor” został przyłapany na robieńiu „czaju”. Społeczność zadecydowała wtedy, że należy „Kaczora” wyrzucić i mimo że Izy stały mu w oczach, został bezzłotnie odorowadżony do szosy. Pokazał jednak, że chce walczyć z nałogiem, że bardziej zależy mu na leczeniu niż na braniu. Przez cały dzień krążył wokół ośrodka, dając do zrozumienia, że nie odejdzie i nie „przvépa”. bo nie czuje się zwolniony z ośrodkowej reguły. Wieczorem na kolanach poprosił społeczność o jeszcze jedną szansę. Dano mu ją, acz warunkowo.

Nikt w Zapowiedniku nie dokonuje takich rozróżnień, ale gdyby się uprzeć, można by wyróżnić 4 odmiany społeczności. Pierwszą byłaby społeczność tzw. przyjęciowa, na której decyduje się, czy danego nowicjusza przyjąć do grona mieszkańców. Drugą — wspomniana społeczność nadzwyczajna. Trzecią stanowiłaby społeczność, którą wypadałoby nazwać generalną albo rozliczeniową (we wtorki i piątki). Wreszcie czwartą byłaby tzw. psychodrama, czyli markowane wyrzucanie pacjenta za rzekome złamanie abstynencji, przy czym do tajemnicy dopuszczona jest tylko część kadry oraz oskarżony i oskarżający — ten, który niby przyłapał kolegę na gorącym

uczynku. Reszta pacjentów nie wie, że uczestniczy w mistyfikacji i reaguje w pełni emocjonalnie, dostarczając kadry nader cennych obserwacji. Oczywiście, w odpowiednim momencie psychodrama jest przerywana i społeczności wyjawia się prawdę.

Jeśli któryś z pacjentów, mimo szczerości i chłonności na społecznościach, czuje się jednak zagubiony i błądzący, idzie po prostu na indywidualną rozmowę do Barbary lub Krzysztofa. Bywa, że wychodzi z tego krótka pogawędka, bywa, że cały cykl wielogodzinnych dialogów. Zdarza się także, iż pacjent otrzymuje polecenie mające go uwrażliwić na problem życia w zbiorowości. Na tej właśnie zasadzie Trajan, Grek z pochodzenia, i Maciek „od Suli” zaczęli okresowo pisać pamiętniki. Przebija w nich, spoza rozmaitych spostrzeżeń, ciągłe szarpanie się byłych narkomanów z przydeptanym, ale jeszcze nie w pełni zduszonym nałogiem.

(Z pamiętnika Trajana:)

Piątek, 28.01.1983 r.

„Po pracy przyszedłem do pokoju. Leszek leżał w łóżku, ja podniosłem wapno w złotku, które leżało na oknie, a Leszek powiedział, że w takim samym opakowaniu była kiedyś codeina — i zaczęła się rozmowa”.

Piątek, 4.02.1983 r.

„Z rana źle mi się pracowało, chciało mi się spać do drugiego śniadania. Później rozkreśliłem się i dobrze mi szło. Zdarzyło się, że kilka razy „glizda” zaatakowała mnie — w takiej chwili siadałem na kiblu, spuszczając głowę na kolana”.

Piątek, 18.02.1983 r.

„W łóżku nachodzili mnie głupie myśli o ćpaniu. Starłem się czymś zająć, ale nie poskutkowało — gdy przykładam głowę, to zaraz peyoti itp.”

Poniedziałek, 23.05.1983 r.

„Bardzo nie lubię, gdy mi ktoś coś każe. Zawsze robiłem na przekór wszystkim”.

Środa, 1.06.1983 r.

„W pewnym momencie podszedł do mnie Rafał, poprosił o papierosa i przy okazji zagadnął, że za plotem rośnie mak czerwony i że by z chęcią zapłacił leśniczemu, żeby ten mak zniszczył. Ja mu odpowiedziałem, żeby traktował to jako kwiat ozdobny. Nie wiem, czy mu dobrze powiedziałem, bo był jakby trochę zdziwiony”.

Piątek, 10.06.1983 r.

„Gdy tylko przyjechaliśmy (z pola — przyp. Z.G.), dowiedzieliśmy się, że „Pinokio” dzisiaj się zerwał. Trochę mnie to zaskoczyło, bo facet już coś z sobą robił. Widać było, że się stara, że chce się leczyć. Widocznie nakreślił się już wcześniej, zachciało mu się bardzo ćpać i wyjechał. Nie wiedziałem, że tak fajny facet może być tak rzadki”.

Niedziela, 19.06.1983 r.

„Dzisiaj miałem koszmarnie sny. Śniło mi się całe pudło makowin...”

Trajan był zatwardziałym narkomanem. Brał przez 12 lat i przebywał już na czterech odwykach. Maciek „od Suli” jest młodszy i ma znacznie mniejszy staż narkomański. Może dlatego w jego pamiętniku widać ślady jakby szybszych postępów w leczeniu.

(Z pamiętnika Maćka „od Suli”)

Środa, 12.01.1983 r.

„Dyrekcja zawsze ma rację, a jak uważam, że nie ma racji, to przyjmuję, że ma rację”.

Wtorek, 18.01.1983 r.

„Zauważyłem u siebie, że do ludzi, którzy się nie leczą lub leczą na pół gwizdka czuję większą lub mniejszą niechęć, a w niektórych przypadkach nawet agresję”.

Piątek, 21.01.1983 r.

„Tego dnia odbyła się społeczność. Na społeczności mówiono prawie o wszystkich. Najbardziej dostało się Grześkowi. Sprowadziliśmy go w końcu na ziemię. Myślę, że po tylu informacjach, powiedzianych dosyć ostro, zrozumie w końcu o co tutaj biega. Dostał również karę w postaci obcięcia włosów, pracy do 21.00, chodzenia w drelichu i 2 kaprali. (...)

Na społeczności udzielono i mi paru informacji. Dowiedziałem się mianowicie, że strugam biednego misia, który chce zwrócić na siebie uwagę swoim za-

chowaniem. To prawda — nie czułem tego, ale skoro mówi mi o tym cała społeczność, to znaczy, że tak jest”.

Poniedziałek, 24.01.1983 r.

„Dzisiejszego dnia Grzesiek chciał wyjechać. Był już nawet w Starogardzie, ale gdy się dowiedziała o tym Basia, zawróciła go z drogi śmierci. (...) Kiedy dowiedziałem się, że Grzesiek wyjeżdża, poczułem nienawiść do niego, nie chciałem go przekonywać, żeby został. Wręcz przeciwnie, chciałem go wykopać za bramę i zmieszać z błotem. Bo co to za debil, który będąc już dwa miesiące i wiedząc teoretycznie wszystko, co powinien wiedzieć, nie rozumie o co tutaj chodzi?! Siedzi tu tylko dlatego, że grozi mu wyrok. (...) Pewnie założył sobie, że przesiedzi tu cicho i spokojnie, aż ucihną jego sprawa. Niestety, u nas nie da się tak”.

Sobota, 19.02.1983 r.

„W zeszłym tygodniu, tj. od niedzieli do wtorku byłem na przepustce w domu. (...) Na przepustce widziałem wiele, lecz nie umiem znaleźć słów, żeby to opisać, tych ludzi i ten cały świat. Ja przede wszystkim pilnowałem siebie, żeby nie wdawać się w walkę z nałogiem. Kontrolowałem się po prostu, a przede wszystkim kontrolowałem swoje myślenie. Pobyt w Puławach był w sumie ciągłą walką z nałogiem. W każdym miejscu, gdzie nie byłem, nadochodziły mi wspomnienia z narkomańskich czasów. (...) Nie wyjadę więc z ośrodka dotąd, aż się nie wylecę. Choćby nie wiem co się stało, to zostanę i będę dotąd, aż powiedzą mi, że jestem zdrowy”.

Wtorek, 8.03.1983 r.

„Mamy dzisiaj Dzień Kobiet. Z tej okazji zorganizowaliśmy naszym kobietom skromną biesiadę. Ugotowaliśmy potrawę włoską, tzw. spaghetti, a na deser były pączki i lody. Na drugi dzień był Dzień Chłopca, więc dziewczęta odwiedzily się nam w nie mniej miły sposób, a mianowicie podały nam śniadanie do łóżka”.

Poniedziałek, 13.04.1983 r.

„Dzisiaj po obiedzie zacząłem dużo rozmyślać o ostatnich wydarzeniach w ośrodku, a szczególnie o ucieczce Leszka i Jolki, i wyjeździe „Długiego”. Po pewnym momencie zacząłem się czegoś bać. Nie wiedziałem czego. Dopiero po jakiejś chwili dotarło do mnie czego się boję. Boję się podobnej sytuacji ze mną. Boję się jakiegoś „dolu”, podczas którego przestanę widzieć sens leczenia i nie powiem o tym nikomu. (...) Chciałbym bardzo jechać na przepustkę, teraz, do domu, i dlatego mam problem porozmawiania o moich odczuciach, ponieważ „glizda” podpowiada mi: „powiesz, to nie pojedziesz”. Jestem świadomy tego, że toczę walkę z „glizdą”. (...) Muszę poprosić Krzyśka, żeby ze mną porozmawiał”.

Zapowiednik jest przysiółkiem położonym pośród lasu i otoczonym pętlą Wierzycy. Ośrodek „MONAR”-u posiada tutaj murowany dwór po niemieckim obszarniku Otto Modrowie oraz 3 budynki pomocnicze. Kiedy przyjechała grupa pionierska, a potem pierwsi mieszkańcy, dwór i jego otoczenie były w opłakanym stanie, jednakże w ciągu niecałego roku założono centralne ogrzewanie, wyremontowano większość pomieszczeń i umeblowano je. Chłopcy skrobali, gipsowali i malowali, dziewczęta gotowały, prały i szyły (na przykład Sula i Ewa wyszykowały kotary do sali terapeutycznej). Po oddaniu do użytku większości pokoi urządzono jeszcze w parku małą ścieżkę zdrowia, zawieszono na jodle huśtawkę dla smyków, rozciągnięto długie sznury do wieszania bielizny. Początkowo, gdy tylko w okolicy popełnio-

no jakieś przestępstwo, milicjanci z posterunku w Skarszewach w pierwszym rzędzie jechali szukać winnych w ośrodku. Z czasem jednak cała gmina przekonała się, że te „diabły” wcale nie takie straszne, że nie jedzą potraw nafaszerowanych narkotykami ani nie urządzają zakrapianych orgii. Przeciwnie — parokrotnie wyproszono z ośrodka murarza czy elektryka, który był choćby po jednym piwie. Ostatecznie wątpliwości ludzi z Zapowiednika oraz oddalonej o kilometr wsi Bączek rozwił ksiądz dobrodziej ze Skarszew, który przyjechał do ośrodka z dziewięcym chórkami parafialnym i dał koncert dla pacjentów, akompaniując chórkowi na gitarze.

Życie w ośrodku pulsuje bardzo mocno, nie sposób jednak reporterowi uchwycić wszystkiego, nawet po tygodniowym pobycie; tym bardziej, że wiele rzeczy się zmienia, a wiele wciąż jeszcze powstaje. Gdyby chcieć wspomnieć o pseudonimach (ale ośrodkowych, a nie z czasów narkomańskich), nie wystarczyłoby przecież tylko wyliczyć, że są tu „Kaczor”, „Cypis”, „Wskazówka”, „Giniol” itd.; należałoby wtedy dodać, że byli również: „Długopis”, „Pinokio”, „Długi”, „Wódz”... Byli, ale odeszli. Gdyby napomknąć o żywych stworzeniach, które chodzą na czterech, nie na dwóch, wypadałoby wymienić imiona i rasy trzech suczek doktora, jednej należącej do Basi i jednej będącej własnością Katarzyny, sekretarki medycznej. Wypadałoby także dorzucić krowę Dorotę, która dziwnym zrządzeniem losu ma na jednym rogu wypalony numer 304, tj. numer narkomanii — według międzynarodowej klasyfikacji chorób, urazów i przyczyn zgonów.

Nie zamyka się tutaj drzwi, nie nosi zegarków — wszystkim dyrygują dyżurni poprzez bicie w dzwon. Jednego dnia po południu gra się w piłkę ręczną lub siatkową, innego trzeba pilnie notować akuratywny wykład Basi (z wykształcenia polonistki) na temat literatury okresu średniowiecza i renesansu. W środy i soboty jest generalne sprzątanie ośrodka, przy czym w soboty odbywają się także huczne dyskoteki. Z czasem chłopcy zamierzają kupić ze składek wysokiej jakości aparaturę dla ośrodka. W tym celu, a także dla zasilenia wspólnej kasy zapomogowej, najmują się niekiedy do prac pegerowskich w Bączku.

Popołudniami kwitnie w ośrodku życie towarzyskie. Dozwolone są rozmowy na każdy temat — poza jednym, wiadomo jakim. Popołudniami Trajan gra na gitarze, a Maciek „od Suli”, Bogdan, „Wskazówka” i Włodek przesiadują na kursie samochodowym w Skarszewach. Popołudniami można zorganizować jakiś podwieczorek ze skieczami, urealnić degustację gotowanych ślimaków albo posłuchać „Kryształ”, gdy śpiewa wspaniałego bluesa. Popołudniami w „stodole”, czyli koedukacyjnej sali dla nowicjuszy, prawie non-stop chodzi telewizor; to jednocześnie rozrywka dla mieszkańców i pretekst dla kadry, aby w każdej chwili można wejść i sprawdzić, co porabiają „oszołomy”.

17 września 1983 r. ośrodek w Zapowiedniku uroczyście obchodzić będzie pierwszą rocznicę działalności. Zjadą naonczas liczni goście z innych ośrodków, zjedzie pewnie również prezes Kotański. Zasiądzie kadra do wspólnej kawy, zasiada też kołem przyjezdni rezydenci do westchnień o dawnych znajomych. Wyjątek być może fotografie: o, tak wyglądałem dwa lata temu, a tu, obok mnie, stoją autentyczne dwa „trup”. Andrzej, Bogdan, Mirek pełnić będą honory gospodarzy. Gdyby ich ktoś nazwał narkomanami, pewnie by się po prostu obrazili.

(25 sierpnia 1983 r.)

Śladami Remusa Za siódmą góram

Edmund Szczesiak

Gdzie więc Lipińskie Pustki, z których Remus wyruszył w świat?

Szukam drogowskazów w powieści. Z rozproszonych opisów próbuję ustalić najpierw położenie Lipna. Wieś duża, kościelna — wystarczy określić rejon Kaszub, żeby ją bez trudu odnaleźć.

Pierwsze drogowskazy są niezbyt wyraźne. Nie brak opisów okolicy, nie znajduję jednak odniesień do innych miejscowości. Pojawiają się, gdy Remus jest już daleko od Lipna.

Podczas pierwszej wyprawy długo wędrują z muzykantem Trąbą lasami, a jedyną napotkaną po drodze miejscowością jest Zwada, której też nie wiadomo gdzie szukać. Po perypetiach w forwarku salwują się ucieczką, podążają drogami polnymi, śpią w stogu, potem znowu maszerują cały dzień lasami i bezdrożami. Docierają w końcu w okolice Wiela. Odtąd trasa rysuje się wyraziście. Ale początek mglisty.

W połowie drugiego tomu natrafiam na wskazówkę, która osadza Lipno bardziej konkretnie. Remus wraca z odpustu z waspanem Muchą-Zaborskim, nazywanym królem jeziora. Za Lipuszem przy wsi Tuszkowy następuje rozstanie. I wówczas król jeziora objaśnia Remusowi dalszą drogę: „Pudzesz przez ten las na północy. Kjej wuzdrzisz spiczastą vjeżą storigo koscoła v Lesnje, tej trzimej sę mocko na prawą rękę. Tęde jidące napotkosz ludzi. Stich smajdo pitej wo drogę do Lipna. Bo to są ju trone spadie...”

Trzeba szukać na południu Kaszub. Na Zaborach, Gochach. Są to krainy rozległe, ale podany azymut zawęża obszar poszukiwań. Nie powinienem mieć już trudności z umiejscowieniem Lipna. Z tym przeświadczeniem biorę mapę. Poniżej Lipusza odnajduję, lekko odchylone od szosy łączącej Kościerzynę z Chojnicami, Lešno. Spoglądam na zachód, bo to jest ten kierunek na prawą rękę, którego należy się trzymać. Strony, jak wynika z całych połączy zakropkowanych na zielono, do dziś zapadłe — kilometry lasów i nieliczne wsie. Na Zaborach we wskazanym paśmie tylko Kruszyn, tylko jemu w każdym razie użyczono miejsca na mapie. Dalej już Gochy: Zapceń, Kiedrowice i przy samej szosie z Bytowa do Chojnic — Lipnica. Czyżby to była ta wieś z początku wypraw Remusa? Nazwa podobna, wiem, że ulegała zmianom. Kiedyś brzmiała Lipienice, były okresy przemianowania na Lipnitz. Może Majkowski umieszczając akcję „Remusa” w czasach zaborów uznał, że obowiązująca wówczas nazwę najlepiej oddaje właśnie Lipno? Kierunek właściwy, w charakterystyce też wiele podobieństw: duża wieś, teraz

i dawniej. Tyle, że nie było w Lipnicy kościoła, opisywanego wielokrotnie w powieści. Do kościoła chodzono do Borzyszków, dopiero od niedawna jest na miejscu kaplica.

Szukam dalej, bardziej jeszcze na zachód: Prądzona, nadgraniczne przed wojną Brzeźno Szlacheckie, za nim już blisko kraniec Kaszub, także ten, który w połowie ubiegłego wieku wyznaczył badacz Hilferding. Lipna nie widać.

Czyżby czas, jaki minął, tak umniejszył rangę wsi, że została wytarta z mapy? Sprawdzam po raz drugi, na wynalezionych w rozmaitych przewodnikach mapkach, obejmujących mniejsze obszary, za to bardziej szczegółowo. Rozszerzam też pasmo poszukiwań. Znajduję tylko Lipczyno.

Wygląda na to, że zostałem przez pisarza wyprowadzony w głębokie lasy. Tak sprytnie, że ani przez chwilę nie podejrzewałem podstępów. Obcując na dziesiątkach stronach z nazwami znanych miejscowości nie przypuszczałem, nie przyszło mi nawet na myśl, że ta z samego początku może przynależeć do krainy wyobraźni. Ze powinno się szukać nie na mapie, ale za siódmą górą.

Nie ma Lipna. I żadna pociecha, że nie ja pierwszy wpadłem w zasadzkę traktując dosłownie to, co należało uznać za umowne.

Lipna poszukiwał Tadeusz Lipski. Także próbował konfrontować szlaki powieściowe z mapą. Dowiedziałem się o tym ponieważ, po nabraniu przekonania, że taka wieś istnieje tylko w powieści. Z tym większym zainteresowaniem sięgnąłem po artykuł opublikowany w „Pomeranii” przed 11 laty. Byłem niezmiernie ciekawy, gdzie też jego autor dopatrywał się początku wypraw Remusa. Nie będę ukrywał, że zabrałem się do lektury z odrobiną nadziei: może okaże się, iż moje dociekania nie były wystarczająco precyzyjne, może coś przeoczyłem, zbagatelizowałem...

Lipski znalazł Lipno. Nie na południu Kaszub — na północy, nie opodal jeziora Lebsko, w pobliżu Głównicy, a więc w krainie Słowińców. „Są to tereny tzw. Pomorski czy Pomórów, gdzie Remus przebywał kilka dni. Jednak nie była to ziemia rodzinna naszego bohatera, gdyż o powrocie stamtąd do Lipna pisze w swoim pamiętniku: «Przy świetle płonącej dzwonnicy szybko ruszyliśmy ku naszym stronom». Znalazł inne Lipno. Gdzie znajduje się właściwie? „Jest to jedna z dwóch nazw, wokół których mogą budzić się wątpliwości”.

Jeśli po przeczytaniu tego artykułu mogłem mieć jeszcze wątpliwości, pozbawił mnie ich ostatecznie doc. dr hab. Edward Breza, który — o czym również

dowiedziałem się poniewczasie — zajmował się nie tylko Lipnem, ale w ogóle nazwami własnymi, występującymi w utworach Majkowskiego. We wszystkich, jakie ukazały się w postaci książkowej. Widok ogromnej liczby wytłuszczonych wyrazów na czterech stronach „Pomeranii” podzielał na mnie krzepiąco. Żałowałem, wcześniej, straconego na daremne poszukiwania czasu, tymczasem to co zobaczyłem, sprawdzało je do wymiarów mikroskopijnych. W utworach Majkowskiego nazw własnych jest 719! Imion, nazwisk, nazw miejscowości, lasów, pól, jezior, rzek, domów, bram, świąt, zawołań zwierząt itp. I tę wielką ilość doc. Breza poddał weryfikacji. Sprawdził, które z nich są autentyczne, a które zostały stworzone przez pisarza. Ustalił, że „zdecydowaną większość stanowią nazwy autentyczne”. Jego zdaniem nie ma nic niezwykłego w tej przewadze faktycznie notowanych nazw nad wymyślonymi, gdyż twórczość Majkowskiego wyrosła z gleby kaszubskiej, z kultury ludowej, której wartości zostały poddane artystycznej obróbce. A cechą znaną nazw w twórczości ludowej jest ich autentyczność.

Ten wywód sprawił mi również satysfakcję. Miałem podstawy, żeby uwierzyć w istnienie Lipna. Zapewne wywołanie wrażenia prawdziwości było intencją pisarza, którego twórczość „zrosnięta jest nierozwalnie z ludową kulturą kaszubską”.

Wśród 130 nazw miejscowości tylko jednaście zostało stworzonych przez pisarza. W „Życiu i przygodach Remusa” zaledwie cztery. W tym skromnym zestawie odnalazłem niestety i te, których poszukiwałem.

„Udanymi nazwami geograficznymi stworzonymi przez Majkowskiego są: Lipno, Lipińskie Pustki...”

Przy okazji rozmowy z docentem zwierzyłem mu się z zamiaru odbycia podróży szlakami Remusa i powiedziałem o przeszkodzie, jaką napotkałem na wstępie. I że to jego ustalenia pozbawiły mnie ostatecznie złudzeń. Nie ma Lipna, nie ma Lipińskich Pustek...

— Ależ to pustkowie istnieje — odparł. Tak kategorycznie, że zaniemówiłem.

— Widziałem je na własne oczy — kontynuował z takim przekonaniem, jakby zupełnie zapomniał, co napisał przed laty. Próbowałem oponować.

— Pustkowie nie nazywa się co prawda tak jak w powieści, nazwa została stworzona przez pisarza — wyjaśnił. — Lipińskie Pustki mają jednak swój wierny pierwowzór. Jest nim gospodarstwo pod Łubianą, w którym urodziła się matka Aleksandra Majkowskiego Józefina Baskówna. Mieszkała tam jego dziadkowie, u nich spędzał wakacje. A później opisał to wybudowanie w powieści.

O tym, że z okolic Łubiany wywodziła się matka pisarza wiedziałem, między innymi ze wstępu do „Pomorzan”, napisanego przez córkę Damrokę. Twierdził, że wizyty w Łubianie wpłynęły w niemałym stopniu na ukształtowanie się osobowości jej ojca. „Tam miał możliwość słuchania starych opowiadań dziadków, legend krążących po checzach kaszubskich, oglądania dokumentów rodzinnych mówiących o dumnej przeszłości jego rodu, ale i pomorskiego ludu”.

Skąd jednak pewność, że to właśnie wybudowanie posłużyło za pierwowzór Lipińskich Pustek?

— Przed laty — odrzekł docent — zbierałem materiały do pracy magisterskiej o nazwach miejscowych i terenowych w powiecie kościerskim. W Łubianie najwięcej informacji uzyskałem od rolnika Bogusława Baski. Pamiętam, był piękny słoneczny dzień, wędrowaliśmy wokół wsi. Zapisywałem nazwy pól, bagien, dołów. Zaszliśmy też nad jezioro, gdzie miał mi objaśnić tonie. Nie opodał brzegu stało samotne gospodarstwo. Bogusław Baska powiedział mi, że opis tego właśnie wybudowania oraz bliższej i dalszej okolicy znajduje się w „Remusie”. Okazało się, że mój informator był spokrewniony z matką Aleksandra Majkowskiego, znał pisarza i jego dzieła. Pokazał mi miejsce nad rzeką, gdzie Remus ujrzał królowiankę, rzeka ta to Graniczna. Oglądałem wzgórza z trzema sosnami, z których dwie jeszcze rosły, dół po piecu chlebowym, nazywanym w powieści Na-

buchodonozorowym, różne inne obiekty. Gdy później czytałem ponownie „Żecé i przigodé Remusa” stwierdziłem, że Lipińskie Pustki mają rzeczywiście wszelkie cechy autentycznego wybudowania nad jeziorem Sudomie. Proszę pojechać i sprawdzić. Kilkanaście kilometrów za Kościerzyną znajdzie pan to, czego pan szuka.

Pojechałem do Łubiany, aby obejrzeć Lipińskie Pustki.

Są dwie Łubiany. Pierwszą stworzyła fabryka porcelany, zbudowana na szczerech piaskach przed kilkunastu laty. Długie hale, masywny biurowiec, osiedle mieszkaniowe złożone z czteropiętrowych bloków, duży i przeszklony dworzec nadający jej miejski wygląd. Kolonia domków jednorodzinnych za torami, nowych i jednakowych niemal pudełek, zagęszczonych na małych parcelach wygląda jak przedmieście fabrycznego miasteczka. Taką Łubianę widać z szosy i z okien pociągu.

Druga tkwi w ukryciu, za osłoną wzgórza, przytłoczona przy bocznej drodze, do której dochodzi się szeroką szosą, po wyminięciu skupiska nowych domów. Ta boczna, brukowana jest wąska, a w dwuszelego otaczających ją ścian i dachów co kawałek trafia się drewno i słoma. Inna Łubiana, inny świat.

Przy moście starszy mężczyzna poi krowy w rzece. Pytam o gospodarstwo Basków. Pokazuje ręką zabudowania, które od rzeki oddziela pochyły sad. Rzeka Graniczna, w głębi jezioro. Niby się zgadza, coś to jednak za pustkowie, w samym środku wsi? Spoglądam zawiedziony, ale szybko wyjaśnia się, że to nie tutaj. W pobliskim domu mieszkał Bogusław Baska, zmarł osiem lat temu, gospodarzy teraz jego ziemię, ale do Basków — przypomniawszy sobie mój rozmówcę — należało też wybudowanie, nad drugim, dużym jeziorem. Kiedyś, bo potem był tam Majkowski, a teraz jest Juński. — To będzie tam — zapewnił i objaśnił jak dojść: za wsią w prawo, pół godziny asfaltem, jak pokażą się domy skrócić w lewo i pytać o dalszą drogę.

Pomaszerowałem we wskazanym kierunku. W lesie minąłem ponownie rzekę, tę samą co we wsi. W pobliżu mostu płynęły wolno pod prąd dwa łabędzie. Uśmiechnąłem się, bo przypominały kółka z powieści. Po wyjściu na otwartą przestrzeń ujrzałem w dużej odległości od szosy kilka zabudowań, prowadziła do nich piaszczysta droga. Znowu minąłem rzekę snującą się zakosami. W przydrożnym gospodarstwie kazano mi iść jeszcze kawałek w stronę lasu, przy transformatorze skrócić w prawo, potem już cały czas prosto. — Będzie z kilometr...

Szedłem jakiś czas wśród pola wznoszącego się lekko pod górę. Po obu stronach, równoległe do drogi, ściany lasu, na wprost tylko niebo. Donioła gdy droga pokonała pochyłość zobaczyłem wielkie jezioro, a na jego tle zabudowania. Przesłaniały je wysokie drzewa o bujnych koronach. Z lewej zagajnik sosnowy, podchodzący do samej drogi, z prawej skrajem lasu płynęła w gestych chaszczach rzeka. Pomiędzy nią a gospodarstwem brzeg był odkryty przez smugę pola. Daleki drugi brzeg wypiętrzał się wysoko ciemnym borem.

Tak, zbliżałem się do Lipińskich Pustek. „W dole zza pagórka wznosił się dach domu. Dalej błyszczało jezioro, a za nim stał las. Na prawo pole ciągnęło się pod bór, w którym płynęła rzeka”. Zgadzało się nawet to, że była widoczna tylko górna część domu, bowiem cała zagroda zajmowała miejsce w obniżeniu przyjeziornym.

Gdy podszedłem bliżej zobaczyłem, że zabudowania tworzą tradycyjny kwadrat, ale poza tym — pustaki i eternit. Dom piętrowy, murowany, o płaskim dachu i dużych oknach, wielka murowana stodoła, obora. Jedyne naprzeciwko budynku stała drewnutnia, wyglądała na pozostałość po starej zagrodzie. Zakrywały ją od drogi krzaki jaśminu i ocieniała wysoka brzoza. Na środku niewielkiego, wysprzątanego podwórza stał traktor.

Wszedłem do sionki, a z niej do przestronnej kuchni. Gospodyni krzątała się przy piecu, na stołku pośrodku siedziała młoda kobieta i karmiła z butelki dziecko. Wyjaśniłem, najprościej jak umiałem, co mnie sprowadza. Że było to kiedyś gospodarstwo rodzinne Majkowskiego, który napisał książkę o Remusie.

— Był tu Majkowski, ale książek nie pisał — odparła bez zastanowienia gospodyni.

— A czy gospodarstwo należało kiedyś do Basków? — upewniam się.

Gospodyni wyjaśnia: ich poprzednik nazywał się Majkowski, miał na imię Józef, a jego żona Mariana. Ona pochodziła z Basków. Rodzice zapisali jej gospodarstwo. Wyszła za Majkowskiego z Jamna. Mieli tylko córkę.

— Mój mąż jest ich wychowankiem, wzięli go tutaj jak miał dwa lata, tu się wychował i odziedziczył gospodarstwo, zapisali mu je Majkowscy, którzy nie mieli syna.

Powtarza się jakby wątek z powieści: Remus jako dziecko też został przygarnięty przez gospodarza Zabłockiego z Lipińskich Pustek.

Ani o Remusie ani o pisarzu Majkowskim gospodyni nie słyszała. Córka słyszała od dziadka. (— Mówimy dziadek, bo mąż był dla niego jak syn — wyjaśnia Juńska).

— Dziadek coś mówił. Przyniósł książkę o Kościerzynie, z ośrodka czasowego, w którym był za stróża. W tej książce pisało o Majkowskim, że niby stąd pochodził. Dziadek mówił, że go znał, tego pisarza.

— Dziadek, gdyby żył, naopowiadałby panu. On lubił opowiadać. A co my możemy wiedzieć? Mąż urodził się w 32 roku, ja w 38 roku. Za krótko żyjemy, mieliśmy się wcześniej urodzić — mówi gospodyni.

Wchodzi Juński. Drobny, szczupły, speszony. Nic więcej nie wie o przeszłości wybudowania, nic ponadto co już usłyszałem. Mówię, że gospodarstwo wygląda solidnie.

— Rwie się pazurami, to coś się wyrwie — odpowiada. Mają 48 hektarów, ale większość nieużytki. Ziemi ornej tylko 14 hektarów. Dużo zalesił w ostatnich latach.

— Żeby to była dobra ziemia, człowiek by z lasu jeszcze dołożył do pola, ale to sam piasek.

— A podatkami okładają tak, jakby to nie wiem jaka była ziemia. Nie ma skąd wybierać. Wszystko teraz tyle kosztuje — wtrąca żona. — Jak tak dalej będzie to nikt nie ujedzie. Tutaj jedni oddali gospodarstwo państwu. Jak łubin posiali, stał przez całe lato i przez całą zimę, nic się nie robiło. Jak tak wychodzi to trzeba rolnikowi dać możliwość łatwiejszego gospodarowania. Inaczej nikt nie będzie chciał zostać, wszyscy do miasta pójdą.

Dochowali się dziewięćoro dzieci, w tym trzech synów. Jeden skończył 18 lat i idzie do Kościerzyny do warsztatu, uczyć się na rzemieślnika. Drugi chodzi do zawodówki, praktykę ma w „Lubianie” i tam chce pracować. Najstarszy syn w wojsku. Jego widzą następcą.

— Był ostatnio na urlopie, mówił, że zostanie na gospodarce. Żeby mu tylko się nie odmieniło. Młodzi ciągną do miasta — powiada pani Melania.

— Jak nie zostanie, zda się państwu, nie będzie wyjścia — mówi gospodarz, pan Franciszek.

Wychodzimy na podwórze, obejrzyć zabudowania. Kiedyś wszystko było pod słomą i z drewna. Dom budowali jeszcze jak żył Majkowski, skończyli po jego śmierci. A umarł przed siedmiu laty. Stodoła ze strzechą wypaliła się, Juński postawił nową, murowaną. Chciał budować jeszcze garaż, bo nie ma gdzie ciągnika wstawić, ale poczeka aż wyjaśni się, co będzie dalej z gospodarką.

Spiesz się na pole.

— A o dawniejszych czasach, gdy tu Baskowie byli, mógłby panu powiedzieć coś ksiądz Felskowski, bo on z Baskami jest spokrewniony, mocno — przypomina sobie i wsiada na traktor.

* * *

Kiedy dzisiejsze pokolenie chodziło jeszcze na dziecięcych nóżkach, któż wtedy na Kaszubach nie znał Remusa? Jak śmieciuszka, którą zima wypędza na uliczki wsi i miasteczek, zawsze w przededniu jarmarku, odpustu czy wielkiego święta stawał on między ludźmi. Ubrany był w sukienną kapotę, a głową, okrytą czapą barania, wysoko sterczał ponad gromadą (...)

Skąd on się wziął? Tego nikt nie wiedział. Nikt nie znał jego matki ani ojca, ani przyjaciół, ani chaty, w której się urodził, ani wsi, która go wychowała. Chodził po ziemi kaszubskiej, nosił śpiewniki i książki, nabożne i świeckie, a lud je brał, jakby tak musiało być. I nikomu nie przyszło do głowy, jakie to dziwne, że taki prosty, niewykształcony człowiek, który wygląda jak straszdyło, sprzedaje właśnie książki i śpiewniki. (...)

— Remus nie był taki, jak inni ludzie. Kto go znał tylko jako biednego handlarza książkami i śpiewnikami, obdartego i prawie niemowę, ten się na nim nie poznał. On widział czego ludzie nie widzieli, i myślał, o czym ludzie nie myśleli.

Kiej dziesięć pokolenie jesz chodzelo na dziecinnich nożkach chtuż tej na Kaszubach nje znoł Remusa? Naksztolt tego smjeco-cha, chternigo zema věnekô na wuliczki vsów i mjestecz, kanał won kożdą razą v przedednj jarmarku, wodpustu abo i vjelgigo svjėta mjedze ludztvėm. V svojim vampsu folisšovim sztoperczel won tej głovą, wokrętą mućą barankovą, vesoko nad gromadą.

Zkąd won se vzał?... Njicht tego nje vjedzoł. Njicht nje znoł jego matki, anji wojca, anji przejacelstva, anji chatę, v chterni se wurodzeł, anji vsę, co go vēchowała. Po zemji kaszubski chodzeł i noseł ludovji pjesenjikji i ksążkji, nabożne i svjatové, a lud je broł, jakbe to tak bęc muszało. A njikomu nje przėszoło do głovę, jak to dzivno, że takji prosti, njewuczali czlovjek, vзору strecha, hańdluje pravje ksążką i pjesnijkiem. (...)

— Nje beł Remus jak jinszi ludze. Chto go le znoł tim bjednim hańdlarzem ksążk i pjesnijków, wobdzartim i njemovą, ten se na njim nje poznoł. Vjidzoł, czego ludze nje vjidzeł, meslił, czego ludze nje meslił.

Fragment powieści Aleksandra Majkowskiego „Zęcé i przigodé Remusa”. Tłumaczenie Lecha Bądkowskiego

Wracam do Łubiany. Ksiądz mieszka na początku starej wsi, w dużym domu z czerwonej cegły. Za podwórzem wznosi się ogromna strzechasta stodoła. Zastaję go w kuchni. Wrócił ze spaceru. Skarży się na złe zdrowie.

— Mnie już nie czas wywiadów udzielać — usiłuje zbyć. Ale na wiadomość, że interesuje mnie Majkowski i „Remus” ożywia się, prosi do pokoju.

— Majkowski był moim wujkiem. Ojciec wysyłał mnie czasem do niego do Kościerzyny z rybami. Imponował mi — doktor, redaktor, miałem szacunek



Rys. Ryszard Stryjec

dla mądrego wuja. Urzędował w jakimś małym lokalu, dopiero później dowiedziałem się, że tam gdzie mu zanosłem te liny, była redakcja „Gryfa”. Ja byłem wtedy knopem, niewiele się orientowałem.

Tłumaczy, jak to było z Baskami. Mieli ogromne kiedyś gospodarstwo: 800 morgów. Przodek, którego imienia nie zna, podzielił je między dwóch synów. Julian Baska otrzymał wybudowanie nad Sudomiem, a Jan ziemię bliżej wsi, w niej też zamieszkał. Do niego należały duże połacie lasów ciągnących się w stronę Płocic, nazywano je Baskowymi kniejami. Siostrą Juliana i Jana była Józefina, mat-

ka pisarza. Na gospodarstwie został jej brat, a ona po wyjściu za mąż za Jana Majkowskiego przeniosła się do Kościerzyny. Następnie wybudowanie przypadło córce Juliana Baski, która wyszła za innego Majkowskiego, niespokrewnionego z rodziną pisarza.

— Burkowiok, wysoki gość, postawny mężczyzna był ten Józef. Marianna, jego żona, Morinka, jak na nią mówili, była ładną kobietą. Mieli tylko córkę, która wyprowadziła się do Liniewskich Gór, gospodarstwo zapisali Juńskiemu.

Jan z kolei, który osiedlił się we wsi, przekazał

swoją część później córce, matce księdza Felskowskiego. Jej brat Bogusław był w tym czasie na wojnie. Jak wrócił to dostał 10 hektarów. Bogusław Baska, jak z tego wynika, był kuzynem pisarza.

— On już przed wojną czytał „Remusa”. Miał mapę, ja ją oglądałem, na której miał zaznaczony cały przebieg akcji. Było na niej pokazane miejsce, gdzie Remus stoczył pojedynek z Goliatem i ten sklep, ta piwnica w ziemi, w której go potem ukryto. Bogusław mówił, że tereny, które opisał Majkowski, zgadzają się co do metra. Jedno co go dziwiło, to nazwa Lipno. Dlaczego on pisze Lipno, a nie Lipusz? Z wybudowania chodzili do kościoła do Lipusza, przez las, obok jeziora, tak jak zostało opisane. Tłumaczyłem mu, że poeta może wszystko napisać, ma prawo, jak to się mówi licentia poetica. U Baski na mapie było napisane Lipusz. A była to mapa, którą sam sporządził, na pergaminie. Mogłby ją mieć syn, który mieszka w Kościerzynie, ma dużo pamiątek po ojcu.

Pan Baska mieszka przy ulicy Fornalskiej, w bloku. Z zawodu jest leśniczym, z pasji myśliwym. Na ścianach pokoju pełno poroży, grandli, „szabel”.

Mapki nie ma, ale pamięta opowieści ojca. O Majkowskim i „Remusie”.

— Ojciec był głęboko zapoznany z książkami Majkowskiego. O „Remusie” mówił, że drugiej takiej pięknej książki nie ma na świecie. A był czytany. Myśmy nieraz w rodzinie rozmawiali, że on powinien był prowadzić bibliotekę. Nawet gdyby była największa — zdążyłby ją przeczytać. Miał dużo książek. Sprowadzał je i z zagranicy. Był samoukiem, encyklopedie i różne podręczniki ściągał aż z Francji. Niech pan spojrzy tam na półce stoją takie grube księgi, jest ich dwanaście. To są książki dla samouków. On je studiował. Czytając podkreślał, pisał uwagi na marginesach, notował na karteczkach. I czy to była historia, czy algebra — musiał wszystko dokładnie poznać. Po co mu na gospodarstwie wiadomości o logarytmach? A proszę popatrzeć jak studiował te rzeczy, jak dociekał. Szedł z krowami na łąkę, a pod pachą księga. Ale potem gdy z kimś rozmawiał, czy to był ksiądz czy adwokat, potrafił dyskutować. Był prezesem związku rezerwistów, stąd jego dom nawiedzali różni ludzie, zasiadali wieczorami i dyskutowali. Pod koniec życia bardzo interesował się przepowiedniami. Mówił, że to co było jest ważne, ale jeszcze ważniejsze co

będzie, co nastąpi. Kiedy już leżał schorowany w łóżku powiedział do mnie: synu, ja już z tego świata będę niedługo odchodził, ty jeszcze doczekasz czasów, kiedy będzie heca narodów i szacher krajami...

Najbardziej jednak interesowały go przez całe życie sprawy Pomorza, Kaszub. Znał te zagadnienia dokładnie, zwłaszcza historię, tę najdawniejszą i bliższą. Jeśli jechał na jakąś uroczystość to za pazuchę wkładał różne dokumenty. Zeby jak coś powie i nie będą wierzyć mógł udowodnić. Pamiętam jak jechaliśmy z ojcem do Wielu na odsłonięcie pomnika Derdowskiego. A muszę dodać, że Derdowskim bardzo się interesował, miał na temat poety duże zbiory. Zabrał materiały, włożył za pazuchę, jedziemy! A matka: dokąd? Na odsłonięcie pomnika Derdowskiego. Matka na to, pamiętam jak dziś: słuchaj no, Derdowski koniowi i krowom nie da zryć... Ale ojciec nie zwracał uwagi, on musiał tam być. Matka zajmowała się gospodarstwem, chowaniem zwierząt, ojciec książkami.

„Remusa” znał prawie na pamięć. Zachował się list, w którym ojciec pisze do Majkowskiego, że po przeczytaniu pocałował książkę jak ewangelię. To jest list z 1937 roku. O „Remusie” mógł opowiadać godzinami. Oprowadził mnie kiedyś po tych miejscach, które są opisane. Nawet piec chlebowy mi pokazywał na górze; tego pieca już nie ma, założyli w tym rejonie ośrodek wczasowy. Ojciec mówił, że nie tylko opis terenów się zgadza, ale i postacie Majkowski wziął z życia. W książce występuje Marta, to jest Marta Baska, siostra mojego ojca, matka księdza Felskowskiego opisana. Jej, gdy już była w starszym wieku, ojciec dał do przeczytania „Remusa”. Tak się rozzłościła, że spaliła książkę w piecu. Co on będzie pisał o mnie, jak on śmiał?

Ten Remus też nie jest przybrany, też jest autentyczny. Co wiem od ojca? Że na tym gospodarstwie Basków nad Sudomiem wychowywał się Remus. Miał być sierotą, w tamtych czasach opieki społecznej nie było, brali takie dzieci do siebie gospodarze. Jego traktowano u Basków raczej jak swego, nie tak, jak parobka przyjętego na służbę. Później miał faktycznie wozic na taczce książki, na różne odpusty. Do Lipusza i dalej. To był człowiek, który ciężko wymawiał. Kiedy wyruszał wcześniej rano na odpust i przejeżdżał przez wieś Łubianę, pukał — jak ojciec opowiadał — do nich na okno. Dziadek pytał: kto tam? a on odpowiadał: Jo, Jemus. Był taki Remus, to są fakty, niezaprzeczalne... (cdn.) ■

LIST OTWARTY DO PANA JANA PIEPKI

W nr. 30(445) „Radaru” z 28 lipca 1983 roku ukazał się dość minorowy artykuł M. A. Kowalskiego „Westchnienie za Smętkiem”. Jego treść oparta została na zestawieniu porównawczym czasów ks. H. Gołębiowskiego („Obrazki rybackie”) z dzisiejszymi, głównie na Półwyspie Helskim. Z wypowiedzi autora wieje smutkiem i troską o zanik „Polski kolorowej”, która „robi się jednolicie szara”.

Pomijając artykuł jako całość (mogący być podstawą do dyskusji), niepokój mój wzbudziła kończąca wypowiedź podana w formie wywiadu przeprowadzonego z Panem, jako pisarzem regionalnym. Oto ona w dosłownym (str. 11) zapisie:

Kilkanaście lat temu na ziemi puckiej przeprowadziłem dla siebie ankietę, z której wynikało, że na dziesięć rodzin osiem rozmawiało z dziećmi po kaszubsku, a z dwu pozostałych jedna kaleczyła język literacki. Druga, niedawno przeprowadzona ankieta wykazała odwrotną tendencję: na dziesięć rodzin osiem posługuje się na co dzień językiem literackim,

a dwie mówią kaszubską; z tej osiemki połowa robi to nieźle. Jest to pokolenie, które ja uczyłem. Gdy byłem panem szkolnym w Starzynie, mojej rodzinnej wsi, już zabroniłem dzieciom w szkole rozmawiać po kaszubsku. Bałem się pierwszej wywiadowki, ale tak wytłumaczyłem rodzicom (po kaszubsku): dzieci radzą sobie z naszą mową na piątkę z plusem, ale z językiem literackim na trzy z dwoma. A przecież gdy zechcą kształcić się dalej, będą musiały zdawać z języka i w języku literackim. I był aplauz. Później z tej klasy do szkoły średniej zdawało dwunastu uczniów i dostało się dziewięciu. A poprzednio dostawał się jeden, dwóch.

Ponieważ powyższy tekst podziałał na mnie dość szokująco, chciałem zapytać Pana, czy potwierdza swoją wypowiedź w „Radarze”? Czy M. A. Kowalski wiernie odtworzył wypowiedź Pana? Jeżeli tak, to ja jestem zupełnie innego zdania jeśli idzie o problem kaszubszczyzny w szkole.

Zygfryd Prószyński
emerytowany nauczyciel w Pucku

Dobiega końca trzyletnia kadencja naczelnych władz Zrzeszenia. W grudniu — zgodnie z wymogami statutu — powinien odbyć się Walny Zjazd Delegatów. Będzie okazją do oceny dokonań Zrzeszenia w ostatnim, jakże niezwykle i jednocześnie trudnym okresie, a także sformułowania programu na lata następne. Co się udało, a co nie wyszło, co zrobić, żeby jeszcze lepiej wypełniać powinności wobec społeczności Kaszub i Pomorza, na czym przede wszystkim skupić się w przyszłości? Z tymi pytaniami zwróciliśmy się do członków Zrzeszenia, prosząc o wyrażenie ocen i oczekiwań. Poniżej publikujemy pierwsze wypowiedzi, które — mamy nadzieję — wzbogacą dyskusję prowadzoną w Zrzeszeniu w okresie poprzedzającym Zjazd. Dalsze głosy zamieścimy w następnym numerze „Pomeranii”.

Osądy i oczekiwania

Andrzej Arendt
Wejherowo

Okres ostatnich trzech lat był wyjątkowo burzliwy w naszej powojennej historii. I dlatego na uwagę zasługuje fakt, że Zrzeszenie przetrwało ten niespokojny czas, że nadal istnieje. Gdyby nasza organizacja przestała istnieć, wielu ludzi stanęłoby przed ogromną pustką. Drugą — też niewątpliwie ważną sprawą — jest ukazywanie się miesięcznika „Pomerania”. Pismo to jest nie tylko źródłem wiedzy o naszej ziemi i ludziach, ale spełnia także rolę punktu kontaktowego między członkami Zrzeszenia. Zresztą daje się zauważyć poprawę więzi nie tylko między członkami, lecz także między oddziałami. Służą temu imprezy sztandarowe, które w ostatnim czasie Zrzeszenie organizowało. Przypomnę chociażby uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej z okazji stulecia śmierci Floriana Ceynowy w Bukowcu. Na takich spotkaniach można wymieniać doświadczenia, pomysły, a także członkowie poznają się osobiście, co bardzo konsoliduje naszą organizację... Jeżeli chodzi o Oddział Wejherowski, to przede wszystkim należy odnotować jego działalność wydawniczą, a szczególnie ukazanie się w ostatnim czasie bardzo cennej książki ks. Jerzego Więckowiaka „Kalwaria Wejherowska”.

Chciałbym, aby Zrzeszenie w przyszłości jeszcze większą troską otaczało twórców ludowych. Robi to szczególnie Oddział Gdański organizując coroczne konkursy „Ludowe Talenty”. Rzecz jednak dotyczy twórców do lat 21 i trzeba by zastanowić się jak utrzymać kontakt z tymi, którzy już w konkursie przestają uczestniczyć. A w ogóle marzę, żeby „Pomerania” poświęcała więcej miejsca sztuce ludowej i jej twórcom.

Jerzy Barthelke
Gdynia

Jestem zwolennikiem bardziej społecznej, otwartej na szersze dziedziny życia linii Zrzeszenia niż ta, którą prezentowało ono dotychczas. Oczywiście poza wszelką dyskusją jest dla mnie, jak chyba dla wszystkich Kaszubów i Pomorzan aksjomat o celowości

jego istnienia i działania, ponieważ wysiłki i zasługi Zrzeszenia dla utrwalenia tożsamości kulturowej społeczeństwa kaszubsko-pomorskiego są widoczne gołym okiem. Nie możemy jednak ograniczać się do wąsko pojętych spraw kulturalnych, a ściślej celopoliowskich, bo problem Kaszub i Pomorza, ich miejsca w historii i współczesności naszego narodu, w jego tradycji cywilizacyjno-kulturowej nie jest tylko dekoracyjnym z dzisiejszego punktu widzenia problemem folkloru. Ludność kaszubska tworzyła nieustająco przez wieki pomost pomiędzy Polską a morzem, świadczyła o związku tych terenów z Polską, przechowywała dla Polski w swojej świadomości i postawie doświadczenia o jej wyjątkowości, a w każdym razie bardzo ważnej dla polskiej racji stanu roli w tym regionie. Za tym nie zawsze idzie faktyczna pozycja ludności korzeniami wrośniętej w tę ziemię — w życiu społecznym, politycznym, kulturalnym. W tym kierunku powinny prowadzić przyszłe działania Zrzeszenia. Konkretnie: w strukturach administracyjnych i samorządowych, które istnieją, Zrzeszenie powinno uczestniczyć jako równorzędny partner w typowaniu kandydatów na radnych wszystkich szczebli, posłów do Sejmu oraz swoich przedstawicieli w administracji państwowej. Nasza organizacja, związana w sposób najbardziej autentyczny z tutejszą ludnością, ma lepszą orientację niż ktokolwiek w tym, co ludzie tutaj mieszkający reprezentują, kim byli i kim są. Może mniej byłoby wtedy konfliktów na tym styku z władzą, mniej niezrozumienia. Wiele błędnych decyzji w przeszłości, chociażby w stosunku do Gdyni, wynikało przecież z niewiedzy, z nieznajomości historii regionu, jego specyficznych zagadnień gospodarczych, społecznych i kulturalnych. Poza tym są pewne czynniki psychiczno-kulturowe niemal etnicznie kaszubskie — bardzo pozytywne, a dziś poszukiwane — poszanowanie pracy i dyscypliny, zamiłowanie do dobrej organizacji, nawyki wykształcone przez wieki walki o przetrwanie, które należy lepiej wykorzystać. I Zrzeszenie musi o to zabiegać. Dlatego Zrzeszenie musi się rozwijać organizacyjnie.

Jak się mają do tej wizji nasze aktualne dokonania? My jako Oddział Gdyniński podejmujemy oczywiście wiele prac na rzecz miasta, dla zachowania ciągłości jego tradycji historycznej, dla przygotowania ludzi napływowych do pracy w specyficznym regionie morskim i wybrzeżowym, a także dla kształtowania świadomości kulturowej najmłodszych, dzie-

ci i młodzieży. Współpracujemy ze szkołami. W tym roku na przykład uroczystość z okazji 60-lecia śmierci Antoniego Abrahama zorganizowana przy współpracy szkoły nr 6 w Gdyni-Obłuzu, noszącej jego imię, miała charakter ogólnomiejski. Otaczamy również opieką najstarszy chór gdyński, istniejący od 1931 roku „Dzwon Kaszubski”, który śpiewa w języku kaszubskim. Mamy wreszcie w Gdyni punkt sprzedaży wydawnictw naszego Zrzeszenia. Chcemy też ufundować w najbliższym czasie kilka tablic, upamiętniających postacie wybitnych tułuszych obywateli, związanych z przedwojenną Gdynią, jak pierwszy wójt Radtke, pierwszy burmistrz Krauze czy pierwszy inspektor rybołówstwa morskiego Plich-ta.

Gdynia, miasto z pochodzenia kaszubskie, zbudowane w pierwszym rzędzie rękami robotników wywodzących się z pobliskich wsi, powinna jednak naszym zdaniem w większym stopniu kulturować tę swoją tradycję społeczno-kulturową i lepiej zdawać sobie z niej sprawę. Myślę, że właśnie w Gdyni mógłby powstać jakiś reprezentacyjny zespół muzyczno-wokalny, kulturowy i upowszechniający tradycję artystyczną tego regionu i że jest najwyższy czas, aby rozpocząć starania o powołanie takiego zespołu. Pilna sprawa jest także opracowanie naukowe szerokiej historii Gdyni od czasów najdawniejszych do dziś z całościowym ujęciem rozwoju rybołówstwa jako czynnika miastotwórczego. W nauce w ogóle jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia, jeśli chodzi o problematykę kaszubską i pomorską, badania są przy-czynkarskie i rozproszone, brakuje poważnych zintegrowanych opracowań, które mogłyby mieć wpływ na kształtowanie świadomości społecznej i wiedzy o regionie. Istnieje chyba potrzeba powołania Instytutu Kaszubsko-Pomorskiego, może na Uniwersytecie Gdańskim, realizującego w sposób długofalowy i naukowo rzetelny i integrującego wyniki badań w różnych dziedzinach. Dla których wiele inspi-racji daje również nasze Zrzeszenie. Dotychczasowa działalność w tej dziedzinie, bardzo rozproszona nie jest dostatecznie widoczna dla społeczeństwa. Istnieje też wiele niezaspokojonych potrzeb wydawniczych, jak choćby opracowanie i wydanie wielkiego słownika biograficznego Kaszub i Pomorza, które stawia-ją przed naszym Zrzeszeniem jako sprawę pierwszej wagi problem poszerzenia dotychczasowych możli-wości wydawniczych czy wręcz powołania odrębnego wydawnictwa.

Możemy sobie powiedzieć, że to wszystko robimy, żeśmy to i owo zrobili i mamy swój autentyczny wkład w to ogólne poczucie, że problem kaszubski nie jest już problemem tak bardzo wstydliwym, niemianym, przemilczanym, że podlega analizie i staje się publicznym, choć nadal w Gdańsku i Gdyni brak jest pomników, poświęconych faktom i ludziom od wieków decydującym o narodowym obliczu tej ziemi, bo nawet postać księcia pomorskiego Mściwoja II i zawarty 700 lat temu układ w Kępnie, decydujący dla kształtowania się na tych terenach państwowości polskiej, nie został uczczony godnym tego zdarzenia monumentem. No ale oczywiście nasze Zrzeszenie ma swoje wielkie zasługi, z tym że my musimy też mieć wielką wizję. Toteż moja wypowiedź jest skierowa-na ku przyszłości, bo historia to nie jest nieś, dzie-sięć ani dwadzieścia lat, historia to są wieki, które przetrwają, wieki nie przetrzuwanych może nawet dzia-siaj wydarzeń i z myślą o tych czasach przyszłych polska racja stanu jest chronić i wspierać ludzi związanych korzeniami z tą ziemią w ich rozwoju społeczno-kulturalnym.

Edward Breza

Sopot

Swoją wypowiedź skupię wokół trzech zagadnień: 1) dokonania Zrzeszenia w świetle własnych obserwacji, 2) potrzeb w zakresie wydania pierwszych poematów i prozy kaszubskiej, 3) uwzględnienia tematyki regionalnej w nauczaniu.

1. W mojej ocenie osiągnięcia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego są niewątpliwie, widoczne i zachęca-jące do dalszej wyężonej pracy. Chodzi tu głównie o rozbudzanie przywiązania i chęci pracy dla makro-regionu pomorskiego, a przez to dla całej Polski. Od czasów C. K. Norwida wiadomo bowiem, że kul-tura ogólnonarodowa nie może się rozwijać bez kul-tur regionalnych: one ją odświeżają, wzbogacają i urozmaicają. Zadanie to spełniało z pożytkiem dla wszystkich mieszkańców Pomorza Zrzeszenie m.in. przez organizowanie spotkań twórców literatury regionalnej we Wdzydzech, Łączyńskiej Hucie, współ-udział w Spotkaniach Pelplińskich, spotkaniach pu-blicystycznych w Pucku oraz przez organizowanie konkursów dla twórców ludowych (Ludowe Talenty), organizowanie cyklu odczytów, sesji naukowych (mam na myśli sesje organizowane przez Muzeum Muzyki i Piśmiennictwa Kaszubsko-Pomorskiego w Wejhero-wie), propagowanie ceramiki, haftu i ornamentyki kaszubskiej. We wszystkich tych poczynaniach ucze-stniczyli i uczestniczą nie tylko ludzie, dla których Pomorze i Kaszuby są regionem z urodzenia, ale także z wyboru. Dzięki takiej postawie stwarza się podstawę do pełnej i twórczej integracji ludności Po-morza, która wskutek procesów osiedleńczo-prze-siedleńczych po ostatniej wojnie stała się środowiskiem wieloetnicznym. To przenikanie kultur widać do-kładnie na przykładzie wsi turystycznych, jak np. Wdzydze, Chmielno, Jastarnia-Bór i innych.

2. Jako językoznawca zainteresowany dialektologią i onomastyką Pomorza z radością witam każde wzno-wienie utworów pisarzy, których prace dostępne są obecnie jedynie w zasobach bibliotekach nauko-wych i utworów, które dotąd znajdują się w rękopi-sach. Zrzeszenie wychodzi naprzeciw tym potrzebom, wydając m.in. techniką fotooffsetową „Żecé i przigodé Remusa” A. Majkowskiego. (Szkoda, że bez Słowniczka wyrazów kaszubskich, który został opra-cowany prawie że w komplecie przez samego au-tora, jak widać z zachowanego rękopisu dzieła). W realizacji jest „Skórb” F. Ceynowy. Dzięki Zrzesze-niu ukazało się drukiem wiele ineditów, jak wiersze J. Karnowskiego, powieść „Pomorzanie” A. Majko-wskiego. (Wydanie to jednak, jak pokazuje w arty-kule drukującym się w Pracach Językoznawczych Nr 9 Uniwersytetu Gdańskiego, jest bardzo niedo-kładne). Cieszyć się wypada, że po przedwczesnej śmierci L. Roppa, zasłużonego edytora utworów li-teratury kaszubsko-pomorskiej, Zrzeszenie znalazło godnego kontynuatora tych prac głównie w osobie doc. J. Borzyszkowskiego.

Wiele pozostaje jednak do zrobienia. Dla nauko-wych potrzeb badawczych trzeba by wznowić (naj-lepiej fotooffsetowo) pierwszą pracę H. Derdow-skiego. Wiele czasopism pomorskich z okresu 20-le-cia międzywojennego jest bardzo trudno dostępnych nawet w bibliotekach naukowych. Nawiasem mówiąc naukowcy wielu z tych czasopism jeszcze nie przeba-dali i stąd przedwczesne sądy o nich na łamach pra-sy współczesnej. Wznowienia bądź wydania z rękopi-sów domagają się sztuki teatralne ks. Sychty. Są one bowiem kopalnią obyczajowości pomorskiej (We-sele kociewskie, Hanka se żeni), niezastąpioną lekcją patriotyzmu (Śpiące ujejskie, Przebudzenie, Budzta śpiące), triumfem szczerej miłości dwojga młodych i zgody sąsiedzkiej — Rębom woda, lédzom zgoda (Dziewczę i miedza), zawsze bogactwem języka i lu-dowego obrazowania.

3. Potrzeba uwzględniania tematyki regionalnej wy-nika z naturalnej potrzeby psychiki ludzkiej i z pro-gramów nauczania. Człowiek zawsze pragnął poznać środowisko, w którym wypadło mu żyć i działać. Dla Mickiewicza „Litwa ojczyzna ... jest jak zdro-wie”. Wiadomo, że ojczyzną poety była Polska, w znanym każdemu Polakowi wersecie wyraz ojczy-zna oznacza 'rodzinne strony, najbliższy region'. Tak też w sposób naturalny J. Piepka i L. Roppel zaty-tulowali swój zbiorek „Nasze strony”. Od tych na-szych stron, czyli, jak to określa program szkolny, najbliższej okolicy, wychodzi każdy nauczyciel w klasie. Uczeń więc ma prawo otrzymać, a szkoła winna mu zapewnić możliwość poznania środowiska geograficznego, w którym się urodził, bogactwa i

piękna przyrody, historii regionu, obyczajów ludności, poznać mowę, którą się lud posługuje na co dzień. Wiadomości o tym wszystkim powinien posiadać każdy mieszkaniec Pomorza: i ten, który się tu urodził, i ten, który tu przybył. Następny i to całkiem dobrowolny etap, jeśli ktoś pragnie czynnie uczestniczyć w życiu swego środowiska, to opanowanie czytania tekstów pisanych po kaszubsku i po kociewsku. Nigdy nie byłem zwolennikiem powszechnego nauczania dialektu kaszubskiego czy innego w szkole. Pozostawiłbym to dla chętnych na kółkach zainteresowań.

Do pracy na wspomnianym wyższym etapie nie są przygotowani wszyscy nauczyciele. Stąd cenna inicjatywa Zrzeszenia prowadzenia otwartej wszechniczy w ramach Studium Wiedzy o Pomorzu i regionalnego Studium Podyplomowego w Uniwersytecie Gdańskim.

W tym kontekście ostatnio pojawiające się głosy przeciwnie regionalizacji nauczania czy — szerzej — przeciwnie rozwojowi kultury regionalnej polegają na nieporozumieniu i niezrozumieniu samej intencji. Wypowiadający takie sądy — z ubolewaniem trzeba to stwierdzić — szkodzą patriotycznemu wychowaniu młodzieży. Zgodnie z łacińskim adagium: Nil amatum, nisi praecognitum (Niczego się nie kocha, jeśli się wpraw nie poznało), każda miłość ojczyzny zaczyna się od miłości własnego domu, zagrody, wsi, gminy, regionu. Społeczność zrzeszona ma zatem prawo mówić o Kaszubach i Pomorzu jako malej ojczyźnie, by przez pracę dla malej ojczyzny powiększać zasoby materialne i kulturowe wielkiej ojczyzny — Polski. Jest to prosta realizacja Mickiewiczowskiej idei „ojczyzny mojej” i romantycznego poglądu na wartość kultury regionalnej. Ograniczanie jej do przysłówki tanecznej, zdawkowego ornamentu, stylizowanych wyrobów w Cepelii, jak chciałby niektórzy, jest naprawdę grubym nieporozumieniem.

Janusz Kowalski Gdańsk

Gdy naród, gdy państwo otoczone jest wrogami, wówczas szczególnego znaczenia nabiera idea jedności. Jednolity naród, podkreślający to co łączy jego części, zapominający o swych wewnętrznych podziałach, łatwiej się oprze nawale zewnętrznej niż naród podzielony, a na pewno nie oprze się jej naród wewnętrznie skłócony. To samo dotyczy państwa.

Odwrotna sytuacja jest wówczas, gdy naród, gdy państwo (dotyczy to Polski dzisiejszej) żyje w bezpiecznych granicach, żyje wśród przyjaciół. Silni wpływająca stąd siła nasza i siła naszych sojuszników mamy dzisiaj możliwości introspekcji. Jeżeli chcemy rozwijać wartość narodu i doskonalic państwo, to musimy skorzystać z tej możliwości. A introspekcja-samoobserwacja, nawet niezbyt głęboka ukazuje niejednolitość obywateli PRL, przy czym wychodzą na wierzch stare naturalne odrębności plemienne (a gdzieniegdzie i językowe), natomiast błędną sztuczne podziały XIX-wieczne i te z okresu międzywojennego 20-lecia. Czy w Kielcach jestem, czy w Krakowie, czy w Tarnowie — jestem w Małopolsce. Kalisz z zaboru rosyjskiego, Poznań z pruskiego i Piła oraz Gorzów do 1945 roku znajdujące się w Rzeszy — toż to zawsze jest Wielkopolska.

Wielką zasługą Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego jest ukazywanie kaszubskiej odrębności i pobudzanie przez to innych regionów do samookreślenia się. To działanie ZK-P zmierza do wzmocnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Silnym może być bowiem tylko państwo, którego struktura (przestrzenna i organizacyjna) jest zgodna ze strukturą zbiorowości jego obywateli. Państwa nie uznające zasady wtórności struktury organizmu państwowego w stosunku do struktury narodu są raz po raz wstrząsane separatyzmami, to bretońskim, to korsykańskim, baskijskim, katalońskim czy sycylijskim, że ograniczę się do zachodnioeuropejskich przykładów. Nam ani jedna ze skrajności, tj. federacyjność państwa, nie jest

potrzebna, ani poważniejsze ruchy separatystyczne (chyba, że postępowanie centralistyczne je wywoła) nie grożą, ale dużo, dużo mniej centralizmu — oto kuracja, która musi być składową naszej reformy społeczno-gospodarczej.

Słyszysz się coraz częściej o potrzebie pracy od podstaw, o potrzebie postaw pozytywistycznych. Pozytywizm co wiek powraca. Cała działalność Komisji Edukacji Narodowej (1773—1795) miała charakter pracy od podstaw, była pozytywistyczna, a była przecież równocześnie jakże dalekosiężna. Celem działalności KEN była obrona państwa. Celem pozytywizmu końca XIX wieku była obrona narodu. Celem naszego pozytywizmu powinna być siła narodu i siła państwa (w tej kolejności: narodu i państwa, a nie odwrotnie). Cel ten możemy osiągnąć, gdy uznamy odrębności poszczególnych części narodu, gdy pozwolimy ludziom (nie sztyjąc z nich) na plasowanie się w swoich społecznościach wiejskich, miejskich i regionalnych, słowem, gdy regionalizm uznamy za spoiwo narodu i państwa. Niechaj ZK-P działa w tym kierunku.

Helena Kotłowska Luzino

W maju 1981 roku powstał w Luzinie oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. To jest ważna data w życiu naszej wsi. Dotychczas miłośnicy regionu, naszej ziemi rodzinnej żyli niejako w rozproszeniu. Teraz spotykają się i wspólnie działają, wspólnie realizują swoje marzenia i cele. I można powiedzieć, że sprawy regionu dawniej były na obrzeżu, a teraz weszły do wsi. Zrzeszenie przyczyniło się do pewnych pozytywnych zmian w życiu mieszkańców Luzina. Powstał zespół teatralny. Zaangażowało się w nim wielu młodych ludzi. Poszerza się krąg osób, którzy chcą współtworzyć rodzimą kulturę. Występy zespołu teatralnego ze sztuką Bernarda Sychty „Dziewczę i miedza” sprawiły, że coraz więcej ludzi pozbysła się przeświadczenia, że mowa kaszubska jest czymś gorszym, mniej wartościowym niż polszczyzna.

Marzy się nam aby w Luzinie powstał zespół pieśni i tańca. Już istnieje zespół dziecięcy, chcemy jednak, żeby także dorośli taki właśnie zespół stworzyli. Od dawna zabiegamy o wydanie monografii wsi, na którą — myślę — społeczeństwo zasłużyło. Kilku ludzi pracuje nad jej opracowaniem, ale jakoś nie może jeszcze swych prac sfinalizować. Wydanie monografii Luzina — sądzę — byłoby ukoronowaniem naszej dotychczasowej działalności.

Bolesław Machut Kościerzyna

Dużym przeżyciem był dla mnie udział w uroczystości odsłonięcia pomnika na górze Piszczatej w Borzyszkach, upamiętniającego poległych i pomordowanych w czasie ostatniej wojny mieszkańców Gochów. Byłem jako kierownik szkoły w Lipnicy jednym z inicjatorów ustawienia na Piszczatej krzyża w 1946 roku. Stał tam do lat sześćdziesiątych, potem w tajemniczy sposób znikł. Dobrze, że z inicjatywy Zrzeszenia powrócił na swoje miejsce, wzbogacony o pomnik. Należy się pamiętać tym, którzy oddali życie za Polskę. Cieszę się też, że został wreszcie upamiętniony udział Kaszubów w odsieczy wiedeńskiej i to w Brzeźnie Szlacheckim, na Gochach, w tych stronach, w których do dziś — o czym mogłem się niejednokrotnie przekonać — przetrwały w przekazach rodzinnych wspomnienia o tej wyprawie. Myśm zawsze mówili, że należałoby to jakoś uwiecznić i dobrze, że Zrzeszenie uczciło rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem w taki trwały sposób.

Przebywam od 1965 roku na emeryturze, wróciłem do rodzinnej Kościerzyny, ale uczuciowo jestem wciąż związany z tamtymi stronami, w których spędziłem

40 lat jako nauczyciel. Najpierw w Windorpiu, potem w Brusach, a najdłużej w Lipnicy. Staralem się zawsze swoim uczniom uświadamiać czym jest ta ziemia, na której się urodził, zapoznać z jej historią, tradycją, kulturą, postaciami gorliwych Kaszubów, umacniających poczucie narodowe, oddanych w pracy i walce Polsce. W takim duchu zostałem wychowany w domu. Moi przodkowie wywodzą się z ziemi bytowskiej, czuli się zawsze Kaszubami i Polakami, działali na rzecz odzyskania niepodległości w czasie zaboru pruskiego, należeli do ówczesnych towarzystw polskich, organizacji gospodarczych i kulturalnych. W domu były polskie gazety i książki i wydawnictwa kaszubskie z utworami Derdowskiego, Majkowskiego, Karnowskiego. Wpajano nam, że „nigdy do zguby nie przyjdą Kaszubi”, ale i „Nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polscy”. W seminarium nauczycielskim w Kościerzynie dużo wiedzy o naszej ziemi przekazał nam ks. dr Leon Heyke. Uczył religii i francuskiego, zawsze jednak znajdował czas, żeby powiedzieć coś o Kaszubach, historii, literaturze, poetach i bohaterach. Miałem tymi wiadomościami zapisane trzy zeszyty. I gdy poszedłem w 1925 roku na pierwszą posadę nauczycielską do Windorpii, byłem przygotowany i w tej dziedzinie. Uważam, że i obecnie uczniowie powinni wynosić ze szkoły wiedzę o swoim regionie. Dlatego popieram starania Zrzeszenia, aby wzbogacić programy nauczania o treści regionalne. Taka wiedza jest potrzebna nie tylko Kaszubom, ale i tym, którzy przybyli tutaj z innych stron Polski. Może mniej byłoby wówczas nieporozumień, więcej zrozumienia.

Z tym stosunkiem do nas Kaszubów było w przeszłości różnie. Dużo się zmieniło w 56 roku. Powstało Zrzeszenie Kaszubskie, poprzez które mogliśmy wiele spraw przeprowadzić. Należałem do współzałożycieli Zrzeszenia najpierw w Chojnicach, a potem w Lipnicy. Ludzie gromadzili się wokół nas, mieliśmy własne czasopismo „Kaszëbë”, bardzo pouczające i rozwesеляjące. Dużo jeździło się po Kaszubach, ukazywały się wydawnictwa broszurowe i książkowe. Myśmy domagali się wtedy większego udziału w zarządzaniu krajem. Tak, nie chcieliśmy być tylko tymi od przysłówków. Chcieliśmy być gospodarzami na swojej ziemi. Bo to jest nasza ziemia. Nie jestem za podziałami dzielnicowymi, ale dlaczego mielibyśmy mieć mniejsze prawo od ludzi z innych regionów i mniejsze od nich znaczenie? Mówiłem o tym w Sejmie, gdy po Październiku byłem przez jedną kadencję posłem. A co się stało potem? Zlikwidowano nam pismo „Kaszëbë”, a działalność Zrzeszenia próbowano sprowadzić do folkloru. Ale nie należy się zrażać i nadal Zrzeszenie powinno o tę rolę współgospodarza się starać.

Nie jestem obecnie czynnym działaczem Zrzeszenia. Nie pozwala mi na to wiek — skończyłem 78 lat — ani zdrowie. Lubilem działać, robiłem to z upodobaniem. Czas na emeryturze spędzam inaczej, spokojniej. Interesuję się jednak tym, co robi Zrzeszenie. Moja ocena jest pozytywna. Cieszę się, że są młodzi ludzie, którzy przejęli po nas te wszystkie sprawy, że weszli w ten nurt kaszubski. Mam wielkie uznanie dla wszystkich działających na rzecz wzbogacania kultury kaszubskiej, wydawania książek i dzieł regionalnych, organizowania konkursów poezji, gawęd. Mój kontakt ze Zrzeszeniem odbywa się teraz przede wszystkim poprzez „Pomeranie”. Lubię to pismo. Na każdy numer czekam z utęsknieniem, a gdy już nadejdzie, odkładam wszystko i czytam tak długo aż wszystko przeczytam.

Marek Zelewski Luzino

Propagowanie kultury kaszubskiej, jej żywe uczestnictwo w kulturze ogólnonarodowej — myślę — to najcenniejsze w tym co robi Zrzeszenie. Brałem udział w Konkursie Recytatorskim Prozy i Poezji Kaszubskiej, teraz mam możliwość „wyżycia” się w zespole teatralnym, który istnieje w naszej wsi. Zarówno dla mnie jak i moich kolegów jest to wspaniała przygoda. Występujemy w różnych miejscowościach, tam poznajemy się z naszymi rówieśnikami, na przeglądach amatorskich zespołów teatralnych wymieniamy doświadczenia; teraz zupełnie inaczej patrzymy na nasz region, na jego mowę i tradycję, tak, jakbyśmy odkrywali go od nowa.

Zrzeszenie wydaje sporo wartościowych książek. Ja na przykład bardzo sobie cenię poezję Jana Trepczyka. Martwi mnie jednak, że te nasze publikacje wychodzą w tak niskich nakładach. W księgarniach, w kioskach leży wiele rzeczy nieistotnych i to są zmarnowane tony tak potrzebnego papieru. Trzeba by zadbać, żeby ten stan się zmienił. Żeby tylko ci, co mają naprawdę coś do powiedzenia, znani byli szerszemu ogółowi.

Jerzy Treder Wejherowo

Muszę przyznać, że nie jestem zbyt zorientowany w całokształcie działalności Zrzeszenia... Osobiście cieszę się, że Zarząd Główny powołał Komisję d/s Oświaty, której jestem członkiem. Ta komisja, jak i inne są niewątpliwie pomocne Zrzeszeniu. Nasza organizacja jest już na tyle rozwinięta, że potrzebne jej są grupy ludzi wyspecjalizowanych w poszczególnych dziedzinach. Członkowie komisji z racji znajomości tematu mogą bardziej szczegółowo zająć się danym problemem, opracować pewne rozwiązania. Jestem jednak świadomy, że komisje przy ZG nie działają wiele i natychmiast. Ale na pewno w jakimś stopniu ich praca w przyszłości zaowocuje... Ostatnio dostrześliśmy iskrę nadziei w dziedzinie kaszubskiego ruchu teatralnego. Mam na myśli powstanie zespołów teatralnych w Luzinie, Lęborku, Strzelnie i we Wielu. Sądzę, że tymczasem powinniśmy dbać o rozwój właśnie takich ośrodków. A jeżeli te będą należycie funkcjonować, wówczas można pomyśleć o powołaniu zawodowego, czy półzawodowego teatru kaszubskiego.

W przyszłej kadencji należy zadbać o jeszcze większe rozpowszechnienie dorocznych konkursów recytatorskich prozy i poezji kaszubskiej. Konkursy te działają przecież na rzecz ożywienia Kaszub, dowartościowania ich kultury. Myślę, że ta sfera działania — słowem i poprzez słowo — jest o wiele trudniejsza niż wmurowanie tablicy pamiątkowej czy postawienie pomnika. W sumie jednak bardziej się opłaca... W ostatnim czasie Zrzeszenie wydaje sporo książek. W związku z tym, myślę, należałoby sprawdzić gdzie i w jaki sposób te wydawnictwa trafiają. Jak oddziaływają na czytelnika. Chodzi tu szczególnie o literaturę kaszubską. Wyniki takiej sondy niewątpliwie potrzebne są wydawcy, jako wskazówka do dalszej pracy.

Po każdym artykule, dotyczącym konieczności odbudowy kolei kokoszczańskiej, otrzymuję wiele listów czytelników opowiadających się prawie bez wyjątku za tą odbudową. Tylko znikoma część trafiła na łamy prasy.

Pisząc w „Dzienniku Bałtyckim” w 1971 (nr 209 i 233) oraz w 1972 r. (nr 34 i 83), cytowałem wypowiedzi 6 osób.

W kampanii w „Głosie Wybrzeża” (28—29 VII 1973—13 XII 1974) ukazało się 17 artykułów. Apogium stanowiła dyskusja z udziałem docentów Wiesława Gruszkowskiego, Jerzego Kołodziejskiego, Tadeusza Rasia i Bohdana Szermera oraz wicedyrektora DOKP w Gdańsku mgr inż. Edwarda Stefańskiego („Głos Wybrzeża” z 5—6 I 1974 r.). Dwukrotnie ukazały się listy czytelników w wyborze po 7 wypowiedzi. Ponadto cytowanych było 11 innych — indywidualnych i list Towarzystwa Przyjaciół Gdańska.

Podobnie licznie zareagowali czytelnicy na cykl moich artykułów pt. „Komunikacyjne myśli o jutrze” („Wieczór Wybrzeża” z 30 X i 13 X 1974 oraz 16 I i 5—6 IV 1975 r.) oraz na 6 artykułów i notatek

Kolej na Kokoszki

Janusz Kowalski

Włączenia się do starań w odbudowę 7 kilometrów kolei Wrzeszcz-Kokoszki domagałem się podczas Dzielnicowej Konferencji Sprawozdawczo-Programowej PZPR we Wrzeszczu-Oliwie 15 I 1983 r. Mimo że wniosek nie został przyjęty, wynikiem zgłoszenia go jest

OPINIA

sporządzona przez generalnego projektanta komunikacji w Biurze Studiów i Projektowania Rozwoju Gospodarki Komunalnej w Gdańsku mgr inż. Jerzego Górę. Przysłał mi ją Wojewódzki Zarząd Gospodarki Przestrzennej w Gdańsku z prośbą, abym poinformował zainteresowanych o jej treści.

Od lat — pisze w opinii inż. Jerzy Góra — problem odbudowy kolei Wrzeszcz — Kokoszki budzi emocje społeczeństwa. Jednak poglądy na ten temat wywodzą się — zdaniem inż. J. Góry — z nieznajomości zagadnienia. Dlatego generalny projektant zestawiał ważne (według niego) informacje dotyczące sprawy.

W informacji 1., że wiadukty trasy uległy zniszczeniu sugeruje, że było to zniszczenie totalne, a tymczasem — jak stwierdził w „Głosie Wybrzeża” z 1 X 1981 r. doc. Tadeusz Raś, emerytowany kierownik Zakładu Budowy Kolei Politechniki Gdańskiej — wymagają one tylko częściowej odbudowy, bo istnieją w dobrym stanie fundamenty i przyczółki, które po uzupełnieniu mogą przejąć nowe konstrukcje nośne. Ponadto kilka obiektów istnieje w stanie czynnym, a tylko 2 brakuje na nowych przekopach w rejonie VII Dworu (Osiedla Młodych) i Piecków-Migowa, gdzie mieszkańcy... przekopali nasypy, skracając sobie drogę na szlaku: tramwaj — dom.

dotyczących problemów komunikacyjnych terenów położonych na zachód od Gdańska, opublikowanych w wydaniu terenowym „Dziennika Bałtyckiego” w okresie 13 III—26 VIII 1976 r.

Po moim artykule pt. „Linie gdańskiej SKM” („Pomerania” nr 5/77) odezwało się kilkadziesiąt osób, 10 listów zamieściła „Pomerania” w nr 2/78, a w nr 4/78 ponadto artykuły mgr inż. Jerzego Gołębiowskiego i mój częściowo na tenże temat.

Podobna lawina listów napłynęła, gdy w numerze „Głosu Wybrzeża” z 9 IV 1981 r. podjąłem ten temat na nowo. Ponadto na potrzebę odbudowy kolei kokoszczańskiej i przywrócenia w ten sposób kolejowego powiązania Kartuz z Wrzeszczem zwróciła uwagę Miejsko-Gminna Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR w Kartuzach („Głos Wybrzeża” z 18 V 1981 r.).

Po artykule pt. „Przywrócić kolej ze Starej Piły do Kokoszek” („Głos Wybrzeża” z 30 V 1983 r.) nadal napływają do różnych instytucji listy czytelników, a kopie do mnie.

Słowem, zainteresowanie sprawą jest znaczne.

W informacji 2. inż. J. Góra napisał, że na odcinku Wrzeszcz — Kokoszki nie funkcjonował żaden przystanek. Nieprawda. Był przystanek Brętowo i jest stacja Kiełpiniek, wykazują je mapy, żyją ludzie, którzy tu wsiadali do pociągów, a rozkład jazdy z 1942 r. podaje, że pociąg, zaczynający bieg w Gdańsku Głównym o godz. 6.58, jechał przez Wrzeszcz, Brętowo, Kiełpiniek itd. do Kartuz, gdzie zjawiał się o godz. 8.15. Generalny projektant komunikacji na pewno zna przynajmniej jeden z tych faktów, ale je pomija, bo jest mu to potrzebne do dalszych wywodów.

Podaje mianowicie — jest to informacja 3. — że pochylenie podłużne rozpatrywanej trasy wynosi 1,25 proc. oraz że odbudowa trasy wymagałaby urządzenia przystanków koło ulic:

- Nowopieckowskiej dla Piecków-Migowa i Brętowa, tj. w miejscu przystanku Brętowo,
- Słowackiego dla Niedźwiednika,
- Wita Stwosza dla zachodniego Wrzeszcza.

A że przystanki muszą być na płaskich odcinkach trasy, więc inż. J. Góra pisze, że ich urządzenie oznaczałoby konieczność poważnych robót ziemnych dostosowujących profil trasy do wymagań wynikających z usytuowania przystanków, co doprowadziłoby... do zwiększenia pochylenia podłużnego (trasy) do około 1,5—1,6 proc. Znowu nieprawda. Przystanki są (Brętowo) lub powstałyby na płaskich odcinkach trasy, bo obok wiaduktów, które miały płaskie korony. Nasypy i wykopy trzeba tylko wyregulować i uzupełnić. Wyciąć... drzewa, które wyrosły podczas wieloletnich sporów — znowu cytuję doc. T. Rasia.

Ponadto do procentowych wyliczeń inż. J. Góra

włączył najbardziej stromy odcinek trasy przy Wrzeszczu, a w koncepcji odbudowy (o tym dalej) tego odcinka nie biorę pod uwagę.

W informacji 4. inż. J. Góra podaje, że odbudowa kolei kokoszczańskiej będzie wymagać budowy nowych wiaduktów dostosowanych do zmienionych parametrów profilu podłużnego trasy (wykazałem już, że profilu tego nie trzeba zmieniać) i parametrów tras ulicznych krzyżujących się z trasą Wrzeszcz — Kokoszki, m.in. ul. Słowackiego i ul. Wita Stwosza, które planowane są jako dwujezdniowe. Faktycznie, przebudowa np. ul. Słowackiego na trasę dwujezdniową wymagałaby zbudowania (dla drugiej jezdni) drugiego wiaduktu, ale przecież koszt tego drugiego wiaduktu trzeba wliczać do kosztu przebudowy ul. Słowackiego (zresztą w tym miejscu zbędnej przebudowy), a nie do kosztu odbudowy kolei kokoszczańskiej.

W informacji 5. także wykracza poza odbudowę rozpatrywanej kolei. Píše on mianowicie, że doprowadzenie trasy Wrzeszcz — Kokoszki do parametrów trasy dwutorowej wymagałoby budowy nowej części korpusu ziemnego na całej długości dla drugiego toru wraz z nowymi wiaduktami. Tak, to prawda, ale prawdą — przecież ważniejszą — jest i to, że nie proponuję rozbudowy kolei Wrzeszcz — Kokoszki. Chodzi o jej odbudowę jako trasy jednotorowej z mijankami na przystankach. Zdolność przepustowa takiej trasy jednotorowej gwarantowałaby możliwość uruchomienia na niej pociągów co 15 minut — cytuję opinię inż. J. Góry — a to na tej trasie wystarczy.

Także informacja 6. jest nie na temat. Píše on, że odbudowa kolei kokoszczańskiej wymagałaby przebudowy stacji i dworca Wrzeszcz, bo trasa ta musiałaby zostać zakończona na stacji Wrzeszcz. Dalej wykazuje, że tak być nie musi.

Takie informacje, a raczej dezinformacje spowodowały, że dla inż. Jerzego Góry odbudowa 7 kilometrów kolei kokoszczańskiej jest za trudna i zbyt kosztowna w porównaniu do widzianych przez niego potrzeb przewozowych na tej trasie. Do takiego wniosku doszedł generalny projektant komunikacji, bo przypisuje on rozpatrywanej trasie możliwości zaspokojenia tylko części potrzeb przewozowych, występujących na trasach Gdańsk — zachód i Wrzeszcz — zachód.

W rzeczywistości

potrzeby przewozowe

wiążące się z trasą Wrzeszcz — Kokoszki są takie:

1. potrzeby mieszkańców środkowych i południowych Kaszub, tj. głównie dawnych powiatów kartuskiego i kościerskiego w zakresie ich podróży codziennych do pracy i szkół i podróży tzw. swobodnych, tj. do usług w stolicy województwa,

2. potrzeby mieszkańców tzw. dolnego tarasu zainwestowania Gdańska, obejmującego Zabiankę, Przybrzeże, Zaspę, ale też Oliwę i Wrzeszcz, którzy powinni mieć możliwość łatwego wyjazdu na Pojezierze Kaszubskie,

3. potrzeby w zakresie komunikacji międzydzielnicowej — chodzi o powiązanie głównie Piecków-Miłogowa, Brętowa, Niedźwiednika, Wrzeszcza i Zasp z sobą (te potrzeby mają charakter drugorzędny),

4. potrzeby uzupełniające w zakresie komunikacji torowej.

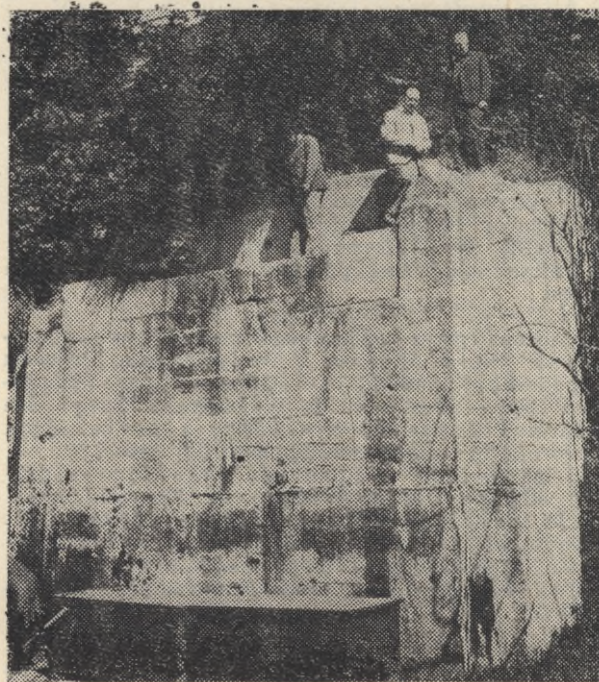
Zacznę od tych ostatnich, bo tej sprawy dotyczy informacja 7. inż. Jerzego Góry, który powiada, że spadek trasy rzędu 1,5—1,6 proc. (wykazałem już, że nie musi to być spadek tak duży) praktycznie wyklucza prowadzenie na trasie Wrzeszcz — Kokoszki pociągów towarowych. Trasa ta odpowiadałaby warunkom trasy znaczenia miejscowego — píše dalej inż. J. Góra — a więc o znikomym znaczeniu w obsłudze towarowej. O takie właśnie uzupełnianie znaczenia dla ruchu towarowego chodzi.

Tylko 5 proc. dowozu ładunków z kraju i w głąb kraju oraz przewozów osobowych wykorzystuje trasę kolejową Bydgoszcz — Kościerzyna — Gdynia, a 95 proc. — linię Tczew — Gdańsk — Gdynia. Od niej w Prusczu odgałęzia się linia prowadząca do gdańskiego portu prawobrzeżnego i do portu północnego oraz do rafinerii. Odgałęzienie w kierunku



Takie masywne są przyczółki uszkodzonych wiaduktów kolei kokoszczańskiej. Przyczółek wiaduktu nad ul. Wita Stwosza

Fot. Z. Kosycarz



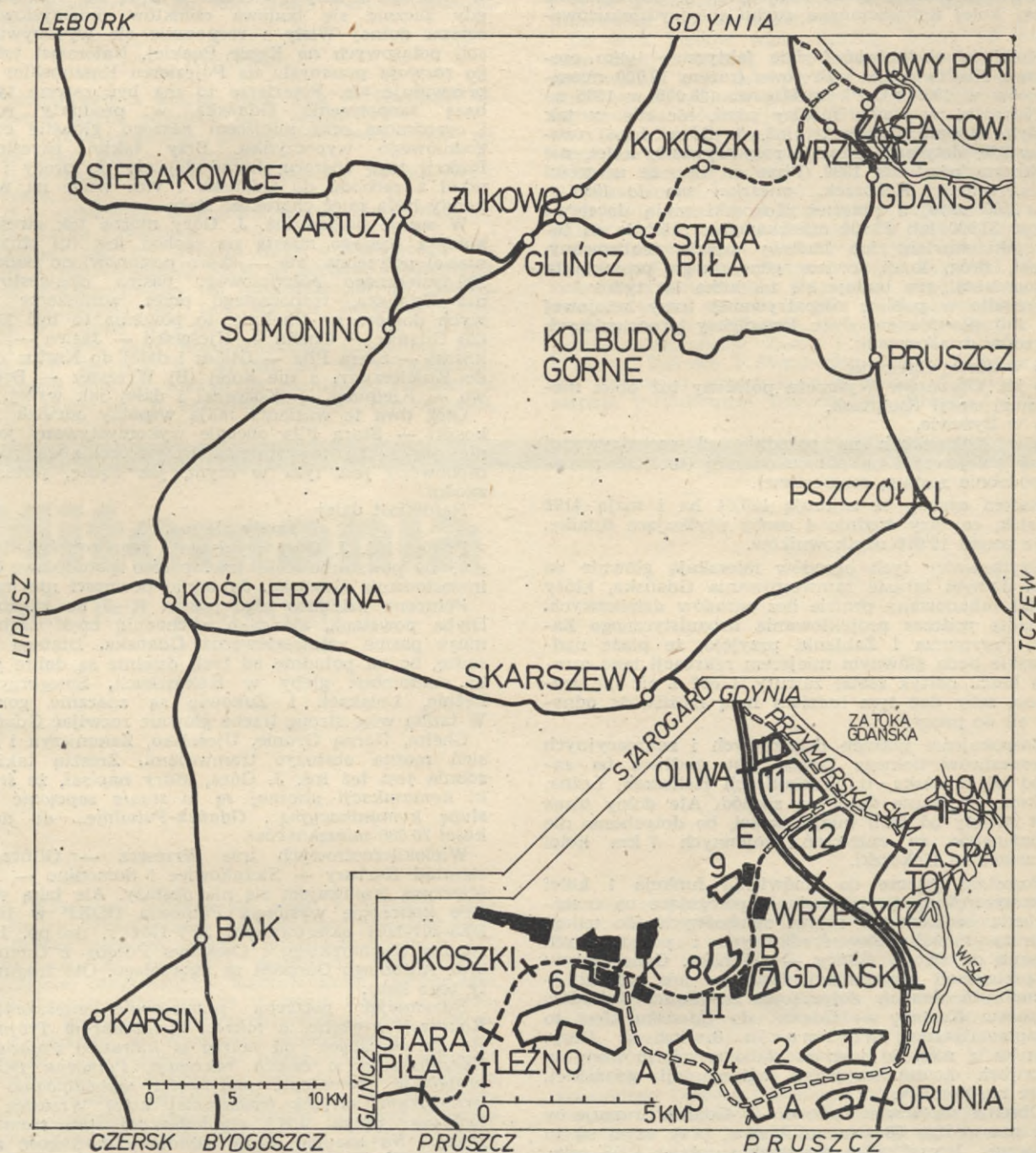
Ocalałe obydwa boczne przesła wiaduktu nad ul. Słowackiego

Fot. Z. Kosycarz

gdańskiego portu lewobrzeżnego, położonego między stoczniami a Nowym Portem, następuje na stacji Gdańsk Główny. A więc przez Gdańsk Główny przechodzą wszystkie ładunki do gdańskiego portu lewobrzeżnego i prawie wszystkie — do Gdyni.

Gdańsk Główny jest obciążony ruchem osobowym tak bardzo, że w godz. 4.40—8.30 i 14.00—17.00 może być wykorzystywany tylko dla tego ruchu. Jest to mankament, którego nie można, bez szkody dla portów i dla organizacji przewozów kolejowych dłużej

tolerować. Otóż polepszenie sytuacji można by uzyskać przez wykorzystywanie także dla ruchu towarowego kolei Glinicz — Stara Piła — Zaspa — Nowy Port. W tym celu trzeba tę zachodnią szybką kolej miejską (SKM) poprowadzić tak, żeby przekroczyła



Odbudowa omawianej kolei może zaktywizować 97 km linii kolejowych prowadzących przez Starą Piłę i Glinicz do Kartuz, Sierakowic i Lęborka oraz do Somonina i Kościerzyny, a stamtąd przez Bąk do Czerska i w stronę Bydgoszczy. Do tych obszarów można by wówczas z Gdańska dojeżdżać koleją bez przesiadania się, podczas gdy obecnie z Kartuz do Gdańska koleją trzeba jechać z przesiadkami w Gdyni lub w Pruszczy, a z Kościerzyny z przesiadką w Gdyni lub przez Skarszewy z przesiadką w Pszczółkach.

Po prawej stronie rysunku w podwójnie dokładnej skali fragment Gdańska z oznaczeniem tras i obszarów wymienionych w tekście. Linie przerywane pełne — konieczne wzniesienie komunikacji osobowej na trasie Stara Piła — Kokszyki (I etap działań) i odbudowa kolei (II etap). Linie przerywane puste — projektowane lub proponowane linie SKM. Istniejące lub projektowane nowe dzielnice Gdańska wspomniane w artykule: 1 — Chelm, 2 — Ujeścisko, 3 — Górna Orunia, 4 — Zakoniczyn, 5 — Jasień, 6 — Kokszyki, 7 — Piecki-Migowo, 8 — Brętowo, 9 — Niedźwiednik, 10 — Zabłanka, 11 — Przymorze, 12 — Zaspa. Obszary zaczerknione — ogrody działkowe istniejące lub projektowane w zasięgu kolei kokszykańskiej. K. Kiełpińek.

estakadą (E na rysunku) średnicową SKM i wiodła między Zaspą i Przymorzem do projektowanej przymorskiej SKM.

Takie poprowadzenie rozpatrywanej trasy kolejowej wiąże się także z wymienionymi jej funkcjami 1—3. Spośród tych funkcji, inż. J. Góra częściowo omawia właściwie tylko funkcję 3, tj. obsługiwanie przez kolej kokoszczańską ruchu międzydzielnicowego.

Kolej ta obsługiwać będzie faktycznie tylko częściowo Niedźwiednik i Brętowo (razem 19 000 mieszkańców w 1990 r.), Piecki-Migowo (28 000 w 1985 r.) i Kokoszki w ruchu między nimi, ale nie w tak małym stopniu, jak sądzi inż. J. Góra. Jego rozumowanie, dotyczące funkcji rozpatrywanej kolei, nie wykracza poza rok 1990. Píše on np., że w części mieszkaniowej Kokoszek... *mieszkać ma do 1985 r. ok. 2500 osób*, a przecież Kokoszki mają docelowo liczyć 23 900 lub 37 100 mieszkańców, zależnie od tego jaki wariant ich budowy będzie realizowany. Miast, dróg, kolei, proszę generalnego projektanta komunikacji, nie buduje się na kilka lat tylko.

Ponadto w pobliżu rozpatrywanej trasy kolejowej są, lub planuje się duże kompleksy pracowniczych ogrodów działkowych:

- w Złotej Karczmie,
- im. Obrońców Wybrzeża położony tuż obok nieczynnej stacji Kiełpiniek,
- w Bysewie,
- w Kokoszkach na południe od rozpatrywanej trasy kolejowej i na północ od niej (te POD prawdopodobnie zostaną rozszerzone).

Razem ogrody te zajmują 190,64 ha i mają 4192 działek, co razy średnio 4 osoby użytkujące działkę, daje ponad 16 000 użytkowników.

Użytkownicy tych ogrodów mieszkają głównie na tzw. dolnym tarasie zainwestowania Gdańska, który został zabudowany prawie bez ogrodów działkowych. Ponadto podczas projektowania urbanistycznego Zaspę, Przymorza i Żabianki przyjęto, że plaże nadmorskie będą głównym miejscem rekreacji tego mrowia ludzi. Bałtyk został zatruty. I co? I nic nie zrobiono, żeby dać tym ludziom inną możliwość odnowy sił do pracy.

Zaspokojenie potrzeb działkowych i rekreacyjnych mieszkańców dolnego tarasu jest możliwe na zachód od Gdańska, tj. w okolicach Kokoszek, Leźna, Żukowa i jeszcze dalej na zachód. Ale dolny taras jest odcięty od tych miejscowości, bo dotychczas nie odbudowano ze zniszczeń wojennych 7 km kolei Wrzeszcz — Kokoszki.

Pozostała jeszcze do omówienia funkcja 1 kolei kokoszczańskiej, tj. jej zadanie polegające na umożliwieniu codziennych i tzw. swobodnych (do usług) podróży mieszkańców środkowych i południowych Kaszub do swojej stolicy — Gdańska. Generalnemu projektantowi komunikacji brak — jak napisał — *aktualnych danych dotyczących wielkości dojazdów z pasma Kartuzy — Gdańsk do Gdańska*. Jest to symptomatyczna informacja 8. inż. J. Góry. Wynika z niej, że jest on słabo poinformowany w sprawach komunikacyjnych aglomeracji gdańskiej. Więc mu pomoże.

Obecnie na trasie Żukowo — Gdańsk kursuje w dni powszednie 68 par autobusów, przy czym są to pojemne „Jelcze”, a w szczytach autobusy PKS osiągnęły na tej trasie i dalej do Kartuz rozkładową częstotliwość nawet co 5 minut. Faktycznie jednak zbiorowa komunikacja samochodowa jest tu około dwukrotnie większa. Wiele bowiem autobusów kursuje na tej trasie z przyczepami, często kierowane są na nią autobusy dodatkowe, a ponadto kursuje tu bardzo dużo autokarów zakładowych dowożących wiele osób do pracy. Jednak, mimo tak wielkiej obsługi tego pasma, nadal, właśnie na trasach na zachód od Gdańska, bardzo często autobusy PKS z powodu braku miejsc nie zatrzymują się na przystankach.

Inż. J. Góra wszystko to wie, bo napisał w swojej opinii, że *częstotliwość kursowania autobusów PKS na trasie Kartuzy — Gdańsk jest stosunkowo wysoka*. Wie, ale pomija (już po raz drugi wskazuję w tym artykule na tę świadomą ślepotę general-

nego projektanta), bo takie niewidzenie faktów jest mu potrzebne do dalszych wywodów.

Powiada mianowicie, że w najbliższych latach należy się spodziewać braku wzrostu zatrudnienia w Gdańsku oraz spadku dojazdów z zachodu do Gdańska. Być może, że potoki dojeżdżających do pracy w Gdańsku z innych kierunków będą się zmniejszać, gdy zacznie się budowa obiektów przemysłowych rejonu dolnej Wisły i rozpocznie się wydobywanie soli potasowych na Kępie Puckiej. Natomiast takiego rozwoju przemysłu na Pojezierzu Kaszubskim nie przewiduje się. Pojezierze to ma być zawsze tylko bazą zaopatrzenia Gdańska w produkty rolne i ogrodnicze oraz miejscem naszego, głównie cotygodniowego wypoczynku. Przy takim określeniu funkcji tego obszaru, liczne dojazdy do pracy i do szkół z zachodu do Gdańska i vice versa na weekendy będą mieć charakter stały.

W sumie pogląd inż. J. Góry można tak streścić: kolej z naszego miasta na zachód jest (tu chrząknięcie) potrzebna, ale — skoro postanowiono budowę 200-tysięcznego południowego pasma zainwestowania Gdańska, rozpoczętego przez, wznoszenie nowych domów na Chełmie, to powinna to być kolej (A) Gdańsk — Chełm — Ujeścisko — Jasień — Kokoszki — Stara Piła — Glinicz i dalej do Kartuz oraz do Kościerzyny, a nie kolej (B) Wrzeszcz — Brętowo — Kiełpiniek — Kokoszki i dalej jak wyżej.

Otóż dwa te warianty mają wspólny odcinek Kokoszki — Stara Piła obecnie wykorzystywany jedynie dla ruchu towarowego. Przywrócenie tu ruchu osobowego jest tym w czym, jak sądzę, jesteśmy zgodni.

Natomiast dalej

zgody nie ma.

Pogląd inż. J. Góry wypływa z jego przeświadczenia, że powstanie całe tzw. pasmo południowe zainwestowania Gdańska. Ja takiej pewności nie mam.

Północne dzielnice tego pasma (1—6 na rysunku) chyba powstaną, ale jako wschodnia część zachodniego pasma zainwestowania Gdańska. Dlatego tak sądzę, bo na południe od tych dzielnic są dobre gleby, natomiast gleby w Kokoszkach, Smęgorzynie, Leźnie, Lniskach i Żukowie są znacznie gorsze. W tamtą więc stronę trzeba głównie rozwijać Gdańsk.

Chełm, Górna Orunię, Ujeścisko, Zakoniczyn i Jasień można obsłużyć tramwajami. Zresztą takiego zdania jest też inż. J. Góra, który napisał, że *środki komunikacji ulicznej są w stanie zapewnić obsługę komunikacyjną... Gdańsk-Południe... do wielkości 70 000 mieszkańców*.

Wielokilometrowych tras Wrzeszcz — Glinicz, a stamtąd Kartuzy — Sierakowice i Somonino — Kościerzyna tramwajem się nie obsłuży. Ale taką właśnie koncepcję wysunęła Północna DOKP w liście BE3-201-1/81 skierowanym 25 V 1981 r. do pp. Hieronima Kucharskiego i Czesława Poręby z Gdańska oraz Antoniego Górnego ze Zgorzalego. Oto fragmenty tego listu:

Rozumiejąc potrzeby przewozowe mieszkańców Kokoszek i okolic, a także... mieszkańców Trójmiasta „uciekających” od morza w kierunku Pojezierza Kaszubskiego w celach rekreacji, Północna DOKP proponuje rozważenie możliwości wybudowania na istniejącym nasypie (nieczynnej kolei Wrzeszcz — Kokoszki przyp. J.K.) szybkiej linii tramwajowej... Na nasypie (tym) istniałaby możliwość ułożenia linii tramwajowej dwutorowej znacznie zwiększającej zdolność przewozową... Linię tramwajową można by włączyć w istniejącą na ul. Wita Stwosza... Termin tego przedsięwzięcia byłby znacznie mniej odległy w czasie. Dlatego, zdaniem tut. DOKP, rozważenie tej propozycji jest uzasadnione.

Mam dwie uwagi do tych fragmentów listu. Północna DOKP stwierdziła występowanie potrzeb przewozowych na trasie Wrzeszcz — Kokoszki i dalej, ale zaspokojenie tych potrzeb chciałaby przekazać WPK. I druga uwaga: skrzyżowanie kolei kokoszczańskiej z ul. Wita Stwosza rzeczywiście mogłoby być granicą II etapu jej odbudowy. Tu następowałyby przesiadki z tej kolei na tramwaje kursujące tą ulicą.

Natomiast dalej (III etap działań) byłaby to odbudowa do skrzyżowania omawianej kolei z al. Grun-

waldzka, skąd należałoby kolej tę poprowadzić estakadą (E na rysunku) nad torami Gdańsk — Gdynia i między Zaspą i Przymorzem w kierunku projektowanej tzw. przymorskiej SKM, czyli do przystanku Zaspą Towarowa. W ten sposób kolej z zachodu nie musiałaby się ślepo kończyć we Wrzeszczu, ale włączałaby się do linii Nowy Port — Gdańsk Główny.

WNIOSKI

Postępowanie z koleją Stara Piła — Kokoszki — Wrzeszcz trzeba podzielić na 3 etapy:

I — reaktywowanie przewozów osobowych na trasie Stara Piła — Kokoszki,

II — odbudowa trasy z Kokoszek do ul. Wita Stwosza,

III — odbudowa i budowa nowej trasy stąd do stacji Zaspą Towarowa.

Poglądy mgr inż. Jerzego Góry, preferującego wariant A poprowadzenia SKM na zachód, a odbudowę trasy kokoszczańskiej (B) odkładającego na później, podobny pogląd mgr inż. Macieja Berendta wyrażony w „Głosie Wybrzeża” z 17—18 VI 1981 r. i pogląd dr. inż. Jana Bogusławskiego („Dziennik Bałtycki” z 29—31 X i 1 XI 1982 r.) są symptomami dziecięcej choroby niektórych planistów. Planiści ci widzą tylko to, co aktualnie planują. Nie oglądają

się w tył, gdzie zostawili za sobą niesłusznie nie odbudowane trasy i źle zbudowane, lub nie dokończone dzielnice, takie jak np. Zaspą. Zostawili za sobą dzielnice bez ulic jako szlaków intensywności życia miejskiego, dzielnice będące polami (lepiej lub gorzej zadbanymi, ale tylko polami) z domami i tylko z dojazdami do nich, będące (przez wyeliminowanie ulic) obszarami bez życia.

Do tych błędów wielu dzielnic doszły na gdańskim dolnym tarasie dwie katastrofy polegające na zbudowaniu tych dzielnic bez ogrodów działkowych oraz na wyłączeniu morza i plaż nadmorskich z użytkowania rekreacyjnego. Widziałem to dawno temu. Dowodem są moje artykuły. Widząc to, pragnę temu zaradzić przez połączenie tych nieszczęsnych dzielnic sprawną koleją z ich naturalnym kaszubskim zapleczem.

Te moje dążenia popiera wielu czytelników, a ze świata nauki wybitni inżynierowie budowy mostów i komunikacji: prof. Juliusz Szczygieł oraz docenci Zygmunt Kozaków, Tadeusz Raś i Zygmunt Wrześniowski z Politechniki Gdańskiej, współautorzy memoriału w tej sprawie z 1974 r. zagubionego gdzieś w urzędowych szufladach. A pewien też jestem poparcia mieszkańców Zaspą i Przymorza, Wrzeszcza i Oliwy, Żukowa i Sierakowic, Kartuz i Kościerzyny. Natomiast przeciwko tym moim dążeniom występują inżynierowie Bogusławski, Brendt i Góra.

Mitomania

Tadeusz Bolduan

O Warszawie zwykło się pisać z patosem, jako o stolicy wyjątkowych przymiotów, promieniującej na Polskę duchową potęgą i przewodzącej jej w bohaterstwie. Są to tylko półprawdy formułowane najczęściej przez samych warszawiaków, bardzo egocentrycznych, zapatrzonych w swoje miasto i w siebie, jak w idealny portret najprzedniejszego mistrza. A tymczasem w Warszawie ześrodkowało się tyle zjawisk pozytywnych, co negatywnych, natomiast wyjątkowość jej polega na tym, że jest niepodobna do innych stolic europejskich. „To co jest we wszystkich otwartych stolicach świata — pisze Edmund Osmańczyk — że wchłaniają one z całego kraju najambitniejsze siły i z tej mieszkanki ogólnonarodowej wytwarza się stołeczna żywa, dowcipna, pełna temperamentu i inteligencji społeczność, to w Warszawie zostało zahamowane, spacone, nie przyniosło pożytku nikomu...”

Warszawa zamknęła się we własnym partykularnym i zachłannym światku, chciałaby zastąpić Polskę i — co gorsza — uważa, że ją zastępuje. Sterowana uczuciami swych mieszkańców, wielokrotnie dawała dowody ofiarności, jednak nader rzadko uzasadnionej przesłankami racjonalnymi. W dziejach najnowszych na Warszawę pracowała cała Polska, dźwigając ją z ruin, by mogła nadal pełnić funkcję stolicy politycznej i ważnego ośrodka kulturalnego, nie po to jednak, by wywyższała się ponad wszystkich i wszystko tylko dlatego, że jest stolicą.

Nie dawajmy wiary słowom piosenki: „Warszawa da się lubić...” W moim przekonaniu Warszawy lu-

bić nie można, dlatego przede wszystkim, że przepojona jest egoizmem i brakiem skromności, że usiłuje przekonać wszystkich bez mała Polaków o swojej rzekomo wiodącej roli w dziejach kraju, o pierwszeństwie w każdej niemal dziedzinie. Tam zaś, gdzie tego pierwszeństwa nie sposób się doszukać, milczy z klęską. Nie ujmując Warszawie nic z jej bohaterstwa, trzeba wreszcie zrozumieć, że było ono tylko małym fragmentem bohaterstwa całego kraju.

Od 17 stycznia 1945 roku, gdy na gruzach warszawskiego Dworca Głównego zatknęto polski sztandar, naród przystąpił do odbudowy stolicy. Była ona zniszczona nie tyle działaniami wojennymi, co zbrodniczym postępowaniem hitlerowców po powstaniu warszawskim. Kolejny w historii zryw niepodległościowy mieszkańców stolicy zakończył się straszliwą klęską, zawsze jeszcze odczuwaną przez nasze społeczeństwo. Zrozumiałe więc, że nieustannie pytamy siebie, czy Warszawa musiała ulec zniszczeniu i czy w różnych okolicznościach wojny i okupacji musiała stracić życie co najmniej 600 tys. jej mieszkańców oraz 200 tys. ludzi przesiedlonych do niej w czasie wojny z ziem wcielonych do Rzeszy Niemieckiej. Na to pytanie próbują odpowiedzieć historycy, ale w swoich opiniach nie są jednomyślni. Trudno bowiem rozgraniczyć dyktowany sercem szlachetny czyn patriotyczny od alternatywy racjonalnego dążenia do przetrwania w możliwie zwartej masie biologicznej, z zachowaniem najmniej uszczuplonego materialnego stanu posiadania.

(cd. na str. 32)

Cieśla swym mistrzowskim okiem
posortował świerkowe dłużyce
wyzaczył każdej
jej miejsce w budowie
z desek ułożył
szablon na trawie
popatrzył w trójkąt
najwyższego wzniesienia
w nim paliły się mleczne
słoneczna radość
poczętego istnienia
potem toporem ostrym
błyszczącym jak księżyc nowiem
ciął po śladzie
osmolonego głównią sznura
sękowe przystanki lat
tworząc poszczególne elementy
łączone czopami
na nich znacząc kolejność montażu
wykutą rzymskimi cyframi
raz jeszcze upewnił się
w swoim tworzeniu
nim z ziemi powstanie
i wypełni swym kształtem powietrze
wiecha z wieśniaczym śpiewem
odda w opiekę Panu swemu
dzieło skończone
a wieczór niebawem zatrze
złocistość konstrukcji
ujednolici barwne wstążeczki
noc otuli nagości świeże
w miękkim opar dymiących stawów

Rys. Bogdan Bartkowski

CZARNA MADONNA

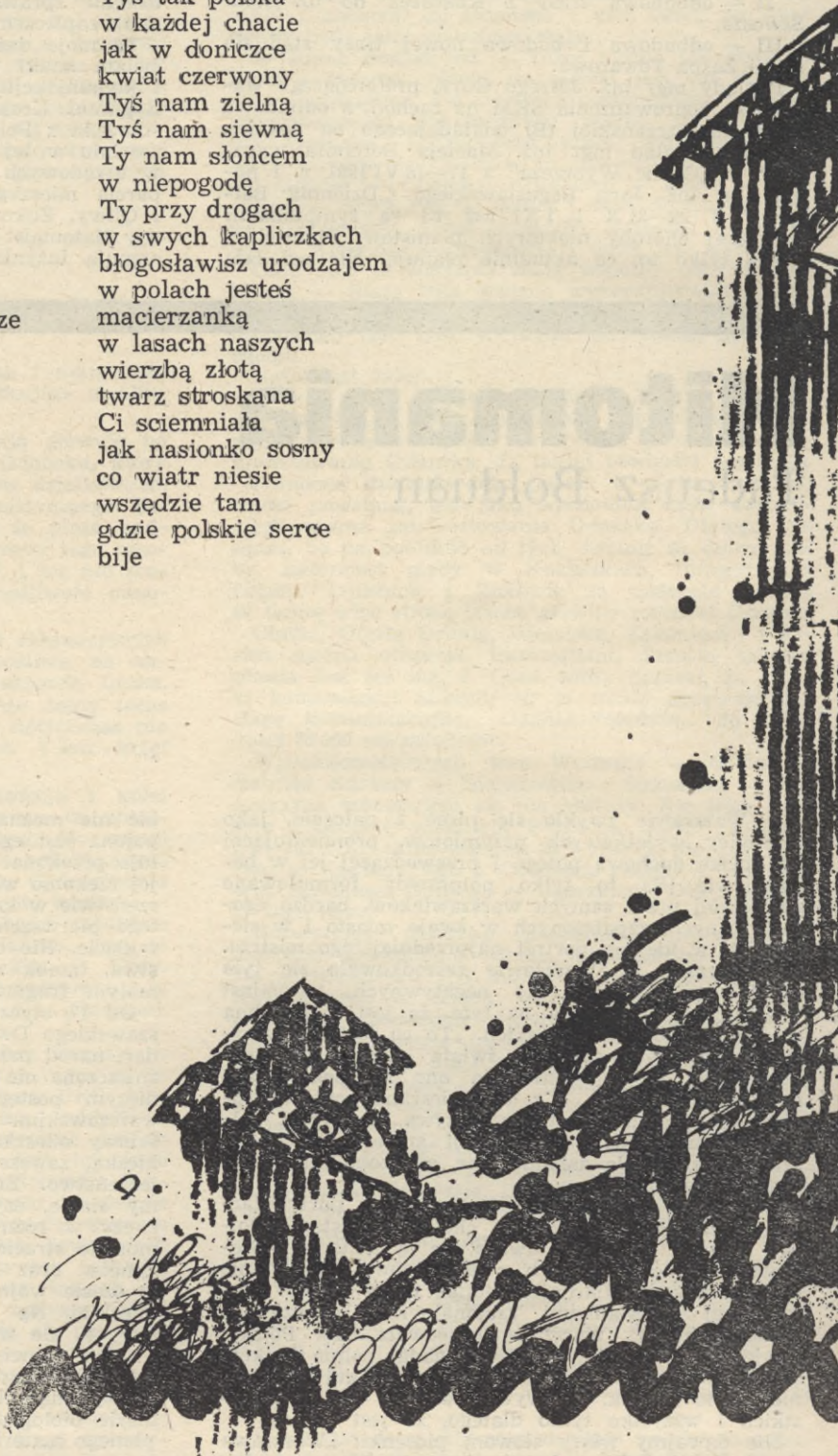
Tyś tak nasza
Tyś tak polska
w każdej chacie
jak w doniczce
kwiat czerwony
Tyś nam zielną
Tyś nam siewną
Ty nam słońcem
w niepogodę
Ty przy drogach
w swych kapliczkach
błogosławisz urodzajem
w polach jesteś
macierzanką
w lasach naszych
wierzba złota
twarz stroskana
Ci ściemniała
jak nasionko sosny
co wiatr niesie
wszędzie tam
gdzie polskie serce
bije

MAŁA OJCZYZNA

Moją małą ojczyzną jest
długi pas ziemi pod lasem.
W niej dom, jabłonie,
brzękliwość pszczoł na kwiatach,
odcinek szosy.
I mocno wypukłe pagórki
całe z twardej gliny.

Tu przeżywam chwile wzniosłe,
zwykłe, szare codzienności.
Dla niej godzin swych nie liczę.
Nawet w nocy serce budzi,
gdy się burza w dali błyska.
Oślepiany, potem złany,
zwozę snopy ze ścierniska.

Jest w niej dąb potężny,
nazywam go Polską.
Pod nim pisze moje wiersze.
W zielen jego się wpatruję,
i konary piękne
do regionów przyrównuję.



Przywieziony do Wdzydz
stał na wzgórku
w koło popatrzał na piachy
na znak protestu skrzyżował ramiona
i tak skreślony pozostał

NADZIEJA I ZWĄTPIENIE

W tą ziemię wrosłem jak dąb
głęboko korzeniami
i choć wichura
zetnie moją koronę
one dadzą mi siłę
że odrosnę wielopędem w przyszłość
jak ogłowiona wierzba
w błękit nieba
a może tylko rozbłysnę i zgasnę
jak małeńkie szkiełko
słońcem w polu trafione

JAK POWIEDZIEĆ

Lasy bukowe
dyszzące dojrzałym
liściem czerwca
jak powiedzieć mam
co serce moje czuje
ubodzone waszym czarem
faliste pola moreny
pojone czystym jeziorem
jak powiedzieć mam
o waszej wonności przed burzą
wierzby w łąkach
wrośnięte wielopędem w błękit
jak powiedzieć wam
że kocham was tak bardzo

JESIEŃ W OGRÓDKU

Malwy wbiegły swoim kwiatem
już na sam wierzchołek
mak dostały
u swych daszków
pootwierał swe świetliki
chcąc dać ujście ziarnom
Słoneczniki kłopot ciężki
położyły na sztachety
zadumanym wielookiem
patrzą w ziemię
fasolina liść straciwszy
ujawniła szable złote
wypukłone wielobrzuszem
złachmaniona nać
na marchwi
przykryła swoje czoła
chłodem zcierwieniałe
Agrest zezuł się do naga
by nanizać na swe kolce
pierwsze płatki śniegu
tylko nieroztropne georginie
rodzą kwiaty bez namysłu
by je zabił mróz

PUSZCZA W PŁASKORZEŻBIE

Nieobecny jestem przy poczęciu dzieła tego
bo wszystkie myśli wysłałem
do miejsc wydumanej bytności
skąd wracają obrazy takie topline
że ani przez chwilę
nie zdołałem utrzymać w mej głowie
by szkic położyć na desce
a jednak z tych kresek splątanych
wylania się puszcza
w którą wchodzę głębiej i głębiej
pomiędzy pienne szczeliny
napuszczam w nie cienia
i przecieki słońca
a gdy już dłutem najwęższym
wysięgnąć nie zdołałem
wysłałem z serca swego
postańca najzdolniejszego
on bez bagażu ciała
wniknie w jej duszę
w jej niedostępne ostoje
on i będzie w tym kawałku drewna
gdy moje stwórcze dłonie
przysypie piasek

Należę do tych ludzi, którzy usiłują dławić w sobie emocje, podporządkowane z reguły dyktowanemu impulsami zaspokajaniu własnych ambicji. Impulsywne działania nie sprzyjają bowiem celom narodowym, a tym bardziej — państwowym. Dlatego też nie mogę pojąć, jak można nieustannie chlubić się olbrzymimi stratami ludzkimi i materialnymi, poniesionymi w latach drugiej wojny światowej, a nie cieszyć się, że wielu ludzi przetrwało i wiele miast uratowano przed zniszczeniem.

Spółeczeństwo, które w pamięci nieustannie grzebie swoich najlepszych synów i opiewa kamienie, nie może normalnie funkcjonować w budowaniu własnej siły wewnętrznej. Naród, który do przesady żyje własnym bohaterstwem i zniszczeniami wojennymi, nie może być zdolny do całkowitego poświęcenia się pracy w warunkach pokoju. Skoro jednak musimy (właśnie: czy musimy?) licytować swoje narodowe i regionalne wartości, to miernikiem licytacji niech będzie wartość pracy i rozmiar naszej siły moralnej.

Centralnie położona stolica nie doświadczała bezpośredniego zagrożenia zewnętrznego w warunkach pokoju, z którym stale stykali się ludzie w miastach i wioskach pogranicznych. Na pograniczach wykształcał się model Polaka twardego, umiejącego rozróżniać dobro od zła w kategoriach etycznych i na podstawie różnicowanych doświadczeń — uogólniać lokalne procesy społeczne, spajające się z ogólną polityką. Tam utrzymywało się trzeźwe myślenie obywatelskie, a poczucie wolności osobistej harmonizowało z potrzebą wolności narodowej i państwowej. Rezultatem było to, że młwł wyprzedzała hasła i w tej sytuacji trudnych układów życiowych wcale nie uznawano za konieczne, zrzadzone przez los. Starano się je zmieniać poprzez zmienianie siebie oraz wchłanianie wszystkiego, co dobre, bez względu na to, skąd pochodziło i jaką snowią było ideologia. W czasach współczesnych nagromadzone procesem historii obsesje polskie (np. przewrażliwienie na tle dumy i symboliki narodowej), szczególnie charakterystyczne dla stolicy, przezwyciężano i przewyżczała się tutaj dewiza Gilberta Chestertona, że „prawdziwym patriotą jest człowiek niezadowolony ze swojej oiczyzny”. Czas nadziei, to czas doskonalenia się moralnego: zakorzenił się on mocno w sercach ludzi w tych ośrodkach kresowych, które zapoczątkowały przełamywanie strachu umacnianiem wiary w siebie, uwierzyły w siłę ludzkiego podmiotu, jako motoru zdolnego pokonać skleroze zestarzałego wieku w naszym państwie.

Wśród mieszkańców Warszawy ugruntowało się przekonanie, że oni byli zawsze pierwsi i przewodziли narodowi w walkach wyzwoleniczych, w rozwoju nauki i kultury, że byli pekipem Polski, bez którego zwiędłaby ona w swoim prowincjonalizmie. Już tak bywa, że to właśnie prowincjusze są najbardziej dumni z tradycji, które — bez względu na ich wartość — naginają do swoich wyobrażeń i pragnień, powielają w nieskończoność, chociaż niekoniecznie są one rzeczywiste. Gdy w licznych publikacjach czytam o pierwszeństwie Warszawy w przeróżnych inicjatywach, podejrzewam zawsze megalomanstwo warszawiaków. Bo na dobrą sprawę Warszawa, gdy w historii zachodziły ważne wydarzenia, jakże często nie była pierwszą ofiarą, ani pierwszym bohaterem. A jeśli była, to występowała zazwyczaj we własnym imieniu, a nie w imieniu i interesie narodu i państwa. Wielkie polskie powstania, które brały swój początek w Warszawie, z reguły nie były powstaniami ogólnonarodowymi. Również powstanie warszawskie 1944 roku wywołane było lokalnie, miało ograniczone znaczenie, ale okazało się tragedią nie tylko dla warszawiaków.

Znakomity publicysta, Karol Małcużyński, był może bezwiednie też się potknął o stołeczny mit. W albumie o stolicy zaznacza on, że Warszawa była pierwszym miastem w Europie zbombardowanym przez hitlerowców. A przecież w pierwszym tygodniu bomby spadły nie na Warszawę, lecz na Tczew, Bydgoszcz, Chojnice, Puck i inne miasta pograniczne. Małcużyński pisze: „Zanim jeszcze komunikaty radiowe ogłosiły światu, że wojna się rozpoczęła, Warszawa przeżywała swój pierwszy alarm lotni-

czy, pierwszą walkę powietrzną i pierwsze pirackie bomby zrzucone na otwarte miasto”.

Oto jak tworzy się legendę! Gdy 1 września 1939 roku o świcie przypatrywałem się bitwie powietrznej nad Murzynem pod Toruniem, Warszawa spała jeszcze i nie wiedziała o wojnie. Nie słyszała huku bomb, gdy nad Murzynem spadały zestrzelone samoloty niemieckie i jeden polski. Natarcie wojsk hitlerowskich na Warszawę zaczęło się od zmasowanego bombardowania lotniczego 9 września, gdy armie hitlerowskie wzięły ją w kleszcze. Obrona stolicy trwała stosunkowo krótko i w porównaniu z Westerpłatę, Kępą Oksywską oraz Półwyspem Hel, nie była bardziej bohaterska. Stolica skapitulowała wcześniej, bo 28 września, zresztą zupełnie słusznie, gdyż życie ludności cywilnej cenniejsze było od szlachetnego bohaterstwa, które satysfakcjonuje część narodu, ale zarazem wyniszcza jego najżywoźniejsze siły.

I wreszcie okres okupacji. Skąd się wzięło przekonanie, że 106 zakładników rozstrzelanych w Wawrze 27 grudnia 1939 roku zapoczątkowało masowe zbrodnie dokonywane przez hitlerowców w Polsce? Przecież, jeśli wspomnieć tylko o Pomorzu, w tym czasie kończyły się już największe w Polsce egzekucje w lasach piasinickich i szpegawskich, pod Chojnicami, Toruniem i w Bydgoszczu. Na Pomorzu, do czasu zbrodni w Wawrze, zamordowano co najmniej kilkanaście tysięcy ludzi, w tym niemal całą warstwę kierowniczą. Człwby dla Warszawy Pomorze nie było Polską, a Pomorzanie — Polakami?

Warunki bytu okupacyjnego w Warszawie były znacznie łatwiejsze, niż na Pomorzu i w ogóle na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Tam można było mówić oficjalnie po polsku, to zaś ułatwiała tajne nauczanie, można było śniewać polskie pieśni i czytać polską literaturę. Był dla Polaków kawiarnie i restauracje, istniało ograniczone życie kulturalne. W tych warunkach uchowała się poważna część inteligencji, która przewodziła w mniej lub więcej tajnym życiu intelektualnym. To wszystko sprzyjało przetrwaniu i nawet kształceniu nowych zastępów inteligencji, bo warunki na to pozwalały, gdyż bezpośrednie otoczenie było polskie i nikogo nie zmuszano do przyjmowania niemieckiej listy narodowej. Warszawscy „volksdeutsche”, a było ich wielu, byli nimi z własnego nierzuczonego wyboru. Warszawa żyła swoim życiem, swoimi sprawami i tylko w kregach przewódzych formułowano ogólnokrajowe programy walki z okupantem oraz perspektywiczne plany odbudowy życia w odrodzonej Polsce. Autentyczne bohaterstwo i cierpienie w okupowanej stolicy występowało obok karierowiczostwa, lizusostwa, donosicielstwa i nieuczciwego bogacenia się kosztem innych rodaków.

Powiem otwarcie: żadna stolica z orbity swoich zainteresowań nie wypuszczała tak ochoczo losów kraju, jak Warszawa. Już w latach dwudziestych prof. dr Franciszek Bujak udowodnił, że Warszawa nigdy nie przejawiała głębszego i naturalnego zainteresowania całą Polską, zwłaszcza ziemiami zachodnimi i północnymi. Chociaż centralnie położona, kierowała się w swojej orientacji na wschód i południowy wschód, co było rezultatem m.in. składu jej mieszkańców i polityków rekrutujących się z Mazowsza oraz ziem wschodnich i południowo-wschodnich. Taka mazowiecko-małopolska stolica pozostaje ona do dzisiaj.

Warszawa nie ma zbyt bogatej historii. W XIII wieku była rezydencją książąt mazowieckich, w następnym stuleciu zasygnęła jako uroczą „Warszawka”, do której ściagała ówczesna „złota młodzież”, bo w tym mieście można było łatwo zarobić i dobrze pohulać. Bezpośrednio w skład państwa polskiego weszła w 1526 roku, a w 1596 roku Zygmunt III przeniósł do niej swoją rezydencję z Krakowa. Stolicą Polski została dopiero w XVIII wieku za króla Stanisława Augusta.

Młodość stolicy i nie najlepsze tradycje sprawiły, że warszawiacy ciągną za sobą bagaż kompleksów miasta gorszego i biedniejszego w przeszłości, które

nie mogło się równać ani z królewskim Krakowem, ani z bogatymi miastami nadbałtyckimi. W świadomości społeczeństwa Warszawa nie zapisała się jako miasto scalające wokół siebie naród. Była natomiast i pozostaje centrum politycznym, siedzibą centralnych władz i instytucji, a więc stolicą instytucjonalną, nie wzbudzającą jednak specjalnego sentymentu. Warszawskie cwaniactwo i warszawska nietolerancja odpychały ludzi od tego miasta, nakazując im koncentrować życie kulturalne i naukowe we własnych ośrodkach, jak niegdyś Wilno i Lwów, a także Poznań, Toruń, Kraków i Katowice. Jeden z lekarzy łódzkich napisał w „Życiu Warszawy”, nie bez racji zresztą, że w Warszawie „są ludzie bez określonych kwalifikacji, którzy mają szczególny talent do przerywania odpowiedzialności”. Z takimi ludźmi trudno współpracować. Zastanawiające jest przy tym, że przemieszczający się do Warszawy, szanowani dotąd w swoich środowiskach, szybko się demoralizują, ważnieją, stają się fałszywie uprzejmi lub — na przeciwnym biegunie — wręcz arogancy.

Powojenna Warszawa nie wyzbyła się swoich ułomności moralnych, może nawet je spotęgowała, zachłannie zagarniając dla siebie wszystko, co w kraju najlepsze, tylko nie dopuszczając do siebie najlepszych ludzi. Ograniczenia meldunkowe sprawiły, że w stolicy skoncentrowało się społeczeństwo Mazowsza i wszelkiego rodzaju cwaniacy. To oni, „nowi warszawiacy” sprawili, że kult Warszawy stał się w świadomości społecznej kultem denerwującym, sobiepańskim, rzekomo jedyńepolskim. Nowoczesne państwo wymaga nowoczesnego aparatu zarządzania, a ten — nowoczesnej stolicy jako spoiwa administracyjnego i moralnego całego kraju. Taka stolica musi być miastem otwartym dla najlepszych, dumnym i skromnym zarazem, żyjącym współczesnością kraju, a nie kultem murów i wewnętrznych interesów indywidualnych.

Pewne jest, że — jak pisze Edmund Osmańczyk — „samym opiewaniem legendy Warszawy już dalej nie ujedziemy”. Warszawie legenda nie jest potrzebna, natomiast Warszawa jako prężna i moralnie zdrowa stolica potrzebna jest krajowi.

Chwasty na poletku historii Krzywe zwierciadło we wspomnieniach Konrad Ciechanowski

Żaden region Polski w latach drugiej wojny światowej nie ma chyba tak małego odbicia w literaturze pamiętnikarskiej i wspomnieniowej jak właśnie Pomorze Gdańskie. Tylko przebieg kampanii wrześniowej w 1939 roku znalazł więcej chętnych do spisania wspomnień. Wspomnienia zawsze będą napisane z mniejszym lub większym subiektywizmem. Uważam zresztą, że ich autorzy mają prawo do pewnego subiektywnego spojrzenia w przeszłość, do osobistych ocen przeżytych wydarzeń. Toteż nie mam zamiaru polemizować w tym szkicu z ich ocenami i poglądami. Nie podejmuję również prób pro-

stowania ich stwierdzeń o ile wynikają one z ograniczonej perspektywy widzenia, a szczególnie jeżeli wspomnienia dotyczą ruchu oporu. Zasady konspiracji w latach okupacji poważnie bowiem ograniczały perspektywę obserwacji. Stąd wspomnienia mogą zawierać szereg niepełnych czy nawet nieprawdziwych informacji. Zdarzają się jednak autorzy, którzy z fantazją opisują wydarzenia nie mające miejsca albo wyolbrzymiają rozmiary rzeczywistych, co przy znajomości specyfiki oraz geografii regionu przeczy logice. A że przecież nie każdy czytelnik wspomnień zna owe warunki, uważam za konieczne wskazać te przykłady.

Fatamorgana — most na Wiśle w Świeciu w 1939 r.

Dowództwo Armii Pomorze, zmuszone względami politycznymi, musiało w sierpniu 1939 roku wprowadzić w rejon Starogardu, Kościerzyny, Chojnic i Tucholi stosunkowo dużą liczbę oddziałów wojskowych. Istniało jednak niebezpieczeństwo, wynikające z ówczesnego ukształtowania granicy państwowej z Rzeszą niemiecką, że w wypadku agresji niemieckiej może zostać odcięta droga odwrotu oddziałom polskim na południe. W związku z tym przewidywano zainstalowanie mostu pontonowego w rejonie Świecia. W sierpniu 1939 roku zorganizowano nawet pokazowe ćwiczenia budowy tego mostu dla dowództw jednostek. Potem most rozebrano, a pontony odprowadzono w rejon ujścia Brdy koło For-

donu. Kiedy z kolei przewidywania stały się faktem i 2 września oddziały niemieckie zamknęły drogę jednostkom polskim na południe, most ten z różnych przyczyn nie został zbudowany w wyznaczonym rejonie. Jednak oddziały polskie maszerowały ku obiecanej przeprawie, dochodziły do Świecia i tu dowiadywały się, że mostu nie ma. Dowódcy i ich żołnierze przeprowadzali się wpływem pozostawiając sprzęt i tabor, lub podejmowali próby przebicia się na południe przez zaporę niemiecką albo na północny wschód od mostu stałego w Grudziądzu. Fakt niezapewnienia przeprawy mostowej w Świeciu stał się nie tylko przedmiotem krytyki ale przekleństw pod adresem dowództwa Armii Pomorze,

a zwłaszcza służby inżynieryjno-saperskiej tej armii. Po wojnie stał się tematem wielu krytycznych uwag w literaturze o kampanii wrześniowej. Podnoszono, że między innymi z tego powodu Armia Pomorze straciła w ciągu trzech pierwszych dni wojny przeszło jedną trzecią swych oddziałów. Do 19/5 roku nie spotkałem uczestnika kampanii wrześniowej, a zwłaszcza z Armii Pomorze, który by o tym nie wiedział. Toteż kiedy na początku 19/5 roku czytałem wspomnienia Tadeusza H. Rolskiego zatytułowane „Uwaga wszystkie samoloty” (Warszawa 1974), w 1939 roku kapitana pilota, dowódcy 141 eskadry III/4 Dywizjonu Myśliwskiego, od 2.9.1939 dowódcy tego dywizjonu, po przeczytaniu jego przeżyć w dniu 3 września oniemiałem. Oto fragmenty, które wprowadziły mnie w osłupienie: *Wkrótce (3.9.1939 — uwaga K.C.) też nadeszły rozkazy. Dowiedzieliśmy się z nich, że Armia „Pomorze” poniosła klęskę w Borach Tucholskich i znajduje się w pełnym odwrocie. Dywizjon ma osłaniać jej przeprawę przez Wisłę pod Chełmnem, gdzie wybudowany był most pontonowy.*

Po krótkim zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że jeżeli Niemcy będą chcieli bombardować przeprawę z samolotów nurkujących, to początkowo czynić to będą z wysokości paru tysięcy metrów, a maszyny nadlatywać będą od strony słońca. Gdyby zaś Niemcy atakowali Messerschmittami, to wysłają je lotem koszącym. Aby je przechwycić musimy mieć przewagę wysokości. Należy więc patrolować na wysokości 2000—3000 m.

Ostanie rozpoczęła 142 eskadra. Klucze po 2 lub 3 samoloty krążyły w rejonie mostu na wysokości 2500 m, zmieniając się co godzinę. Sam udałem się samochodem na nasze nowe miejsce postoju Kaczkowo. Tam też kazałem lądować kluczom, które ukończą patrolowanie. Przeczytałem jeszcze raz. Nie, dobrze, to chodzi jednak o ten planowany most. Pomyślałem, jak mogli przysłać do patrolowania mostu lotnicy nie zameldować swemu dowódcy, że mostu nie ma. Czytałem dalej, ciekawy kiedy się brak mostu wyjaśni. Zaraz też nadszedł czas patrolowania dla 141 eskadry. Pierwszy klucz — 2 samoloty prowadziłem osobiście gdyż chciałem zorientować się w sytuacji. Jako bocznego wziąłem porochor. Langhamera. Przeprawa była w pełnym toku. Przez most ciągnęły nieprzerwanym sznurem oddziały Armii „Pomorze”. Na zachodnim przyczółku powstało duże skupisko ludzi, samochodów, armat i wozów konnych czekających swej kolejki. Na wschodnim brzegu Wisły kolumna przeprawianych oddziałów rozdzielała się na kilka gałęzi. Jedna z nich wchodziła do pobliskiego Chełmna, inne omijały miasto z północy i z południa ginąc w oddaleniach.

Uplłynęło nie więcej niż kilkadziesiąt minut patrolowania, gdy z rzeki, w odległości 200—300 m od mostu wytrysnęły nagle trzy słupy wody. Spojrzałem w górę i spostrzegłem 6 Junkersów 87 w locie nurkowym, ciągnących ze wschodu na zachód. Ja znajdowałem się przed nimi i trochę niżej. Olbrzymi cumulus przesłonił mi je na chwilę.

Pierwsza trójka Niemców wyrzuciła już bomby, których wybuchy dopiero co widziałem. Zwróciłem gwałtownie w lewo i nie patrząc czy Langhamer leci za mną, usiłowałem przeciąć drogę Junkersom. Dalej autor wspomnień z detalami opisuje walkę powietrzną. Śmiem przypuszczać, że takowa faktycznie miała miejsce, ale nie nad mostem pontonowym, bo takiego tam nie było. Owszem, Niemcy atakowali przez cały dzień improvisowaną przez dowódców przeprawę za pomocą jednego cywilnego promu i statku rzeczno, które w południe 3 września zostały zniszczone przez lotnictwo niemieckie. Przez cały dzień i noc na wschodni brzeg Wisły w rejonie Chełmna przeprawiło się około 4 tysięcy żołnierzy za pomocą łódek, kajaków, zbudowanych tratw oraz wpraw. Dowódca Pomorskiej Brygady Obrony Narodowej płk Majewski zorganizował w koszarach w Chełmnie punkt zborny, gdzie ubierano w mundury i ubrania cywilne nagich żołnierzy i podawano im gorące posiłki i kawę. Rano 4 września płk Majewski na czele oddziału złożonego z rozbitków opuścił Chełmno, maszerując w kierunku Torunia. Żołnierze szli i przeklinali tych, którzy nie zbudowali zapowiadzanego mostu. Ale także i tych, którzy pozwolili niemieckiemu lotnictwu bezkarnie atakować żywiołową przeprawę. Toteż kiedy zbierałem relacje do monografii Armii „Pomorze” i pokazywałem jej byłym żołnierzom wspomnienia Tadeusza Rolskiego, wstrząsali ramionami lub się śmiali. Niestety czytelnik, który nie uczestniczył w tamtych dramatycznych wydarzeniach, a zwłaszcza młody, może przyjąć ten fragment wspomnień T. Rolskiego za prawdziwy. A jest to tylko wytwór fantazji autora, męt o obronie lotniczej mostu, którego nie było. Niezrozumiałym jest dla mnie, dlaczego autora wspomnień poniosła aż tak fantazja, tym bardziej, że bez tej „ochrony mostu w Świeciu” ma rzeczywiste zasługi w walce z hitlerowskim agresorem. I to nie tylko w kampanii wrześniowej ale także w lotnictwie polskim na zachodzie, gdzie w lipcu 1941 roku wraz z awansem na majora zostaje pierwszym polskim dowódcą skrzydła myśliwskiego.

W skład tego skrzydła weszły 3 polskie dywizjony, w tym słynny 303. Zdziwienie budzi również fakt, że Instytut Wydawniczy PAX, przygotowując wspomnienia Tadeusza Rolskiego nie zwrócił uwagi autorowi na tę „drobną przesadę”.

Czy pani Lesikowska czytała swoje wspomnienia?

8 maja 1967 roku Krajowa Rada Kobiet Polskich, Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego i Zarząd Główny Związku Bojowników o Wolność i Demokrację ogłosili konkurs na wspomnienia kobiet, uczestniczących w czynnej walce z okupantem. Niektóre co cenniejsze wspomnienia nadesłane na ten konkurs zostały w 1970 roku opublikowane przez wydawnictwo MON pod wspólnym tytułem „Kobieta w walce”. Wśród 23 opublikowanych w tym zbiorze wspomnień znajduje się rozdział zatytułowany „Pod znakiem Gryfa”. Trudno wyjaśnić, dlaczego rozdział nie zawiera oryginalnych wspomnień uczestniczek konkursu, a został opracowany jako jedna całość przez Stanisława Dzierżaka. Jeszcze trudniej ustalić, czy autor tego rozdziału po dokonaniu tej kompilacji zapoznał autorki wspomnień ze swym „utworem”, czy one autoryzowały ten tekst? Z pierwszych zdań tego rozdziału można sądzić, że tak. Ja jednak śmiem w to wątpić. Znam bowiem osobiście panią Stefanię Lesikowską, a głównie jej wspomnienia, które cytuję autor tego rozdziału. Wątpię aby sobie przypisywała wyczyny, których nie

dokonała. Wydaje mi się, że winę za niektóre partie tych wspomnień należy przypisać jednak Stanisławowi Dzierżakowi. W opracowanym rozdziale wykazał się całkowicie nieznajomością geografii Kaszub i kompletnym brakiem wiedzy o ruchu oporu na Kaszubach. Poza tym zignorował czytelników, zwłaszcza znających chociaż pobieżnie dzieje ruchu partyzanckiego na naszych ziemiach. A oto fragment, który jest dobitnym tego przykładem: W lutym 1944 roku rusza niemiecka oblawa na partyzanckie zgromadzenie w lasach między Koleczkowem a Piekietkiem. Wśród partyzantów jest także Stefania (Lesikowska — uwaga K.C.) Bunkry w których kryją się partyzanci, nie stanowią jednak skutecznej linii obrony. Zapada decyzja wycofania się. Ale Niemcy zasypują partyzantów ogniem. Stefania wycofuje się jako jedna z ostatnich; przed chwilą musiała opatrzyć ciężko rannego. Ma tylko torbę z opatrunkami i dwa granaty. Tyraliera niemiecka jest tuż, tuż. Stefania szarpie zawleczką, rzuca granaty. Wybuchy zatrzymują tamtych. Teraz na oślep biegnie przez las Nie widać już partyzantów, nie wie, w jakim

kierunku się wycofali. Dobiega do skraju lasu, widać zabudowania wsi. To Lubiana. Wpada na podwórze pierwszej zagrody, wskakuje do stojącej tam beczki. Od lasu słychać jazgot strzałów, krzyki Niemców. Przesiedziała w beczce kilka godzin. Słyszała wrzaski Niemców rewidujących domy. Tym razem udało się. Okrężnymi drogami wraca do Kościerzyny. Tam dowiaduje się, że całe zgrupowanie zostało rozbite. (s. 360—361). Zamiast komentarza do tego zbioru głupstw trzeba postawić Stanisławowi Dzierżakowi kilka pytań: Czy wie gdzie leży Koleczkowo, a gdzie Lubiana? Jak daleko jest od jednej do drugiej miejscowości? (Okolo 60 km w linii prostej!) Czy wie kiedy była bitwa partyzancka w rejonie Koleczkowa? (29 lutego 1944 roku!) A jedna

z największych bitew partyzanckich (jedyna) pod Lubianą 26 maja 1944 roku. Poza tym oddział partyzancki w rejonie Koleczkowa rzeczywiście został wybity. Ale bitwa pod Lubianą była jedną z nielicznych na Kaszubach bitew partyzanckich, która choć krwawo okupiona była zwycięską. Partyzanci zdolali bowiem wyrwać się z okrażeń. Wypada w zakończeniu chyba stwierdzić, że jeżeli Stanisław Dzierżak tych spraw nie znał, a nie chciało mu się przeczytać istniejącej w tym zakresie literatury, nie powinien się zabierać do opracowywania wspomnień. A Stefania Lesikowska? Zapewne zapoznała się z tym opracowaniem, ale jej protestu przeciwko zniekształceniu wspomnień nie spotkałem.

Pomorzenie na misjach Werbista o. Bernard Bona

Józef Milewski

Bernard Bona (Bonna) urodził się 11 września 1914 r. w rodzinie krawca Leona (1867—1922) i Marianny z domu Michnów (1871—1962) w Zelgoszczy, dużej wsi położonej na skraju Borów Tucholskich. Był najmłodszy z dziewięciorga rodzeństwa.

Bonowie przybyli z Włoch do Polski, a stąd na Pomorze, uwikłane w wojnę 30-letnią (1618—1648), jako żołnierze Albrechta Wallensteina (1583—1634), naczelnego podówczas dowódcy wojsk cesarskich.

O Leonie Bonie, ojcu Bernarda niewiele się zachowało wspomnień. W I wojnie światowej uległ wypadkowi przy młóćce zboża, w wyniku którego stał się inwalidą z mocno uszkodzoną prawą ręką. Abonował w latach zaboru pruskiego polskie gazety, np. pelplińskiego „Pielgrzyma”, którego czytał od strony do strony, dzieląc się wiadomościami z rodziną i sąsiadami. Mocno przeżywał w styczniu 1920 r. wkroczenie wojsk polskich na Pomorze. Posiadane wtedy oszczędności, sześć tysięcy marek w złocie, po tysiąc w posagu dla każdego żyjącego wówczas dziecka, przekazał w formie pożyczki na skarb odradzającego się państwa polskiego. Zmarł w 1922 r.

Obowiązek wychowania dzieci spadł na barki matki, kobiety prostej, ale rozumnej, zaradnej, pełnej energii i humoru, która całe życie ciężko pracowała w gospodarstwie domowym. Bernard wspomina, że matka nauczyła go w dzieciństwie dwóch podstawowych rzeczy, które pozostały mu na całe życie: miłości Boga i ojczystej przyrody oraz szacunku dla ludzi.

1 lipca 1921 r. Bernard rozpoczął naukę w 7-klasowej Publicznej Szkole Powszechnej w Zelgoszczy. Zdolny, spokojny, ukończył szkołę w połowie 1928 r. z ogólnym wynikiem bardzo dobry. Szczególnie interesowały go język polski i geografia, a w docierających podówczas do wsi czasopiśmie szukał artykułów traktujących o polowaniach na tygrysy, lwy, słonie w zamorskich krajach, o przygodach w nich misjonarzy.

Na przyszłość 14-letniego Bernarda wpłynął ks. prob. Alojzy Łaski z Czarnogolasu, parafii do której należała Zelgoszcz, radzący matce, by oddała go na naukę do zakładu misyjnego, najlepiej do Górnej Grupy koło Grudziądza. Utrzymanie w zakładzie kosztowało 50 zł miesięcznie, dużo jak na

ówczesne stosunki i możliwości finansowe matki. Bernard jednak zdał egzamin wstępny i 1 września 1928 r. rozpoczął w Górnej Grupie naukę.

Było tam podówczas niższe seminarium księży werbistów, tj. Zgromadzenia Słowa Bożego. Zakon ten został założony w 1875 r. w Holandii przez ojca Arnolda Janssena (1837—1909, ogłoszonego w 1975 r. błogosławionym), który już w 1879 r. wysłał pierwszych swoich misjonarzy do Chin. Werbiści w 1922 r. utworzyli swój drugi dom misyjny w Polsce: w Górnej Grupie, w której już w rok później, we wrześniu, zorganizowano wspomniane niższe seminarium. W 1923 r. zakład liczył 11 ojców, 10 nowicjuszy i 70—110 wychowanków-uczników. W 1927 r. dom misyjny św. Józefa w G. Grupie stał się siedzibą władz werbistów w Polsce.

Z nauką w seminarium nie miał Bernard kłopotów, choć z początku trudno było mu przyzwyczaić się do regulaminu uczniowskiego. Począwszy od klasy V otrzymywał stypendium, które matkę jego uwolniło od troski regulowania opłat szkolnych.

Za pobytu Bony w G. Grupie bp chełmiński, ks. dr Stanisław Okoniewski dokonał w 1931 r. aktu uroczystego otwarcia drukarni w domu św. Józefa, a niższe seminarium otrzymało pełnię praw państwowych. Pierwszą maturę państwową składano tam w 1934 r., a w trzy lata później otrzymał ją Bona.

Dnia 8 września 1937 r. Bona został przyjęty do nowicjatu księży werbistów w Chłudowie koło Poznania, skąd na rok odelegowany został do Rybnika dla poratowania zdrowia. Dnia 4 września 1939 r. — już po rozpoczęciu wojny — złożył pierwsze śluby zakonne. W maju 1940 r. po zlikwidowaniu zakładu przez okupanta chorego Bonę wywieziono do domu werbistów w Bruczkowie, gdzie zapędzono go do pracy w polu. Później został zwolniony do domu.

W sierpniu 1940 r. wrócił do Zelgoszczy, często zmieniając miejsce pobytu. Z nastaniem jesieni zaangażował się w tajne nauczanie. Zagrożony aresztowaniem, w styczniu 1941 r., opuścił Zelgoszcz. Drogą okrężną dojechał do Wiednia, gdzie zgłosił się do seminarium werbistów w St. Gabriel. Tu zaczął kontynuować studia teologiczne, które wnet jednak musiał przerwać i podjąć pracę przymusową w biurze majątku rolnego w Wiedniu. Zatrudniano go

tam od początku lutego 1942 r. do grudnia 1944 r. Przed gwiazdką 1944 r. został przydzielony do niemieckiej grupy paramilitarnej.

Wiosną 1945 r. pracował przy kopaniu rowów przeciwzołgowych w Słowacji, gdzie w czasie działań frontowych został ranny w nogę odłamkiem granatu.

Po zakończeniu wojny przebywał w kilku szpitalach Austrii i południowych Niemiec. W szpitalu bonifratrów w Wiedniu ukończył kurs pielęgniarstwa. W czerwcu 1946 r. wrócił do St. Gabriel, by dokończyć studia. Dnia 29 sierpnia 1948 r. otrzymał święcenia kapłańskie, a 12 września odprawił mszę prymicyjną w kościele w Czarnymlesie.

W lipcu 1949 r. Bona został skierowany na misję do Indii, kraju liczącego około 600 mln ludzi (około 130 tys. katolików), mówiących około 850 językami „szczepowymi” oraz 15 językami urzędowymi; kraju kontrastów społeczno-gospodarczych i starych sporów kastowo-językowych; z około 6 mln kapłanów wędrownych, ascetów i świętych mężów, cieszących się wielkim autorytetem wśród ludzi szczególnie wrażliwych na sprawy religijne.

Pierwszą w Indiach misję powierzono werbistom w Indore (1932), następną w prowincji Sambalpur, w północno-wschodnim stanie Orisa (1943), trzecią w Poona, w pobliżu Bombaju (1956).

Bona otrzymał przydział właśnie do Sambalpur. Znalazł się wśród szczepu Adibasów, ludzi o prymitywnie purytańskich obyczajach, choć o dużym zmyśle organizacyjnym, wyrobionym przez kulturę plemienną.

Tu, w Kesramal, objął olbrzymią, wielkości naszego b. powiatu, stację misyjną (parafię), w której żyło kilkadziesiąt tysięcy Hindusów, a na jednego katolika przyspadało 1000 niechrześcijan. Była to ludność biedna, przeciętnie tylko raz dziennie jadająca, dla której podstawowym wyżywieniem był ryż, którego garstka urastała nieraz do rangi symbolu. a odejmowana od ust. zastępowała go. w kościele datki-ofiary składana na tace. Wśród tej ludności mimo ustawowo istniejącej równości płci rola kobiety jest ciągle niższa. Np. o małżeństwie rozstrzygają rodzice, którzy kupują żonę dla przyszłego męża, nie pytając o jej zdanie i młodzi małżonkowie widzą się po raz pierwszy w dniu zaręczyn albo dopiero w dniu ślubu.

Bona utrzymywany był finansowo z początku przez biskupa misyjnego, a potem przez Zgromadzenie Słowa Bożego.

W latach 1950—1960 pracował jako przełożony stacji misyjnej w Kesramal i w szkole.

Przez dwie kadencje, od 1960 r. do 1967 r. pełnił funkcję regionalną (prowincjała) — przełożonego werbistów Sambalpur, mieszkając na pierwej w Kalunga, a potem w Iharsuguda. Podlegało mu jako regionalowi 18 stacji misyjnych i 34 współbraci, reprezentujących 11 narodowości. W Goa spotkał się w 1964 r. z matką Teresą z Kalkuty, która otrzymała nagrodę Nobla. Po soborze watykańskim II (1962—1965) wprowadził odprawianie mszy w języku hindi (nie w dialekcie). W Iharsuguda wybudował centralny dom misyjny z funduszów Zgromadzenia Słowa Bożego (po 1966 r.). Założył dwa seminaria niższe: biskupie i zakonne werbistów.

W 1967 r. został proboszczem parafii w Kosum-degi (do końca 1970).

Był patronem Sodalitacji Mariańskiej, opiekunem obozu (kolonii) dla trędowatych (300 pacjentów) i członkiem zarządu tej kolonii (w Indiach jest około 10 mln trędowatych). Leczył chorych, zastępował anestezjologa, pomagał przy porodach.

Ojciec Bernard Bona zorganizował i prowadził spółdzielczy bank ryżowy. Był dyrektorem spółdzielczego oszczędnościowego banku misyjnego dla całego okręgu Sambalpur.

Bona w czasie swego pobytu w Indiach, a w szczególności w latach 1952—1960 i 1968—1970, wybudował łącznie 42 kościoły w stylu hinduskich świątyni, szkoły, w tym średnia (High School), położoną 1,5 km od Kesramal, plebanie, internaty, dom-insty-

tut dla braci zakonnych, klasztor z kaplicą dla sióstr, banki ryżowe, spichrze z zapasami ryżu, solidne, z kamienia, dwa zbiorniki wodne oraz inne budynki.

W 1960 r. był w Polsce, w tym w rodzinnej Zelgoszczy, gdzie w miejscowej szkole podzielił się z rodakami swymi zamorskimi wrażeniami na wielogodzinnym spotkaniu towarzyskim. W 1962 r. zmarła mu matka, popularnie nazywana w Zelgoszczy „ciocią Bonką”, o śmierci której telegram otrzymał dopiero w dzień pogrzebu. Ponownie był w Polsce latem 1967 r. Na przełomie 1967—1968 brał udział w posiedzeniu kapituły generalnej Zgromadzenia Słowa Bożego w Rzymie, połączonym z audiencją u ojca świętego.

Bona pierwotnie zamierzał spocząć w Indiach, obok grobu swego poprzednika w Kesramal, ojca Sylwana Grossjeana. Niestety stało się inaczej. Wpłynęły na to względy zdrowotne (malaria) jak i usamodzielnianie się duchowieństwa indyjskiego.

W Nowy Rok 1971 Bona opuścił na stałe swoją stację misyjną w Indiach.

Bilansując 21 lat pobytu Bony w Indiach, trzeba powiedzieć, że ten z powołania misjonarz, nigdy nie lekął się swej pracy i nigdy nie szukał w niej ludzkiej pochwały. Bez przerwy traktował na równi tak bramina, kapłana, pariasa, człowieka nie należącego do żadnej kasty i pozabawionego wszelkich praw, jak i najbiedniejszego Adibasa, co było największym magnesem przyciągającym tych ludzi do chrześcijaństwa. Że najmłodsze pokolenie Adibasów, to już nie analfabeci, w tym znaczna i niezbywalna zaśluga Bony i jego współbraci — werbistów w Indiach. Podniósł wśród Hindusów rolę i znaczenie kobiety i obudził dla niej szacunek męża. Walczył, by — zresztą zgodnie z ustawą — nie zatrudniano kobiet w nocy w pobliskiej fabryce cementu. Przemierzał tysiące kilometrów dżungli, by łagodzić po wsiach spory rodzinne, małżeńskie, międzyplemienne. Prowadził dożywianie, zwalczał wyzysk biednych przez lichwiarzy i pomagał uniezależnić się od nich, a skrzywdzonym odzyskiwać pola. Tepił alkoholizm, zabobon i znachorstwo. Leczył trad. Miał odwagę być nawet niepopularny. Urzednicy państwowi cenili Bonę i jego współbraci zakonnych, gdyż angażowali się w sprawę przeobrażenia społeczno-kulturowych i gospodarczych, szerzyli kulturę rolną, poprawiali stan higieny i zdrowotności, jak i poziom materialny i moralny wspólnot ludzkich.

Bona nie zapominał o kraju rodzinnym, który tam, w dalekich Indiach dobrze reprezentował. Przewym łóżku miał zawsze stosy polskich gazet, które skrupulatnie czytał, choć niekiedy i z półrocznym opóźnieniem. Stale utrzymywał korespondencje prywatną z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi w kraju.

W 1972 r. Bona wrócił do Polski, a potem wjechał do Wiednia. Ponownie zawitał do kraju, tym razem na dłużej. Pracował na różnych stanowiskach, wskazanych mu przez Zgromadzenie Słowa Bożego w Warszawie, w Pieniężnie koło Elbląga i w Łaskowicach na Kociewiu. Na wielu spotkaniach dzielił się swymi wspomnieniami z dalekich Indii. Wreszcie na polecenie swoich przełożonych przystąpił do spisywania i porządkowania wspomnień. Praca ta zajęła mu kilka lat. Ostatecznie ukazały się one w 1981 r. drukiem on. „Garść ryżu” (nakładem Płockiego Wydawnictwa Diecezjalnego, 5000 egz.), w ramach serii Materiały i Studia Księżów Werbistów. Nakład ten szybko zniknął z półek księgarskich. W 1982 r. ukazało się II wydanie „Garści ryżu” w podwojonym nakładzie. I to wydanie jest również prawie nieosiągalne. Na poczytność książki wpływa m.in. gawędziarski styl wspomnień.

Wśród wielu języków obcych Bona dobrze opłaniał angielski i długo w październiku 1979 r. został skierowany do USA, do Chicago-Tech. głównego ośrodka gospodarczo-komunikacyjnego USA, zamieszkałego przez 3,5 mln ludzi, w tym 1,1 mln Murzynów i 600 tysięcy osób pochodzenia polskiego (11 pism polonijnych, muzeum polskie itp.). Znalazł się tu w całkiem nowych, odmiennych warunkach. Podjął prace w seminarium duchownym werbistów. I tu dobrze reprezentuje nasz kraj.

Kulig

Zbigniew Zakiewicz

Zajechałem do Lipnisza w okolicach Nowego Roku*). W czas bezwietrzny zaczął sypać śnieg i sypał nawałą przez całą dobę, potem przyszedł mróz i scukrował to wszystko i zmroził, co wprzód zważyło się z żółtawo-siwych chmur.

Lipniesz przyodził się niczym światowa dama w najprawdziwsze focze futro. Ale przed uważnym okiem nie można było ukryć tych cementowych szescianów, jakie stawiano zamiast domów, tych pochyłych komórek, gdzie gęgały ganse, czasami kwiczał prosiak, tych krzywych płotów, w których grzęzły kury i ginęły długoszyje łabędzie.

— Patrzej nie na Lipniesz, a na lasy i na jeziora. Teraz mają one swój czas. Co rzekną, na cały rok będzie powiedziane — pouczyła mnie ciotka Ewelina.

Za oknem stawało się coraz bardziej kremowo i żółto, a w izbie popielato i przejrzyście, jakby kto nalał do pełna mocnej siwuchy. I wtedy ciotulencie zebrali się na wspominki tych wszystkich kuligów i rozjazdów, tego nieopamiętanego goszczenia i ugaszczania się, a kotka przybłąda, która jesienią objęła władzę nad domem, wtórowała jej rzęsistym mruczeniem i kipiącym w piersiach jak garnuszek mleka.

— Co kiedyś ciągnęło się przez dziesięć lat, potem było jak jeden rok, a i ten okazał się za krótki. A ja dalej młoda jestem, że aż wstyd przed ludźmi się przyznać — westchnęła radośnie ciotulénka. — I tak nie raz sobie myślę, że nawet w ziemi nie przestanę żyć i oddychać...

I po dłuższym namyśle podjęła zagubiony wątek.

— Pogańska my mamy natura, prawda to jest najprawdziwsza. Jak się bawić, to bawić się do upadłego. I zwierzuka każdego rozumiemy, i mowa lasu, i granie sfer niebieskich. Powiedz ty mnie, czy widział ty kiedy zorza polarna jak dzwoni na północnym niebie? A ja nie tylko widziałam, ale słyszałam. Dzwoniono tak cichutko, że trzeba było mieć ucho nietoperza. A ja miałam.

...Od samego dzieciństwa dziwaczką byłam.

*) Opowiadanie z cyklu: „Ciotulénka”

Wiedziałam jakie zioła dobre są, a jakie złe, jakie drzewo sprzyjające, a jakie na chorobę. Zmii i tej się nie zlekłam. Kiedyś na grzybach ugłaskałam gadziukę, że leżała sztywno jak gałązka. Ale na kulig to bym jeszcze pojechała! — niespodziewanie zakończyła ciotulénka swe wywody.

Zarzuciłem palto i z tym uroczystym wyrazem twarzy, który mówił sam za siebie skierowałem się do wyjścia.

— Gdzież ty idziesz? Znow z chłopami będziesz pił! — niezdecydowanie zaoponowała ciotulénka.

— Skoro jest karnawał musi być i kulig. Z mężem szlachetnie urodzonej zamierzam pertraktować — rzekłem górnolotnie, co ciotka Ewelina zrozumiała po swojemu, gdyż zakrzętała się koło kredensu, gdzie były przechowywane wszelakie odtrutki.

Z czerwonego murowańca buchala para, a drobne szyby drżały od głosów, które rozsadały gospodę. Zgodnie z położeniem miejsce to się zwało „Nad Czarną Rzeczką”. Wchodziło się tam łatwo, jak do każdej rzeczki lecz wychodziło się nie takim i nie z tej wody.

W kącie przy zasuwany okienku, przez które podawano zupę i drugie danie siedział mój przyjaciel Czark. Chłubił się on wielkim indyckim nosem przełamany w połowie, a jego z indiańska, brązowa, to znow szara jak bukowy popiół twarz, zdawała się być ulepiona w pośpiechu z tego co Pan Bóg miał pod ręką. I Czark, żeby nie obrócić się w glinę i popiół zwilżał swe wnętrze tak często jak tylko się dało. Mój przyjaciel przywędrował z Pomorza i wzenił się we wdowie gospodarstwo. Żona jego była kaszubską szlachcianką lecz Czark był dumny tylko z jednego: ze swego bułanego ogiera o pięknej srebrnej grzywie i białym ogonie.

Czark wyciągnął przyjacielsko swą gliniastą łapę, drugą usiłując ułożyć niesforne kędziory, z których wystawały żdźbła siana i skąd sypał się owies.

— Siadajcie. Ta pleskwa szła po piwo i nie wraca — z miejsca wyjaśnił sytuację.

Skręciłem ku bufetowej, by wrócić z dwoma kuflami, w których pienieł się niezgorszy bersz, bo dojrzewający w elbląskim browarze.

Czark jednym duszkiem wychylił piwo, odechnął głęboko i z lubością przyjrzał się mej osobie.

— Lubię ce. Aniół ty jesteś chocia uczony.

— I boso Antek — dodałem przezornie.

— Jaki ty boso Antek! — gorąco zaprzeczył mój przyjaciel. — Ty jesteś wasta! Pon!

Obróciłem po raz drugi, tym razem przynosząc dubeltowe kufle. Czark zlizął pianę, która skapywała na kraciastą ceratę, rozparł się po gospodarsku, odetchnął i rzekł:

— Powiedz mnie, czemu ja ce lubię? No czemu?

— Jak to — czemu?! — oburzyłem się. Bo jestem twój przyjaciel.

— Jo, ty nie jesteś fałszewi, chocia wy wszyscy odnąd jesteście utropce — ciągnął Czark wyraźnie nadużywając mojej językowej niewiedzy. Ale tym razem się przeliczył.

— Jak my jesteśmy utropce, to ty jesteś trodel — wyraziłem się szkaradnie, patrząc mu hardo w oczy.

— Jo tego nie powiedział! — zaparł się Czark w żywe oczy. — Jo, ty mój drech, mój przjaciel. Masz mądro cotineczka i sam jesteś mądrzela.

I paroma haustami wychylił najpierw jedno piwo, potem drugie. Był to wyraźny dowód, że Czark jest zawstydzony i żałuje swej pochopności.

— Moja ciotuleńka jest urocznica, czarzbónka, czy jak tam jej będzie. I ona ma do mego przyjaciela Czarka jedną prośbę — rzekłem kując żelazo pókij gorące.

— Cotineczka? Co ona chce?

— Chce się przejechać na twoim ogierze...

— Dłocz?... — wymamrotał. Twarz jego spopielała jak u śmiertelnie ранego Murzyna, a ze skołtunionych włosów posypał się żywy owies.

— Bo u nas był taki zwyczaj, że na karnawał jeździliśmy co koń wskoczy. Nie słyszałeś o kuligu?

Czark wstał i lekko chwiejnym krokiem najpierw udał się na podwórze, potem do bufetu. Coś tam wytłumaczył i oto na stoliku stały już dwa kieliszki z grubego, lanego szkła napełnione po same brzegi.

Wypiliśmy w milczeniu.

— Mój odzier jest kopajk jakich mało — zauważył obojętnie Czark. — Żgajuta taki, że strach! Zadepcze każdego.

— Nie moją ciotuleńkę. Nie takie żgajuty merdały przed nią ogonem — uspokoiłem Czaraka.

Pomilczeliśmy tyle ile należało. Po czym wyszedłem na dwór i uczyniwszy to samo co mój przyjaciel, skierowałem swe kroki ku bufetowi. Za chwilę na stoliku stały dwa następne kieliszki.

— Mój odzier je chory — wystękał Czark wychyliwszy kieliszek i zagryzając ziarnkiem owsa.

— Co mu jest?

— Nie wiem. Je chory i tyła!

— To się dobrze składa. Ciotuleńka wyleczy ogiera. Ona ma dobre oczę.

Teraz Czark zamilkł na dobre i nie był go w stanie ocucić nawet następny kieliszek.

— Jestem boso Antek — przyznałem się po półgodzinnym milczeniu. — Nie mam ani grosza. Ale moja ciotuleńka ma dobrą nalewkę na spirytusie.

— Kiedy ona chce jeździć na moim odzierz? — wrócił z niebytu Czark.

— Nie na ogierze a saniami. I to zaraz! Z dzwoneczkami, z janczarami, kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami! — zawołałem wpadając w sarmacki zapał.

— Spirytus bądze?

— Ma się rozumieć! Od tego jest kulig!

— Miesiąc je ful. Jedzem! — zdecydował mój przyjaciel Czark, a miał taką minę, jakby leciał głową na dół — prosto w otwartą beczkę piwa.

* * *

— Mamy kulig! — obwieściłem triumfalnie z samego progu. — Za kwadrans będzie tu mój przyjaciel Czark, na ogierze!

— W imię Ojca i Syna, ten pijak?! — przeżegnała się ciotuleńka. — Na ogierze, mówisz?

— Na ogierze, który jest nieco żgajuta. Ale przecie ciocia nie na takich koniach jeździła.

— Wypileś! — ni to z zazdrością, ni to ze smętkiem stwierdziła ciotuleńka.

Czark już był tu. W rozchełstanej, niegdyś granatowej fufajce wycyganionej od kolejarzy, w berecie, który z biegiem lat upadabniał się do blaszanego hełmu noszonego przez hiszpańskich konkwistadorów. Twarz jego była szczerą i otwartą, lekko zaropiałe oczy patrzyły na świat z junacką odwagą. Mój przyjaciel był gotów na wszystko.

— Panie Czark, na litość boską, co pan zamierza zrobić? — zupełnie bez sensu spytała moja ciotuleńka.

— Nie ma co dyskutować. Pijemy strzeżmiennego i hajda w drogę! — odpowiedziałem ciotce Ewelinie.

Ciotuleńka truchcikiem pobiegła do przyległego pokoju. Coś tam zaskrzypiało, coś zabulgotało i zanim Czark zdążył obłożyć się porządnym znakiem krzyża, ciotka Ewelina była już z karafką i z kryształowym pucharkiem.

— Czarzba jaka cze co? — ucieszył się i zdumiał zarazem Czark i przypiął się do kryształowego pocieszyciela.

— No jak, panie Czark, dobra moja nalewka?

— Jo! Można tak dalej czarzec — z głęboką ulgą westchnął mój przyjaciel.

— Jedziemy! — orzekła wreszcie ciotuleńka. — Szkoda tylko, że nie mamy do kogo zajechać. Nic to. Świat szeroki!

I wyszliśmy prosto pod zimowe niebo, oszalałająco wysokie, idące piętrami w nieskończone przestrzenie. Na dole, tuż nad czubami przycmentarnych świerków przeciągały srebr-

rzyste mgły, dalej, cały skąpany w złocie gospodarzył na swej beczce, sam jak beka, nieprzytomny w swej jaskrawości księżyc, a nad nim w siności i granacie jarzyły się gwiazdy, każda jak wole oko.

Czarkowy bułanek stał przed domem, cały odlany w złocie, ogon srebrny i grzywa srebrna.

Usadowiliśmy się w krótkich, wysokich sianach z solidnym oparciem. Czark zajął miejsce z przodu, na kusej ławeczce.

— Pamiętaj, kochanieńki, jak nas przewrócisz sam sobie szkoda zrobisz — upomniała na drogę moja ciotuleńka, która chytrze włożyła do torebki płaską piersiówkę.

— Hije! — z indiańska zakrzyknął Czark. — Hije hijka! Hije glink!

Popędziliśmy co koń wskoczy.

— Przecież to jest najprawdziwszy wariat. On nas pozabija — zauważyła ze stoickim spokojem moja ciotuleńka i poddała się rozkoszom jazdy.

Lipnisz wywalił na nas swe żółte oko, nieliczni przechodnie obracali się w słup soli, a Czark gnał cwałem przechodzącym w galop, wrzeszczał „hije!” i strzelał z bicia z taką pasją, że z drzew spadały uśpione gawrony.

— Powiedz ty mnie, kochanieńki, gdzie on tak swój nos rozindyczył? — zainteresowała się ciotuleńka już nieco nasyciwszy się kuligiem.

— Pokrywa czołgu spadła mu na nos — odparłem przypomniawszy niejasną opowieść mego przyjaciela z czasów wojny, gdy wcielony do Wehrmachtu przeszedł on na stronę alian-tów i tam zamierzano uczynić z niego celowniczego, na przeszkodzie jednak stanął nadmiar „łyski”.

— Dobrze, że nie na głowę. A to dziś nie mielibyśmy kuligu — odetchnęła z ulgą moja ciotuleńka.

Przeskoczyliśmy przez tory, za którymi były już tylko łaski i nieliczne zabudowania. Wśród nich gospodarstwo Czarkowej żony. Odzier bezbłędnie skreślił w lewo, wpadając na znajome podwórze. Niby fantastyczna chatka na kurzej stopie srebrzył się pośrodku majdanu wielki gołębnik. Majdan otaczały zawałiste zabudowania wymurowane z kamienia zebranego na pobliskich polach. Przez dachy miejscami przeświecał księżyc, jedynie stajnia lśniła świeżą dachówką.

— Prawdziwy to zaścianek musiał być — westchnęła ciotuleńka. — Takie budynki! A gołębnik to chyba mickiewiczowskie czasy pamięta.

— Diabelszi odzier! — zaklął Czark. — Do kuna mu spieszno!

— Tak cóż, mój kochanieńki, zajazd, znaczy się, robimy? — upewniła się ciotka Ewelina rozcierając policzki, bo mroził się ustątkował i był w zgodzie z kalendarzem.

— Prosimy zachodzić — znalazł się Czark. — Będem mieli u mnie kulik.

Ciotka Ewelina zwałowo zeskoczyła na chrupiący śnieg. Czark przykrył odziera własną fufajką i wkroczyliśmy do wielkiej izby. Pod

oknem stał tam stół i na tym stole leżał napoczęty bochen chleba i walał się nadgryziony ogórek. W dalszych regionach pieniały się dwa łóżka i spod szarawej piany jednego wyglądała czyjaś rozczochrana głowa.

— Mójka wstawaj, som goście! — buńczucznie oświadczył Czark.

— Ty kropniku zatracony, ty pijoku! — zawołała głowa i znikła pod zwałami gęsiego pierza.

— Białka poszła spać, a my bądzem mieli kulik — nie stracił fasonu Czark.

— Tak my już lepiej pójdziemy, kochanieńki. Zrobiliśmy zajazd i teraz w drogę! Szkoda tyłko, że janczarów nie masz — powiedziała ciotuleńka kierując się do wyjścia.

Czark zafrasował się mocno. Twarz jego spo-pielala, a bohaterski nos wyraźnie zwiadł jak u indyka, któremu odeszła ochota.

Ciotuleńka pojęła w czym rzecz. Mój przy-jaciół niby najprawdziwszy prestidigitator w mig wyczarował znane mi skądś, odlane w grubym szkłe kieliszki. I zrobiliśmy to, co w czasie zajazdu należało uczynić.

— Moja białka je szlachcianka, a szlachta lubi wcyg spać pod pierzeną! — głośno oznaj-mił na odchodnym gospodarz domu. Ale puchy ani drgnęły.

— Ona zrobiła kaput! — ucieszył się zucho-wato Czark, gdy drzwi zatrzęsły się za na-mi.

Bułany ogier płynął po stwardniałym śniegu jak żywe złoto, które wyciekło z tygla osza-lałego alchemika. Wyskoczyliśmy na jeziorną gładź, na drogi znane tylko Czarkowi i jego bułanemu odzierowi. Zadudniło jak po muro-wanym moście, ściany lasów rozwarły się, a niebo zajaśniało całą swą zodiakalną pysz-nością. Srebrne mgły gnały gdzieś bokiem, na-przeciw mgłom szedł księżyc przetaczając się przez czuby świerków jak odrąbana głowa wielkiego Chińczyka.

— Mateczko ty moja, ten wariat nas potopi — westchnęła ciotuleńka, ale oczy jej pa-trzyły na świat z żarłocznością dziecka.

— Niech se cotineczka nie strachuje. Lód je mocny. Słyszycie jak niesie? To nie lód, to je beton — pocieszył nas Czark naciągając swój konkwistadorski hełm na uszy gorejące jak światła samochodowego stopu.

— A żeby ciebie z twoim betonem! Skręcaj do lasu! — zawołała ciotuleńka.

Lecz Czark tylko poprawił się na swej ku-sej ławeczce, zaciął ogiera i ten poszedł galopem. Teraz słychać było jedynie dudnienie kopyt i jakieś głębokie odgłosy brzmiące jak: „uuch!”, „uuch!”, „uuch!”. Plecy Czarka nagle wyprostowały się i nasz przyjaciel wyciągnął biczysko wskazując na coś przed sobą.

— Czort to prawdziwy nie Czark — wystę-kała ciotuleńka. — Co on tam widzi?

Wlepiłem załzawione oczy w mroźną prze-strzeń widząc jedynie białą pustkę i czarny rąbek lasu. Lecz w tej czerni był jakiś prze-świt, chwiał się on jak biały płomień i naj-wyraźniej rósł.

— Ktoś naprzeciw jedzie — powiedziała ciotuleńka oceniwszy sytuację swym prawym lunetowatym okiem.

— Szemel! — wystękał Czark obracając ku nam swą spopielałą twarz.

— Bióli kón!

Teraz i ja wyraźnie dostrzegłem jak naprzeciw nas pędzi przepyszny biały ogier, jakby negatyw naszego dziarskiego kopajka. Kładł się z nim delikatny cień, a może były to sanie z pochylonymi sylwetkami ludzi.

— Kuligiem jadą! — ucieszyła się moja ciotuleńka. — Słyszycie, janczary!

Wszystko stało się w jednym momencie. Dzwonienie przeszło w huk i detonację, Czark gwałtownie skręcił, oboje z ciotką Ewelina poleciliśmy głową w śnieg, a mój przyjaciel z krzykiem „hije!”, „hije!” pognął jak szalony. I nie wiadomo było, czy odzier go ponosi, czy Czark poniósł odziera.

Ciotuleńka chwilę małą odsapnęła, podniosła się na równe nogi i spoglądając ze smętkiem za ginącymi w nocnych mroczkach saniami, orzekła:

— A wszystko przez to się stało, żeśmy butelką za wcześniej opróżnili. Byłby ostrożniejszy...

I stanąwszy nad głęboką szczeliną biegnącą zygzakiem przez jezioro, pokiwała głową:

— Widzisz ty jak pękło. Mróz musi być nie zgorszy, a ten galopem po lodzie. Któż to widział. Czort to a nie Czark.

— A gdzie się podziały drugie sanie?...

— Żadnych sań nie było. Fata Morgana! — twardo orzekła ciotka Ewelina.

— Przecież sama ciocia mówiła...

— Nic ja nie mówiła. Idziemy!

Szliśmy i tylko śnieg chrząścił nam pod nogami jak sieczka przeżuwana przez wielką białą krowę. Tak dobrnęliśmy do lasu, gdzie już były znajome drogi, teraz zasypane po kolano.

Ale ktoś przejeżdżał lasem i można było znaleźć udeptany szlak.

Wglębiał się w milczenie lasu, w jego czujną lecz obojętną obecność, która obejmowała nas zewsząd jak powietrze ptaka lub woda rybę. Potężne świerki i małe choinki oklejała gruba warstwa zamrożonego śniegu. Nieco dalej od drogi tłoczyła się ciżba wybujałych sosenek ze śnieżną lawiną na rozczochranych łbach.

— Cierpliwe jesteście, och cierpliwe — mruczała ciotuleńka. — Cierpcie, kochanieńkie, cierpcie...

Wówczas jeden ze świerczków wysypał z rękawa scukrowaną zimę i łapa jego wyskoczyła tuż naprzeciw nas. A potem gdzieś niedaleko zaskrzypiało. Było to skrzypienie powolne i utrudzone, jakby ktoś nachylał łeb buntownikowi, a ten napinał kręgi aż do ostateczności. Rozległ się krótki i ostry wystrzał i łomot powalonego ciała.

Ciotka Ewelina przystanęła, przeżegnała się powoli i z rozwagą.

— Umarło...

Nagle, jakby w olśnieniu dojrzałem wszystkie sosenki skazane na umieranie stojąc. Pochylały się wielkim łukiem, z lodowym całunem na igielnych skroniach. I oto kolejna sosenka, już wyzwolona z upartego napięcia, aby istnieć, z cicha zaskrzypiała i wystrzeliła rozdzieranymi słojami. Szumiąc zamasyście korona zjechała na ośnieżoną ziemię. Zapanowało milczenie, jeszcze bardziej wszechobecne i oczywiste.

— Umarło...

Przybywało nam kroku, bo któżby miał na tyle sił i serca, ażeby być świadkiem największej tajemnicy lasu: tej nocnej agonii drzew, tej walki ostatecznej i nieodwracalnej...

Po powrocie z kuligu spaliśmy prawie do południa.

Jak powstała półwyspa Él?

Antoni Pieper

Bëło to wiele, wiele lat temu, móże tësac lat nazôd, czé jesz Bôlt, abo Wiôldzié Morzé sygalo jaż pod Oksëwie ë dzysejszą Gdinę, a od ôstë, we Wiôldzi Wsë woda oblëwała całą wies. Nicht nie wié jak to poprôwdze wtenczas bëło, ale naszi starkowie gôdalë, ëż nôprzôd bëła jedna wiôlgô rewa na tim môlu, gdzie stoi dzysejszi Él, ale ona so pomalë robila wikszô, dlëgszô ë szerszô, posëwała so w stronę Borë ë Jastarnë. Chtëż miôł gdesz wëczëtac, ëż tam muszôł bëc taczi wiôldzi wrak, abo pôrë tacziëch morzkułców wiôldziëch, po jaczim rozwalonym okrëce, co miôł jaką morzką bijatëkë w tamtëch czasach, tësac lat temu, czé do Gdónska jeżdzelë rozmajité okrëtë naladowónë drodziëmi towôrami z daleczëch krajów, a zabieralë stąd wiôldzië sztëczy bursztinë, taczië jak głowa dorosłëwo czlowieka. Tacziëch ju dzysô nigdzie ni ma. Jeden stôri rëbôk z Borë, Edward Borlesz, umarli po ostatny wojnie opo-

wiódł letnikóm, że chiedono na tym mólu, gdzie kończy się dzysó El, był jęwo początk. Tu miół so ukręwać przez dludzi czas w tamtých latach jaczis zbrodniórz morzecz, rabusznik, co napódł na spokojných handlarzi ze swiata i zabierół jim wszetczy jich towór, a lędy topszil w morz. Chtosz z nich róż jeden le widzół okręt: miół na maszce wiewieszoné czórną flagę z wemalówną lędzką czaszką. Taczi widok odstrószół wszetczych, co jęwo widzel. Chcelé uchwóć ten zaczajony w morz okręt, ale jęwo ni mogł nigdę nalezc na morz. Strach miel jachac cęz okręte w te stron.

Ale róż so pórę okrętników umówilo midz sobą i chcelé razę szękać tewo rozbójnika. Długó to trwalo, ale róż jęwo uzdrzel i otoczél z trzech stron. Doszlo do bijatęczy. Jeden okręt utonę z bursztinami, drędzi pirócę pojmalé, a lędy na nim wemórowalé. Trzeci okręt ucek. Kapitan pirótów był uweseloný swojá zdobęczą. Urzeszli okręt i cygnę jęwo ze sobą. Chcól skřęćć teróz w bok i ukręć so. Pojmóny okręt jęmu so widzół barzi jak jęwo i chcól przeladowac towóre do niewo, bo był wiksz. Rzucélé té dragę i stojél. Ale cęz ju mielé połowę towarę przeladowóné, powstól wiater i przeszkodzil jim w roboce. Potemu jesz přeszla doka. Nic nie widzel przed sobą. Kapitan kózł přerwac przeladunek i pomalé oba okręte jachac začęné dali. W tym czasie nicht nie wiedzól, że jich nowi okręt so odrzeszil i od-

plęną dalek od nich. Totéz cęz doka přerz opadla, uzdrzelé że są sami, a pólén towaré zdobęczny okręt zdžinę jim przed oczami. Złosc padla na wszetczych, a nówikszó na kapitana pirótów: stól so jaż zelony cęz uzdrzół że ta morzkó bójka jęmu nic dobréwo nie přeniosla, le wiólgą szkodę. Naróz cosz szarpnęło calim okręte. Zrobil so poploch u lędy. Zbadalé, że szkuner jich mó dzurę na dnie. Kapitan rozkózł naladowac pólén bót, jacz i mielé ze sobą, zabronéch towarów. On i pórę okrętników mialo wlec w bót, jachac jęwo rozladowac i z lózým bótę přējachac nazód, bę zabrac nowi ladunek z jich okręta. Ale kózdi chcól bęć pierszi na tym bóce. Zaczęné so swarzć midz sobą, jaż doszlo do bijatęczy. Zaptopszilé bót z bursztinami i začęné bic so na okręce. Nie slęchalé ju swéwo kapitana. Před wieczoré malo chto ostól zęwi. Wiater, jacz i rozřszól, targól okręte na wszetczy stron. Jak trzaslo mocno w nim i woda začęna lecec do bęna calými stręgami. Zrobil so wióldzi krzék tých lędy, co jesz na nim bélé, ale zaróz bęlo cęcho, a potemu po morz ju nic nie plęnęło.

Za tym wrakę, jak wióldzim morzkulcę zatřemiwalé so teróz jiné wraczi, jaż weszed na nich chiedono goli psziósk, móło rewa, jakó rozszerzala so coróz dali. Potemu uroslo pórę tacziéch wisp, jaż wszetczy so zaszlé i powstala Pólwispa El.

Powroty Chciało się dotykać ścian

Irena Ostrowska—Wnukowa

Byliśmy na wakacjach w Juracie. Przyjechaliśmy z Krakowa, w którym od wielu lat mieszkaliśmy. Podzieliliśmy czas wakacyjny między nadmorską krainę mego dzieciństwa, młodości — i góry, rodzinne strony mego męża. Chcieliśmy, by nasza córka i syn poznali ziemię swych przodków.

Jurata roześmiana letnikami, szumiąca otwartym morzem i kojąca głaziami zatoki. Mąż z moją matką i córką wyjechali wcześniej, ja z synem miałam przed sobą jeszcze parę dni oddychania cudownym powietrzem półwyspu.

— Pojedziemy Witusiu do wsi, gdzie twój dziadek się urodził.

Trzeba było dojechać pociągiem do Pucka, dalej autobusem. Ktoś z PKS-u mylnie nas poinformował, do Mechowa dojechalibyśmy, potem nie było już odpowiednich połączeń.

Mechowo, wieś ze starym kościołkiem, z małymi grotami, o których mi w dzieciństwie opowiadano

całe legendy jeszcze z czasów krzyżackich. Na cmentarzu leżą moi dziadowie, pradiadowie od wielu pokoleń. Pomodliliśmy się i w drogę — do rodzinnego Domatówka. Szumiały nam lasy i łąny.

— Patrz Witusiu, tu kiedyś spotkaliśmy wspaniałego jelenia z rozłożystymi rogami, tam była wielka mogiła żołnierzy francuskich i polskich z czasów napoleońskich, na tym wzgórzu twój pradziadek wykopał grób po dawnych Słowianach.

Rozszalała się letnia burza, błyskawice rozrywały niebo, były pioruny, a my szliśmy lasem, zmoczeni i uśmiechnięci.

Burza, tak szybko jak przyszła, tak i odeszła. Dotarliśmy do Domatówka. Wioszcza zielona, skryta wśród lasów jakby ją stary Pan Bóg w zagłębieniu swej dłoni schował. Nad nią rozpościerała się tęcza.

Ojczysty dom mego ojca stał jak dawniej, dach nakryty do połowy strzechą, ściana obrosnięta winogradem, zabudowania gospodarcze, ogród naokoło.

Przed progiem płaski kamień, przy którym przyklekałam tak, jak dawniej z babcią czy ojcem to czyniliśmy.

Serce miałam ściśnięte, bo to, co do nas, do dalekiego Krakowa listownie docierało i co stwierdziłszy z rzadkich odwiedzin krewnych rozsianych po Kaszubach, nie było przyjemne. Otworzyła nam drzwi stara Herta, która dawniej pomagała mej babci, a potem stryjom w gospodarce. Mieszkała teraz w pokoju najmłodszego stryja, w pozostałej części domu obce dwie rodziny.

Wszędzie czysto, ładne meble.

Stryjowie byli bezdzietni, przyjęli na gospodarstwo pasierbicę trzeciego stryja, a sami z żalu, że się zestarzelili i nie mogą dalej zajmować się gospodarką, umarli. Bardzo smutne były ich odejścia z tego świata. Przetrywali torturowania hitlerowców za to, że pozostali Polakami, przetrwali działania wojenne 1945 roku, w czasie których zostali doszczętnie okradzeni i zrujnowani, a późniejszym trudnym latom już nie sproścali.

Kiedy wyjeżdżałam na stałe do Krakowa, pobłogosławili mnie i dali starą rodzinną księgę z 1614 roku, ona jedna ocalała z wojennych rabunków.

Chciało się dotykać ścian.

— Patrz synku, tu twoja mama i dziadek chodzili, kiedy byli dziećmi.

Pokoje były chłodne, najbardziej własne jak to, co się nosi w sobie przez całe życie.

— Popatrz, tam była suszarnia owoców, pachniało suszonymi śliwkami, gruszkami, tam stały wozy, powóz.

Poszliśmy jeszcze do lasu obejrzyć staw — bardzo się zmienił, zarastał trzcinami.

Na przystanku autobusowym podbiegła do nas młoda, miła kobieta.

— Pewnie ma pani żal, że my w waszym domu mieszkamy?

— Nie, cieszę się, że dom żyje, smutnie byłoby, gdyby był opustoszały.

— Stefan (mąż pasierbicy) wynajął nam mieszkanie za pomoc w polu. Wyciął las i poglobował przy drodze nowy dom.

Dom był porządny, szklarnia mała obok niego.

— Proszę pozdrowić go ode mnie — powiedziałam — nie mogę do nich tym razem pójść, bo kiedy pomyślę o stryjach, zaczynam płakać...

Las wyciął. Stryj Jan, najstarszy ze stryjów, nie chciał lasu wycinać...

Wszędzie na Kaszubach u moich krewnych było to samo. W czasie okupacji siedzieli w obozach koncentracyjnych, więzieniach umęczeni przez Niemców. Po wojnie nie mogli podołać wielkim, nałożonym na gospodarstwa podatkom, sił im brakło, by gospodarzyć tak jak dawniej. Ludzi chętnych do pomocy nie było, woleli jeździć do pracy w fabrykach, stoczni.

Myślałam o swoim kuzynie Józefie. Jego wielkim łaniem 50 morgowym pszenicy, szumiącym dorodnymi kłosami.

— Patrzcie! — wysypywał z kłosa ziarno na rękę. — Zasiałem nową odmianę.

Widziałam go znowu jako młodego, starogardzkiego szwoleżera na wyścigach i popisach jazdy konnej w Gdyni pod Kamienną Górą. Siedział w siodle i jeździł wspaniale, potem kursy rolnictwa, zakładanie sadów. Zawołany gospodarz, godny następcą ojca. Przyszła wojna, był w Stutthofie, żona z 7-giem dziećmi w obozie w Potulicach — i czas powojenny. Wysokie podatki, stale się powtarzające — nie podołał, załamał się. Sparaliżowany umarł. Gospodarstwo zabrano, wdowie po nim został dom i parę morgów.

Te wspaniałe gburstwa kaszubskie ze stadami krów, owiec, pola uprawiane, wielki trud ich właścicieli, którzy nie wiedzieli, co to życie bez pracy, od świtu do nocy ładzili, hodowali, obsiewali...

Brat Józefa Klemens, mój drugi kuzyn, objął ojcowiznę, rodzina ich siedziała na niej od wieków. Bóg mu poszczęścił 5 córkami, śliczne dziewczynki, ale kto pomoże w codziennej pracy, której tak wiele? Przyszedł dzień, w którym miano mu wszystko zabrać za zaległe podatki. Miał na szczęście wielką górę, która kryła cenny żwir. Oddał ją państwu. —

Irena Ostrowska Wnukowa urodziła się w Tczewie w 1922 r. Ojciec Józef Ostrowski, pochodzący z Kaszub, uczył w Państwowej Szkole Morskiej w Tczewie, potem w Gdyni, gdzie Irena Ostrowska ukończyła w 1939 r. gimnazjum ss. Urszulanek. Po wojnie, w 1945 r. zamieszkała w Sopocie i w tymże roku zdała maturę w liceum humanistycznym w Gdyni, po czym rozpoczęła studia medyczne w Gdańsku, przerwane na skutek choroby. W 1947 r. wyszła za mąż za literata Włodzimierza Wnuka. Od 1954 r. mieszka w Krakowie.

Debiutowała w r. 1948 w „Tygodniku Warszawskim”. Publikowała swoje utwory, opowiadania i wiersze m.in. w „Odrze”, „Dziś i Jutro”, „Kierunkach”.

Po zaplaceniu długów zostało mi na pudełko papierosów — mówił.

Trzeba było dalej pracować. Listy przychodziły od niego tragiczne. Spalił się dom, zabudowania. Cała rodzina leżała powalona gripą w niedopalonej części stodoły.

Uładzone, piękne Kaszuby mego dzieciństwa...

Stryj Michał, ojciec kuzynów, mówił do mnie oprowadzając po polach i lesie.

— Chcesz być lekarzem? Podaruję ci moją górę, wybudujesz na niej sanatorium.

Dawne czasy, życie potoczyło się inaczej.

Bardzo lubiłem tego stryja, miał fantazję, humor. Opowiadał jak to jego pradziad walczył w wojsku Napoleona o wolność Polski. Za czasów jego pradziada ziemie naokoło gospodarstwa tworzyły jeden majątek, który podzielono między braci i tak powstało parę gburstw. Wszystkiemu winni Prusacy-Niemcy. Dobierali się do wszystkiego, co polskie.

— Musiałem wybudować przed I wojną światową nowy dom mieszkalny, nie dali pozwolenia. Wbrew zakazom pobudowałem, jakoś nie zburzono go jak u sąsiadów, został.

Kuzyn Klemens też umarł przedwcześnie, serce nie wytrzymało.

Minęły lata, tak się złożyło, że nie mogłam jeździć na Wybrzeże. Dzieci i u nas i na Kaszubach wyrosły, założyły własne rodziny. Cieszyliśmy się ogromnie z wiadomości nadchodzących od krewnych. Wśród młodego pokolenia wiele młodzieży uczyło się, studiowało. Syn kuzynki Jerzyk H. zdawał świetnie na polonistykę Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor egzaminujący zapytał go:

— Czy mógłby pan powiedzieć, gdzie pan maturę zdawał, kto pana uczył? Tak błyskotliwie pan zdaje.

Kończył gimnazjum w Rumi, którą ja pamiętam jeszcze jako wioskę.

Pojechaliśmy wreszcie nad morze. Zdumieliśmy się z podziwu. Rozmach budownictwa miejskiego, wiejskiego. Wspaniale odbudowane z gruzów kościoły gdańskie, porty, świetna komunikacja.

To, co zdziałano w powojennych latach, mogliśmy chyba tylko my, przybyli z południa Polski ocenić, dla miejscowych był to już tylko chleb powszedni.

Niespodziewanie dla mnie podwiózł mnie syn kuzynki do tego Wielkiego Lasu, z którego mam tyle dziecięcych wspomnień. Jakby mi najpiękniejszy prezent podarowano.

— Ciociu — powiedział Kazik, młody gospodarz — za 20 minut będziemy autem na miejscu, to nie to, co dawniej, kiedy się bryczką zaprzęzoną w konie jechało.

Dom nowy, przy nim gromadka dzieci jak z obrazka; biegał mały Michałek, który odziedziczył imię po pradziadku, w obejściu traktor, murowana nowa stodoła.

Przyjechaliśmy niespodziewanie, byli po sadzeniu kartofli, zrobili właśnie pranie. Wkrótce wszystko uprzątnięto, stół zastawiono. Dzieci pobiegły po konwalijki do lasu dla mnie, nowo poznanej cioci. Wyjątkowo śliczne, grzeczne i serdeczne dzieci.

Po poczęstunku była jak zawsze rodzinna rozmowa. Trudzia, wdowa po kuzynie, żałowała:

— To nie to, co dawniej, szło się obejrzyć krowy, konie, pola, a teraz... Obora nam się wali.

Jej córka, Władzia, młoda bardzo ładna mężatka, zaoponowała:

— Pobuduje się, mój mąż wyjeżdża do Rosji na pracę, zarobi.

Ale kiedy wyszliśmy na chwilę na dwór, dodała:

— Ciociu, wie ciocia, jak się napracowaliśmy...? Musieliśmy po raz drugi wykupić na nowo całe gospodarstwo wraz z zabudowaniami. Jeździłam do ministra do Warszawy, żeby zezwolił nam na kupno jako dzierżawcom.

Pomyślałam: pewnie i minister zmieknął widząc tak piękną kobietę walczącą o swą ojcowiznę...

Władzia zaczęła mówić po kaszubsku. Rodzina jej zwątpowała.

— Kochani, mówcie po kaszubsku, nie zapominajcie naszej mowy, gdzież zostanie w Polsce zakątek, w którym się jeszcze mówi gwarą!

Po powrocie do domu poznałam Niemkę, panią Anne Marie Debrey. Należała ona w czasie wojny do ruchu oporu, po wojnie jeździła wiele po świecie, do Polski, Izraela, Egiptu, wszędzie z pomocą i w

misji przyjaźni. Do nas w latach kryzysu przyjeżdżała z paczkami głównie dla byłych więźniarek Ravensbrück.

Właśnie kanonizowano Ojca Maksymiliana Kolbe-go.

— Przyjechałam, żeby w tym dniu być w Oświęcimiu. Może lepiej zrobiłam, niżli jeżdżąc do Rzymu? Dzielna kobieta, wychowała dziewięcioro sierot, obecnie ma u siebie dziecko, które nigdy nie będzie chodzić.

Usłyszawszy, że pochodzę z Kaszub, zapytała:

— Czy zna pani niemiecką kolędę o Matce Boskiej z Kaszub?

Nigdy o takiej kolędzie nie słyszałam. Przykre to, ale wiem, że Niemcy zawsze mówili o nas der „stuhre Kaschube”, tępy, uparty Kaszub.

— Ech, o kim to Niemcy nie mówią „stuh”! O Westfalczykach „der stuhre Westphaler”, o katolikach „der stuhre Katoliker”.

Melodia kolędy była ładna, a słowa mniej więcej takie:

Czy znasz śliczne Dzieciątko z Kaszub
i najlepszą, najpiękniejszą Matkę Bożą
Kaszubską czuwającą nad Dzieciątkiem.

Wpłaty na „Fundusz Pomeranii”

Marzena i Tadeusz Woźniakowie, Gdynia, 200 zł; Irena Knurek, Kartuzy, 200 zł; Zygmunt Kornowski, Bartoszyce, 340 zł; ks. Ludomir Warnke, Zamarte, 1200 zł; Monika Kołodziej, Brusy, 500 zł; ks. Zbigniew Kulwikowski, Starogard, 840 zł; Janusz Wdak, Gdańsk, 200 zł; Jerzy Cislak, Sopot, 200 zł; Janusz Gilek, Gdynia, 200 zł; Maria Piasecka, Gdańsk, 200 zł; Edmund Szczepanowski, Wejherowo, 200 zł; Wanda Brzęwska, Wejherowo, 140 zł; Bernard Potan, Gdańsk, 200 zł; Getruda Kobiela, Niepoczułowice, 200 zł; Zbigniew Lipiński, Karlów, 200 zł; Stanisław Cechorz, Kraków, 340 zł; Jerzy Rogoński, Czersk, 300 zł; Ryszard Wójcik,

Warszawa, 200 zł; Tadeusz Lewandowski, Brodnica, 200 zł; Alfons Bielicki, Brodnica, 200 zł; Anastazy Flisykowski, Goręczyno, 200 zł; Julian Zaborowski, Lipusz, 340 zł; Magdalena Stark, Gowidłino, 200 zł; Władysław Kepka, Wejherowo, 200 zł; Alfons Hebel, Sychowo, 200 zł; Józef Dalecki, Bydgoszcz, 200 zł; Roman Wieloch, 300 zł; Anna Łajming, Słupsk, 2400 zł; Irena Fenikowska, Warszawa, 1200 zł; Agnieszka Kobiela, Kartuzy, 200 zł; Felicja Synak, Raduń, 200 zł; Franciszek Socha, Kartuzy, 200 zł; Małgorzata Formela, Kartuzy, 300 zł; Oskar Jankau, Gdańsk, 300 zł; Jerzy Zaworski, Mściszewice, 200 zł; Jan Tarka, Bydgoszcz,

340 zł; Rudolf Kuper, Toruń, 200 zł; Ryszard Adamczyk, Gdańsk, 500 zł; Bronisław Hinc, Kartuzy, 500 zł; Anna Dziewiątkowska, Kartuzy, 500 zł; Helena Kreft, Tczew, 140 zł; Jan Pisała, Złocieniec, 200 zł; Irena Brzezińska-Grabowska, Wiele, 200 zł; Kazimierz Radtke, Bydgoszcz, 140 zł; Jerzy Kubiowski, Warszawa, 160 zł; Jadwiga Matheja, Kartuzy, 100 zł; ks. Kazimierz Raepke, Borzyszkowy, 1685 zł; Henryk Hinc, Warszawa, 200 zł.

Wszystkim serdecznie dziękujemy. Przypominamy, że na „Fundusz Pomeranii” można wpłacać na konto PKO Gdańsk nr 19510-5890-132.

WALKA O WIATRAKI

Z literatury znamy postać Don Kichota, który walczył z wiatrakami. Są obecnie tacy, którzy walczą o wiatraki, coraz rzadsze w naszym pejzażu. Należy do nich inż. Tadeusz Tomuszunas, właściciel „koźlaka” w Drewnicy w woj. elbląskim, członek zarządu Międzynarodowego Towarzystwa Wiatrakowego, skupiającego miłośników skrzydlatych obiektów na całym świecie. Z jego inicjatywy opracowano atlas polskich wiatraków. Okazało się, że jest ich jeszcze około tysiąca. Najwięcej w Konińskiem — 116 oraz w Białostockiem — 105. W województwie gdańskim stan posiadania jest już bardzo skromny — pozostało ich już tylko 6, w słupskim zaledwie jeden. Przeszły one pełnić swe dawne funkcje. U nas, gdyż jak twierdzi inż. Tomuszunas

w wielu krajach wiatraki nadal miały zboże, wyciskają winogrona i oliwki. Tak dzieje się w krajach najbogatszych. Uboższym nie opłaca się widocznie korzystanie z darmowej energii. Nasze wiatraki zamienia się w kawiarnie lub domki letniskowe, najczęściej jednak ulegają zniszczeniu. Jest jeszcze wciąż co ratować. Może by więc spróbować wzorem innych złapać wiatr w skrzydła? (Sz)

84 URODZINY APOLINAREGO PASTWY

22 lipca br. A. Pastwa ukończył 84 lata. Należy do najstarszego i najbardziej zasłużonego pokolenia naszych twórców ludowych. Kaszubski rzeźbiarz, urodzony we wsi Górki, przez wiele lat mieszkał w Wielu, a od 1927 roku w Węglikowicach. Tworzyłem arty-

sty jest drzewo lipowe, dębowe i topolowe. Całe życie związane ze wsią kaszubską, z niej czerpie inspiracje do swej twórczości. Od 1959 r. prace tego zasłużonego twórcy eksponowane są na wszystkich liczących się wystawach twórczości ludowej. W 1981 r. otrzymał nagrodę im. I. T. Gulgowskich. Sędzkiego jubilata w dniu Jego urodzin odwiedzili dyr. Jerzy Kiedrowski i Krystyna Szałańska z Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Gdańsku, składając życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności, przekazując wyrazy szacunku i podziękowania. Życzymy 100 lat. (jot-ka)

KLEKA

Ciąg dalszy na str. 60

Mój dom

Anna Łajming

(20)

Mąż był bardzo rozrzutny, w pokoju stały kwiaty kupione na mój przyjazd w kwaciarni. Kwiaty bym mu darowała, ale na tapczanie, w rogu siedział drogi pajac.

— W domu musi być przytulnie — powiedział, kiedy zrobiłam oczy. Nie lubiłam tego rodzaju ozdób, ale musiałam się uśmiechać. Przypomniałam sobie jak przed paru latami mąż kupił sobie drogi piston. Hałasował w domu przez kilka niedziel, prędko się znudził i sprzedał go za połowę ceny. Potem sprawił sobie, wówczas bardzo modny, melonik z bielutką, jedwabną podszewką. Czuł się w nim źle, ludzie wytrzeszczali na niego oczy i nie nosił go. Dał dzieciom do zabawy, a później Adela używała go w kuchni do obierek z kartofli. Teraz mąż pokazał mi kupon na ubranie, które zresztą było mu potrzebne. A krawca znalazł na jednym z majątków, Pustowgara z Pelplina, Ukrainca oczywiście, który z wielką chęcią przystąpił jako członek do Związku Emigrantów Rosyjskich. Nic na to nie powiedziałam i przejrzałam pocztę. Roztargniona przeczytałam parę słów od pani Broni, która pod PS dodała: „Miała Pani rację”. Dzieci kręciły się po ciasnym mieszkaniu, wszystko było dla nich nowe i z ciekawości otwierały wszystkie szuflady. Mąż ich skrzyczał. Adele trzeba było pochwalić. Wyprała bieliznę i wyczyściła mieszkanie choć obierał się jej palec. Na kolację zamiast krajanki, ułożonej przez męża estetycznie na półmisku, wolałabym grzyby lub ryby, albo brukiew z okrasą lub kwaśne mleko i bób. Myślałam o ojcu, który oddawał się rozmyślaniom i lubił wspominać przeszłość. Ostatnio pokazywał mi swój zegarek kieszonkowy, niegdyś otrzymany w prezencie gwiazdkowym od barona von der Recke, i dodał, że służył będzie kilku jego pokoleniom. Mama upominała, aby zegarka nie pokazywał obcym ludziom, bo może mu się przydarzyć jak owemu Leterskiemu. Ojciec pieczołowicie zamknął kopertę i schował zegarek do kieszeni. Nie mógł przewidzieć, że zegarek zginie mu w zbliżającej się wojnie.

— Co się tak zamyśliłaś, Haneczko? Tak posmutniałaś? — zapytał mąż.

Odrzekłam dopiero po chwili:

— Tu od razu poczułam ten chłodny klimat morski. Tynurynka zakaszła już na dworcu.

— Nieba bym wam przychylił, gdybym mógł. Ale człowiek musi być tam, gdzie ma chleb. Nowy dom na ulicy Baldowskiej już stoi pod dachem. Wykańcza się wnętrze. Będziesz mieszkała tak jak sobie życzyłaś. Jutro pójdziemy tam na spacer, to zobaczysz. A w czwartek możemy pójść na Operetkę Grudziądzką, jeśli tylko zechcesz. Wowa Gretman zajrzy do nas po drodze, bo ma zamówienia w Gdyni, a w niedzielę będzie u nas pani Świetłowa. Będzie jeszcze musiał dokupić wino gronowego...

Ponieważ w bufecie już zauważyłam kolekcje drogich trunków, przerwałam mu niecierpliwie:

— Nigdzie nie pójde ani wina też nie kupisz. Oczekuj nas wydatki związane z przeprowadzką. Kupić trzeba opał i drzewo, dokupić mebli...

— Przenowadzi nas Tchórzewski, kartofle i wazę też weźmiemy od niego na konto. Drzewo

dostarczy nam pan Kries a meble Dudziński, również na konto.

Nie pozwoliłam jednak na kupno drogiego wina. Sama nie wiem, skąd nabrałam tyle odwagi i tego stanowczego tonu, bo mąż aż na mnie popatrzył. Dawniej był porywczy i nieobliczalny w słowach, teraz tylko wstał i nie odzywając się, smutnie zadumany zaczął się przechadzać po pokoju. Kiedyś, na początku, uczył mnie oszczędności, teraz może tego żałował. Chciałam go rozweselić i odezwałam się z gestem rozpacz po kaszubsku:

— Że też jo, do szwernuta, wiedno muszę się przezerać, jak te ten kornus w gorzel lejesz!

Mąż wiedział, że już nieraz żartowałam po kaszubsku i roześmiał się ubawiony.

— Co to jest kornus? — zapytał.

— Najtańsza i najgorsza ale najostrzejsza wódka, kiedyś produkowana w Gdańsku przez zaborcę. Czy teraz jest, nie wiem. Na Kaszubach nazwa ta jeszcze pozostała. Mówi się albo sznaps albo kornus.

Mąż poweselał i atmosfera się poprawiła.

W czasie urlopu męża chodziliśmy nad Wisłę albo do parku. Z plaży nad Wisłą mąż prędko zrezygnował, bo tam straszliwie się nudził. Nawet czytać nie mógł, bo niedaleko nas usadowiła się jakaś starsza para i zapewne z długiej chwili on i ona wspominali sobie swoje złe strony, nie pamiętając o dobrych. Trzeba więc było się wystroić inaczej i pójść do parku. Mnie takie przebieranie męczyło. Ubrałam jednak dzieci na białe i zanim siebie przebrałam, one w ciasnym pokoju zaczęły się popychać i sprzezać. Mąż, który w sypialni przebierał się w garnitur, nie znosił sprzeczek i krzyknął przez drzwi:

— Wyproś je do kuchni, swołoczy!

Otworzyłam drzwi do kuchni, dokąd wpadły jak charty. Ledwo zamknęłam drzwi a już usłyszałam krzyk Adeli:

— Ach ty raju święty!

Mały Włodek dmuchnął do otwartej puszek z kakao i był cały brązowy. Zdmuchiwałyśmy pyłek z białego ubranka ale twarz trzeba było obmyć gąbką.

— Dzieci to jedna rozpacz — mówił mąż, patrząc na nich i kręcił głową.

W parku zatrzymaliśmy się przy naszym ulubionym miejscu, przy klombach naprzeciw ulicy Baldowskiej, i tam na ławce odpoczywaliśmy. Dzieci biegały po alejach a mąż na nie uważał. Było słonecznie i ciepło. A kiedy zawiął wiatr, w powietrzu unosił się biały puszek z przekwitłego ostu. Ludzie przechadzali się ulicą i alejkami, a ja, przysłuchując się przyrodzie, myślałam, że przecież w Tczewie tak samo jest ładnie jak na wsi. Wtedy od strony miasta zaturkotała jakaś drynda, siedział w niej Kreworuczka, który, jak nas zobaczył, przystanął i powoli gramolił się z niej.

— Proszę cię, podejdźmy do niego — powiedział mąż, ujmując mnie za ramię.

— Nie, ja zostanę przy dzieciach — odrzekłam.

— Proszę cię, chodź ze mną — mówił mąż. — Niech wie, że nie mam tajemnic przed własną żoną. Poszłam. Kreworuczka przywitał nas jakiś przy-

gnębiony. Był chory jak nam oświadczył. Oko miał zapuchnięte z powodu jęczmienia. Wracał od lekarza Rusina...

— Na jęczmień dobrze jest przyłożyć okład z rumianku — powiedziałam.

Kreworuczka krzywiąc się, machnął ręką.

— Wot znajecie — mówił — nie chodzi o oko, a o to, że dr Rusin radzi mi operację. Ach, żebym choć miał kogoś bliskiego aby się poradzić. Przecież mnie tak bolą hemoroidy, że łączyć nie mogę. A cóż dopiero się załatwić?

— Odejdź, Haneczko, do dzieci — powiedział mąż zgorzchniony i ja odeszłam natychmiast. Po chwili mąż także wrócił. Był markotny.

— Żeby choć zapłacił składki do ZER, a on tylko wyluszczał mi swoje dolegliwości choć był u lekarza i wie, że nic mu poradzić nie mogę — powiedział mąż i smutnie się zamyślił.

Wiedziałam, jak bardzo mąż się nudził na urlopie, dlatego poszłam do teatru w dniu wystawienia „Lizystrata”. Rada znowu zobaczyłam świetnego aktora komicznego Domosławskiego, któremu, jak tylko się pokazał, publiczność biła wielkie brawa. A w niedzielę oczekiwaliśmy na panią Swietłową. Zanim się zjawiała, niespodziewanie zajrzeli do nas Tchórzewscy.

— Słyszeliśmy, że pani już wróciła — mówili, wchodząc do nas.

Zaskoczona popatrzyłam na Tchórzewskiego, który zapuścił niemodne wówczas wąsy i brodę, przez co wyglądał bardzo poważnie.

— Po cóż to? — zapytałam. — Ładniejszy pan i tak nie będzie, raczej brzydszy.

— Chciał zawsze bro... — zaczęła pani Helena, ale małżonek jej przerwał.

— Brzydszy... mówi pani, ale nie muszę się golić. Golenie zajmuje najwięcej czasu, szczególnie latem kiedy stale się spieszę — odrzekł i zerkając w lustro przeciskał się między leżanką a stołem na swoje zwykłe miejsce. — Muszę wcześniej wstawać choćby dla samej inspekcji, bo Kurowskiemu takiej funkcji powierzyć nie mogę. Gdyby on robotnika nakrył przy kradzieży, powiedziałaby: „Bierzta sobie ludzie, tam tego jest dość”. No i niedawno nakryłem Wierzbę, który z miarek dla koni sypał sobie do kieszeni owies dla kur. Dałem mu w mordę i od razu z fornala zjechał na zwykłego robotnika. A chciałem go zrobić karbowym.

Zrobiła się przykra pauza i znowu odezwała się pani Helena:

— Tak. Chciał zawsze brodę mieć, to niech ma.

— Potem obeszłem szpichlerz — ciągnął zaraz dalej Tchórzewski — i co ja widzę? Pod ścianą przy górnym okienku leży drabina! Robotnik łączy i kradnie jak najęty! Dlatego spędziłem ludzi w kupę i zrobiłem raban. I to taki, że wszyscy drżeli ze strachu.

— A mnie to się nie podoba — rzekł mąż i podszedł do okna, skąd wypatrywał panią Swietłową.

— Mnie też nie — powiedziałam. — Kiedy w Go-rzędzieju Sikorski wciąż przestrzegał mnie, jako swoją sekretarke, przed ludźmi: „Niech pani nie wierzy słowom robotnika”, ja zawsze mówiłam sobie, że wierzę. Nie ufam bliźniemu dlatego on ma mnie ufać? Wyzyskam jego, on wyzyska mnie. Dlatego nakarm głodnego a nie okradnie cię. Uwierzyć i rozumieć drugiego, to ten drugi uwierzy nam.

— To zależy kto jest tym drugim...

— Ależ panie Piosiu — przerwałam mu. — Złapał pan tego zupełnie nierozgarniętego człowieka na drobnej kradzieży, który to robił bez wyrafinowania, może po raz pierwszy, a może dlatego, że „ciocia kazala”. I zamiast przemówić mu do rozumu, uderzył go pan w twarz i to ojca prawie że dorosłych już dzieci i jeszcze cieszy się, że robotnicy ze strachu, przed utratą tego marnego chleba, portkami trzęśli.

— No, madame, słowa twojej filozofii już mnie rażą — odezwał się mąż niezadowolony. — Zmieńmy temat, bo ja mam tak dosyć tej wsi na co dzień, że chcę przynajmniej w domu od niej odpocząć. Bo żeby z brody rozwinąć taki temat!

— Toć zawsze chciał tę brodę mieć, to niech

ma — mówiła znowu pani Helena.

Zrobiła się gadatliwa i zapytała, kto wzięby ich dużego Kotra. Trudno wyżywić tak ogromnego psa, na jego miejsce mogłaby wyżywić jednego tucznika więcej. Hałasuje i szczeka na gospodarzy, jeśli nie dostanie karmy pod dostatkiem. Kto by to wytrzymał? No i pluskiew też jest co niemiara w ich starym domu — dodała. Lecz jak Tchórzewski zerknął na nią ze złością, pani Helena zamilkła do końca wizyty.

Pani Swietłowa zjawiała się późno i to na krótko tylko. Zabrał ją znajomy lekarz samochodem, który w drodze się popsuł. Mąż ozywiony przedstawił jej Tchórzewskich. Ten wieczór, choć pani Swietłowa wyśpiewała wiele pięknych rosyjskich pieśni, nie był dla mnie przyjemny. Pani Swietłowa, jak na złość, opowiadała o nieszczęśliwych pacjentach zakładu w Kocborowie, o jakimś umysłowo chorym na tle nieszczęśliwej miłości i o innym co stracił majątek.

— Przecież bez majątku i miłości można się obyć — odezwała się, aby opędzić się od złych myśli i lęku.

— Pani Anno, różni są ludzie. Jedni zniosą swoje nieszczęście, drudzy nie — odrzekła, nabierając sobie sałatkę na talerz. — Jedni się śmieją, inni płaczą. Jedni mają apetyt, inni go nie mają.

— Wielkie mi nieszczęście utracić miłość — bro-niłam się z ironią. — I jeszcze raz powtarzam, że bez majątku i miłości żyć można! — Byłam już oburzona tym bardziej, że Tchórzewski po cichu chichotał. Mąż próbował mnie mitygować, a pani Swietłowa mówiła dalej:

— Bo pani jest twarda, pani Anno. Ale u nas, w Kocborowie są pacjenci, którzy na tle nerwowym nawet tracą wzrok.

A mąż dodał:

— Najwięcej nieszczęścia dzieje się z powodu zawodzonej miłości, niedostatku i wojny. Kiedy po daremnej bitwie z bolszewikami zlagrowano nas w Polsce, niektórzy z kolegów krzyczeli we śnie, inni znowu śpiewali, a jeden z nich w nocy tak głośno chrapał, że jakiś nerwus rzucił w niego jabłkiem i wybił mu oko.

— Jakby dosyć nie było tego nieszczęścia przez tę przekłętą rewolucję — zawołała Swietłowa, kręcąc głową.

Chciałam zmienić temat i powiedziałam, że byłam z dziećmi na wsi. Wtenczas pani Swietłowa objęła naszą córeczkę i wypytywała ją, co zobaczyła u dziadków na wsi. Myślałam, że opowie o przyrodzie, lub choćby o tych owcach, których się tak wystraszyła, ale ona zaczęła mówić o naszym sąsiedzie, Rekowskim, który przed progiem domu wyczyścił nos, i tu nawet zademonstrowała, jak się nachylił i palcami wyczyścił nos.

Tchórzewscy zaśmiewali się do rozpuku.

— To są skutki wyjazdu z dziećmi na wieś — mówił mąż z złym błyskiem w oczach.

— Przecież nic się nie stało — wołała Swietłowa, śmiejąc się. — Dziewczynka jest po prostu spostrzegawcza, a to dobrze.

Byłam rada jak wkrótce potem usłyszałam klakson samochodu i pani Swietłowa poderwała się z miejsca. Zostawiła nam kilka nowych książek i zabrała przeczytane.

W domu siedział krawiec, pan Pustowgar, który co chwilę przymierzał na mężu marynarkę. W czasie pracy śpiewał dumki ukraińskie i jego silny głos rozbrzmiewał w naszym małym mieszkanku. W wolnej chwili baraszkował z dziećmi. Był to człowiek bardzo miły, człowiek o ewangelicznej dobroci. Jednak serdecznej rozmowy z nim nie umiał mąż nawiązać i znowu zaczął się nudzić. Toteż niezmiennie się ucieszył, kiedy w ostatnim dniu urlopu zjawiała się u nas pani Tatjana z Torunia, bezdzietna wdowa po zmarłym inżynierze — Niemcu. Elegancko ubrana wdówka, zanim zajęła miejsce, najpierw zakreśliła się po pokoju i przejrzała w lustrze, długo poprawiając fryzurę. Była pogodna i swoim wesołym szczebiotem opowiadała wiele nowin i jeszcze częściej niż mąż sięgała po papierosa.

— Wyobraźcie sobie — mówiła z tajemniczym uśmiechem — że pułkownik Głuszkow prawie że

po cichutku wydał córkę za mąż. — Zaciągnęła się papierosem i chuchnęła dymem. Mieliliśmy zgadnąć za kogo? Męża to zdenerwowało bo nie chciał zgadywać.

— Za Polaka! — zawołała wreszcie i roześmiała się głośno. — Drapichrustę, mizernego urzędniczną. Wowie Gretmanowi córki odmówił, a Polakowi dał. Co wy na to?

— Czy chociaż jest oficerem? — zapytał mąż.

— A kto to wie? Nic nie mówią.

Mąż machnął ręką.

— Ważne, że człowiek jest dobry, ma poczucie obowiązku i chleb w ręku — wyrzekł.

Pani Tatjana znacząco kręciła głową i przymknęła powieki.

— Jak dziewczyna dobiega trzydziestki, już nie przebiera: ten a może ten, a po prostu mówi sobie: pierwszy lepszy, jaki taki, byle jaki. Na księcia już liczyć nie mogła. Zresztą księżęta nasi są w Paryżu. I to szoferami albo pucybutami i przyjmują napiwki jak niegdyś ich lokaje.

— Co też pani wygaduje, pani Tatjano — zmarszczył się mąż.

— A czym mogą być, kiedy tam także panuje bezrobocie? Wszędzie jest nadmiar inteligencji. Robotnik owszem...

— Przepraszam — przerwał jej mąż i powiedział jakby jej na przekór. — Głuszkówna dobrze zrobiła biorąc sobie za męża Polaka i to na stanowisku.

— Ale wyobraźcie sobie, czy Głuszkow pomyślałby kiedyś, że jego mała jedynaczka będzie brała ślub z Polakiem w kościele katolickim? Ludzie prawosławni, do czegoż to dojdzie?

Mąż poruszył się niecierpliwie, zakaszał i powiedział:

— Rosyjskich dziewczuszek jest więcej, kawalerów mniej, prawie wcale. A jeśli jest, to zaniedbany, brudny moczymorda, a la Szerokow, święć Panie nad jego duszą. Przecież wy, Tatjano Nikołajewno, także pobrali się z Niemcem.

— Ale ślub brałam w cerkwi. On, luteranin nie bardzo chciał iść do cerkwi, ale ja postawiłam ultimatum: daję ci trzy dni do namysłu — powiedziałam — albo albo. No i staruch poszedł. Oczywiście, że uprzednio byłam pewna, że zwycięstwo będzie po mojej stronie.

Pani Tatjana uśmiechnęła się przy tym, a mąż, który na nią patrzył jakby z niesmakiem, chciał coś powiedzieć, ale ona mówiła dalej:

— Widzicie, Nikołaju Włodzimierowiczu, jak zrobił Wowa Gretman. W „Swobodzie” wyczytał ogłoszenie, że rosyjska dziewczuszka, sierota z Rygi, poszukuje męża, emigranta. Napisał, ona przyjechała i pobrali się. Zinaida jej na imię...

— Wiem, bo przecież byłem na ich ślubie, znam tę historię, znam wszystko — przerwał jej mąż już trochę znudzony.

— Ależ słuchajcie, proszę was, bo o mały figiel Wowa byłby się pobrał z Polką — znowu mówiła Tatjana. — Na szczęście nie pozwolili jej rodzice. Co, z Moskalem? Nigdy w życiu! Dlatego napisał do tej Rygi. W Toruniu, niestety, jest wiele rosyjskich dziewcząt trochę już podstarzałych, ale sięgnijmy po młode dwie Torłopówne z Bydgoszczy i córkę zmarłego Arystarcha, prawie już dorosłe panny, za kogo one pójdą?

Mąż zaciągnął się papierosem i przy tym zakaszał.

— ...I wyobraźcie sobie — dalej mówiła Tatjana — że Gretmanowie z całą rodziną życzą sobie potomka rodzaju żeńskiego, niby że to uniknie poniewierki żołnierskiej, a ja im mówię: Powiedźcie mi, ludzie prawosławni, za kogo one w przyszłości się wydadzą? Pobiorą się z Polakami i zaginie nasz ród na wieki wieków. A cerkiew tu jest? — zapytała.

— W Gdańsku jest — odrzekł mąż z westchnieniem.

— Prawie co zwiedzałam Gdańsk i nic o niej nie słyszałam...

— Przeprosiłam gościa i wyszłam do kuchni, by zrobić jeszcze parę zakąsek. Po chwili mąż wpadł za mną i zrobił rozpaczliwy ruch rękoma.

— Nie zostawiaj ją samą — wyszeptałam.

A mąż odszepnął:

— Jestem wymagłowany do cna. Jak zapuści ten młyn, to weź i uciekaj. Natrzeszczy tyle, że głowa pęka. I dziwna rzecz, dziś dusi mnie astma.

— Za dużo palisz. A do gościa wróć i nie mów tak o niej, samotnej wdowie.

— Nie bój się, ona sobie w życiu świetnie radzi. Jest szalenie rzutka, ma moc wielbicieli. Jej mąż jeszcze za życia z rogami chodził. Idź ty do niej, ja zrobię kanapki.

Poszłam. Opowiedziała mi, jak się urządziła po śmierci męża. W swoim dużym domu prowadzi stolówkę, ma dwóch panów na pokojach i żyje w dostatku. Ma także obywatelstwo polskie po mężu. Jeździ tu, jeździ tam, zagląda do wszystkich znajomych, by śmiać ją na to.

Przeglądałam się tej urodziwej czterdziestoparolletniej damie. Szkoda, że się tak wyzywająco maluje — pomyślałam. Podcienione oczodoły, grubo popudrowana twarz i ten czarny, sztuczny pieprzyk na policzku, który przy uśmiechu z jednej strony się odklejał. Co też kobiety z sobą nie wyprawiają — myślałam, choć sama byłam kobietą i również zerkałam w lustro. Przed posiłkiem, tak samo jak mąż, najpierw wypila kieliszek wódki na pusty żołądek i dopiero potem sięgała po kanapki. Mąż, jak zwykle, dużo mówił o polityce. Zawsze rad gościł Rosjan, przy których dużo mówił o swojej matce, a nawet zadeklamował jakiś piękny wiersz o matce. Z wielkim optymizmem mówił o swoich przyszłych planach po powrocie do Rosji. Kiedy pani Tatjana podcinała jego nadzieje, on po raz pierwszy wówczas odrzekł:

— Przyjemnie jest mieć choćby złudzenie, inaczej by nas zżarła tęsknota, Tatjano Nikołajewno.

Ta przytaknęła smętnie i przez chwilę milczeli. Cichutko grało radio, w którym młody wówczas Mieczysław Fogg śpiewał bardzo sentymentalną pieśń: „Zawiodły me sny, synku mój...”. Wtedy pani Tatjana także nabrała ochoty do śpiewania. Silnym i ładnym głosem wolno ciągnęła wstęp melodii jakiegoś czardasza, przewracając białkami, aż nagle zerwała się z miejsca, bo piosenkę kończyć musiała żywo i z werwą; kręcąc się w ciasnym pokoiku, mocno przytupywała obcasami, że aż dzwoniły szklanki w bufecie.

Kiedy zaczęła drugą zwrotkę, do mieszkania weszła Adela z rozryczanym, małym Włodzimierzem. Darł się wniebogłosy i Tatjana urwała śpiew. Myślałam, że może przewrócił się na ulicy, ale on chciał mieć taką samą zabawkę, jaką ujrzał u innego chłopca w parku. Uspokoiłmi go, obmyli i przedstawiliam dzieci gościowi. Pani Tatjana nie przepadała za dziećmi, bo już wkładała swój duży kapelusz na głowę i sprawdzała w torebce, czy ma bilet. Dzieci zaciekawione zerknęły do niej także i ja się zaczerwieniłam. Potem zamknęła torbę i zaczęła się żegnać. Przechodząc przez kuchnię, trzymała w swoich upięsienionych palcach pięciocłotowy banknot, który włożyła do kieszonki fartucha Adeli. Ta pochylała się, by ucałować te palce, ale nie zdążyła, bo zaszokowana w pierwszym momencie oniemiała. Zachichała tylko, kiedy gość już był na schodach. Mąż towarzyszył Tatjanie na dworzec.

Byłam zmęczona tą wizytą i niezadowolona z dzieci. Pouczalam je, aby nigdy nie spoglądały w stronę torebki, którą otwiera gość, co przyjęły z wielkim zrozumieniem i wyszły się bawić na klatkę schodową. Położyłam się na tapczan, by odpocząć. Z kuchni czasem słychać było brzęknięcie szkła i odgłosy bosych stóp Adeli, która już szykowała kolację.

Po długiej chwili wrócił mąż. Słyszałam jak w kuchni zdjął płaszcz i westchnął tak głęboko, jakby miał wszystkiego dosyć. Dlatego uniosłam się na łokciu, kiedy wszedł do pokoju.

— Leż, proszę cię, i odpoczywaj — powiedział do mnie.

— A czy nie lepiej gdybyś ty odpoczął?

— Ty wiesz, że ja najlepiej odpoczywam w pracy. Ale już jutro wyjadę w teren.

Już zaczęła się jesień. Kiedy zawał wiatr sypały się liście z drzew. Wróżyło to wczesną i ostrą zimą. Nad śmietnikami latały skrzeczące mewy. A ja szłam firanki na okna nowego mieszkania. Poszłam do firmy Dudzińskiego po meble, do „Bazaru” po lampy, gdzie kierownik, pan Synak przywitał nas uradowany. Mąż od razu wskazał na staromodną, stojącą lampę tylko dlatego, że taką samą mieli jego rodzice w domu. Synak natychmiast wyciągnął ramię do zagraconej półki, ale nie mógł jej dosięgnąć. Mimo mego protestu jeszcze raz stanął na palcach i, krzywiąc twarz, zdjął ją wreszcie. A kiedy otarł z kurzu i podał nam, mąż jej nie chciał. Wybraliśmy lampę wiszącą i małą, modną lampę na nocny stolik. Wszystko to zostało nam dostarczone dopiero do nowego mieszkania.

Już w następny poniedziałek miała nastąpić przeprowadzka, dlatego w sobotę mąż przyjechał wcześniej, by pomóc w pakowaniu. Na środku w kuchni postawił duży kosz i podałam mężowi plik starych gazet do przekładania serwisu stołowego i odeszłam. W pokojach pojeździłam obrazki ze ścian i związałam je sznurkiem. Po pewnym czasie zajrzałam do kuchni, ale mąż, zamiast pakować, siedział na zydełku nad pustym koszem i czytał owe gazety.

— Ty wiesz — zawołał do mnie, poruszony jakąś wiadomością. — Jest tu krytyka naszych władz z powodu dr. Probego. Nie dość, że dano mu ubezpieczenie w Kasie Chorych, to jeszcze gabinet jego odwiedzają ważne osobistości naszego miasta, zamiast go bojkotować. Mąż był po stronie redaktorów i rozgorączkowany rozgadał się na temat Żydów, a czas leciał. Chciałam sama naczynia pakować, gdy nagle ktoś zastukał w drzwi i weszli do nas państwo Starzeńscy z Malenina.

— Przeprowadzka? Pomyśleliśmy, że w sobotę lub niedzielę zastaniemy gospodarza w domu.

Przepraszałam za bałagan, a mąż, jak nigdy nie, z gazetą w ręku, kontynuował swój temat o Żydach. Goście usiedli byle gdzie i słuchali. Kiedy skończył hrabia Starzeński spokojnie powiedział:

— Panie Łajming, choć należę do Chrześcijańskiej Demokracji, część moich ludzi do Czeladzi Katolickiej, ja też, choć weź i piękni, chyłkiem/chodziłem do dr. Probego, nie dlatego, że robi taniej ale że lepiej. Mnie wyleczył i uzupełnił całe uzębienie absolutnie bezboleśnie. A nasi dentyści podrywają z jęczącego pacjenta albo, jak to robi dr. Sumiński, młodym paniom podczas zabiegu prawia dwuznaczne dowcipy. Prawda, że na ulicy Hallera, zanim wszedłem od dr. Probego, oglądałem się jak złodziej i dopiero wślizgiwałem się do jego gabinetu. Wychodziłem podwórkiem.

— Lekarze dowcipkują z pacjenta dla odwrócenia uwagi od bólu — mówił mąż i przyznał, że sam kupił dla mnie jenoty od Żydów, ale przedko dodał, że pierwsze futerko, popielate strzyżone króliki, które zabrali złodzieje, kupił od Maciejewskiego.

— A on od kogo sprowadza towar, jak pan myśli, panie Mikołaju? — zawałał gość cienkim głosem, który przez jego tegiej postaci wydawał się dziwny. — Jesteśmy w rękach żydowskich. I w ogóle po co ten bajkot? Na Pomorzu i w poznańskim jest ich mało, ale reszta Polski jest zażydziona nie tylko przez rodziny inteligentne i kupieckie, ale najbardziej przez rodziny biedne i wielodzietne. Tak! Żydzi to jak chwast, sami się plenią. Tylko Nie-

miec w swoim kraju robi „czystkę”, my nie damy rady.

Mąż zmarkotniał i zamilkł na chwilę. Tymczasem pani Starzeńska zapytała:

— Dokąd państwo się wyprowadzacie?

Określiłam, który to dom na ulicy Baidowskiej.

— Ach, to jest ten nowo wybudowany dom tego nauczyciela z Rokiti! — zawołał gość. — Niepotrzebnie go otynkował przed zimą. Ściany jeszcze nie wyschły i może być szalona wilgoć.

— Mieszkać będziemy na drugim piętrze — powiedziałam — w skrzydle bardzo nasłonecznionym i ściany prędko wyschną. I tam będę miała ogródek.

Mąż poruszył się niecierpliwie i powrócił do poprzedniego tematu:

— A czy dr. Rusin czasem nie jest Żydem? To bardzo tajemniczy gość.

Hrabia pokręcił głową i lekko nachylając się do męża, odrzekł:

— Ukrainiec.

Mąż był zaskoczony, bo aż na chwilę znieruchomiał. A pani Starzeńska znowu zapytała o nasze dzieci. Chyba pierwsza usłyszała ich powrót. Dzieci zaciekawione wtargnęły do pokoju i przywitały się z gośćmi.

— Jak te dzieci szybko rosną! Oboje jeszcze niedawno oglądałam w pieluchach, a teraz to już takie zuchy — mówiła hrabina, śmiejąc się do nich i poprawiała okulary. — Zuchy, bo już samodzielnie zmywaia naczynia kuchenne. A właściwie jak im na imię?

— Dziewczynce: Wiera, Maria, Olga. Chłopcu: Włodzimierz. Pięszczotliwie Tynurynka i Fuda.

Dzieci przyglądały się pani Starzeńskiej, a kiedy otworzyła torebkę, one, jak na komendę, błyskawicznie odwróciły głowy, wprost podpadając. Hrabina wyjęła i podała dzieciom cukierki, a one wpięrw obejrzały się na mnie. Co za dzieci! — złościłam się w duchu.

Goście zerwali się z miejsc. Mały nasz pokój zmałał jeszcze bardziej, kiedy na jego środku stał wysoki i korpulentny hrabia.

— Odwiedzimy państwa na nowym mieszkaniu — rzekli goście, żegnając się.

Mąż odprowadził ich do powozu, kłaniając się uprzejmie.

Na drugi dzień, w niedzielę poszliśmy do kościoła na nabożeństwo. Krępowało mnie, że mąż, jak zwykle, krążył po świątyni i szukał dla mnie miejsca, choć mogłam stać jak inne kobiety. Pare bróków przede mną stał elegancko ubrany dr. Węgłowski z żoną, za nimi byle jak ubrany dr. Cymbrowski. Kapelusz, który trzymał w ręku, był pomietw. Mąż, przechodząc koło nich, uklonił się jak na ulicy. Po nabożeństwie wyszliśmy z kościoła, powechani tłumem i otarliśmy się o dwóch starych mężczyzn, którzy zebrząc, trzymali czapki w rękach i mąż, który w kościele nie dał nic, łapał się za kieszenie. Zebracy, którzy spostrzegali każdy ruch ofiarodawców, nie zwracali na nas uwagi i czapki swoje wyciągnęli w stronę wysokiej niewiasty, która ich usłto obdarowała pieniędzmi, a była to pani Stencel. Spostrzegła nas i powiedziała:

— Ma to mój stary przepię, to niech mają biedni.

Szliśmy do domu razem. Na ulicy kłaniało się jej wiele ludzi, którzy niejedno jej zawdzięczali.

(Cdn.)

Ochrona drewnianych kościółów na Kaszubach w obrębie decezji chełmińskiej

Tadeusz Sadkowski

Na zlecenie Kaszubskiego Parku Etnograficznego we Wdzydzach Kiszewskich wykonane zostało opracowanie konserwatorsko-historyczne, którego tematem był kościół Św. Barbary w Swornegaciach¹⁾ przeniesiony do muzeum we Wdzydzach; równocześnie powstały skrócone dokumentacje historyczno-architektoniczne 16 innych kościołów drewnianych na Kaszubach. 4 dokumentacje dotyczą kościołów już nieistniejących — rozebranych, lub które w inny sposób uległy likwidacji w XIX lub na początku XX wieku, a mianowicie: kościoła Św. Piotra i Pawła w Chmielnie wybudowanego przed 1223 rokiem — rozebranego w 1845 roku²⁾, kościoła Św. Mikołaja we Wielu, wybudowanego w 1728 roku i rozebranego w 1904 roku, kościoła Wszystkich Świętych w Brusach, wybudowanego w 1769 roku i rozebranego w 1875 roku³⁾ oraz kościoła Św. Trójcy w Studzienicach wybudowanego w 1711 roku, który spalił się w 1937 roku. Pozostałe dokumentacje dotyczą kościołów: Podwyższenia Krzyża Św. w Leśnie z 1642 roku, Św. Katarzyny w Brzeźnie Szlacheckim z 1717 roku, Św. Marcina w Borzyszkowach z 1721 roku, Narodzenia i Nawiedzenia NMP w Sianowie z 1816 roku, Św. Marcina Biskupa i Św. Jana Nepomucena w Sierakowicach z 1820 roku, Oczyszczenia NMP w Tyłowie z 1755 roku oraz: Św. Marii Magdaleny w Ugoszczy z 1819 roku, Matki Boskiej Królowej Polski w Sominach z 1755 roku, Św. Piotra w Bożympolu Wielkim z 1743 roku, Bożego Ciała w Jasieniu z 1699 roku, w Bukowinie, prawdopodobnie z 1728 roku i Św. Marcina Biskupa w Gnieździnie z 1754 roku.

Informacje o tych kościołach zgromadzone we wspomnianych opracowaniach, cytowana literatura oraz informacje własne wykorzystano w niniejszym komunikacie.

6 spośród tu wymienionych, istniejących kościołów znajduje się na obszarze Diecezji Chełmińskiej, pozostałe — Koszalińsko-Kołobrzeskiej. 4 kościoły (w Leśnie, Brzeźnie Szlacheckim, Borzyszkowach i Sierakowicach) wybudowano całkowicie z drewna, stosując technikę zrębową, natomiast 3 (w Sianowie, Tyłowie i Mechowie⁴⁾) — to kościoły konstrukcji szkieletowej. Kościoły zrębowe w Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej, dla których wykonano dokumentacje znajdują się w Sominach i Gwieździnie, pozostałe — to kościoły konstrukcji szkieletowej (w Ugoszczy, Jasieniu, Bukowinie i Bożympolu Wielkim).

W dalszej części komunikatu szczegółowo będą omówione kaszubskie kościoły drewniane na obszarze Diecezji Chełmińskiej. Wszystkie te kościoły są ko-

ściołami wiejskimi i obecnie są to kościoły parafialne. Dzisiaj to już relikty powszechnego jeszcze w ubiegłym stuleciu drewnianego budownictwa sakralnego na Kaszubach. Rozbierane w XIX i XX wieku były zastępowane bardziej funkcjonalnymi, przy budowie których uwzględniano zwiększającą się liczbę wiernych w parafii. Natomiast zachowane drewniane kościoły rozbudowywano i modernizowano, przydając im modne detale architektoniczne i przybudówki, które często pozostawały w wyraźnej sprzeczności stylistycznej ze starą bryłą. Podobnie, zgodnie z gustem epoki, w której się to działo, zmieniano wnętrza na nowo aranżując przestrzeń w kościele. Zmiany takie obserwujemy i dziś, nie tylko w zabytkowych kościołach drewnianych.

Kościół w LEŚNIE p.w. Podwyższenia Krzyża Św. wybudowano prawdopodobnie w 1642 roku i znacznie przebudowano po 1710 roku⁵⁾. Pozostawiając pierwotne prezbiterium, całkowicie przebudowano nawę; początkowo jednoprzestrzenną po 1710 roku ta część kościoła przybiera postać trójnawową, w której nawy boczne oddzielają od głównej wysokie kolumny. Na tle innych kościołów kaszubskich ta jego cecha jest czymś wyjątkowym. Ten nietypowy dla kościoła drewnianego na Kaszubach program architektoniczny odmienny także w innych rozwiązaniach, jak: brak okien w zamknięciu prezbiterium, czy forma wieży potwierdzają być może, że inspirację dla budowy świątyni czerpano nie tylko z lokalnej tradycji.

Ściany kościoła wybudowano w technice zrębowej,

1. „Drewniany kościół pod wezwaniem św. Barbary w Swornegaciach. Dokumentacja historyczno-konserwatorska”. Opracował Maciej Obremski, PPPKZ, oddz. Toruń, 1981 rok. Maszynopis w PPPKZ.
2. Uwagi w formie pytań oczekujących rozwiązania a dotyczących tego kościoła zawarte są w opracowaniu Ryszarda Brykowskiego „Drewniana architektura kościelna w Małopolsce XV wieku”, wyd. Ossolineum, 1981 r. Autor podkreśla unikalność rozwiązań tego kościoła.
3. Ostatnio interesujące informacje o tym kościele zamieścił Józef Borzyszkowski w: „Z południa Kaszub”. Wyd. ZKP Gdańsk 1982 rok.
4. Dla kościoła w Mechowie nie wykonano dokumentacji historyczno-architektonicznej, o których mowa wyżej.
5. Katalog „Zabytki architektury województwa bydgoskiego”, Bydgoszcz 1974, oraz P. Pałamarz, J.T. Petrus w „Chojnice, Czersk i okolice”, Warszawa 1979, podają datę budowy ok. 1650. Nie wspominają przebudowy z 1710 roku, która wg M. Obremskiego, autora opracowania „Leśno. Drewniany kościół parafialny pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Św. — skrócona dokumentacja historyczno-architektoniczna” (maszynopis w PPPKZ oddz. Toruń) ukształtowała zachowaną do dziś bryłę kościoła (bez wieży, która wybudowana została w 1819 roku).

wykorzystując drewno sosnowe. Połacie dachów pokryto gontem. W 1819 roku rozebrano starą już dzwonnice, wolnostojącą na cmentarzu przykościelnym i zastąpiono ją nową wieżą przybudowaną do ściany zachodniej kościoła. Zachowana do dziś wieża konstrukcji szkieletowej obita została od przyziemia do izby gontami. Stosowanie gontów do ochrony ścian kościołów było dawniej powszechniejsze na Kaszubach a obecnie jest to widoczne jedynie na ścianach wieży w Leśnie. Bardziej nietypowa natomiast jest sama izba, charakterystyczna raczej dla południowej Polski. W 1828 roku ściany kościoła z zewnątrz oszalowano deskami w układzie wertykalnym, w górnej części, pod okapem ściany zwieńczone są profilowanym gzymsem. Przez lata XIX wieku wykonywano w kościele prace zapewniające mu trwałość i dobry stan techniczny; wymieniano podłogi i podwaliny, wzmocniono fundament, naprawiano dachy, odnawiano wyposażenie. W 1899 roku wymieniono oszalowanie ścian kościoła, zmieniono zwieńczenie wieży a jej ściany obito nowymi gontami. W latach 1920—1923 podmurowano wieżę, a w 1953 roku do jej ściany zachodniej dobudowano kruchtę. Po 1945 roku wykonano liczne drobne remonty, a gruntowną restaurację wnętrza i elewacji wykonano w latach 1967—1969. W 1975 roku prace nad odnowieniem wystroju zakończono konserwacją ścian i pokryto je od wewnątrz lśniącym pokostem, po usunięciu starej malatury. Wnętrze kościoła leśnińskiego zawiera wartościowe wyposażenie, m.in. 3 barokowe ołtarze, 1 rokokowy z ok. 1740—1750, barokową ambonę z XVII/XVIII wieku, barokowy prospekt organowy i klasycystyczną chrzcielnicę z początku XIX wieku.

W sposób niespotykany na Kaszubach rozbudowany architektonicznie drewniany kościół w Leśnie, wzbogacony licznymi detalami jest cennym zabytkiem drewnianego budownictwa sakralnego regionu. Kościół jest utrzymany we właściwym stanie technicznym.

Kościół w BRZEŹNIE SZLACHECKIM p.w. Św. Katarzyny wybudowano w 1716 roku z inicjatywy proboszcza borzyszkowskiego ks. Wojciecha Antoniego Kleknera, który konsekrował kościół w 1717 roku. Fundatorami była miejscowa szlachta. Zrębowy kościół, na wzór ówczesnego w pobliskiej Koczale, pobudował cieśla Michał Strenga⁶). Kościół wzniesiono na miejscu poprzedniego, rozebranego ze względu na zły stan techniczny. Bryłę kościoła wzbogacono w 1760 roku przez dobudowanie szkieletowej dzwonnicy, obitej deskami. Podobnie jak w przypadku kościoła znane jest nazwisko budowniczego wieży, był nim cieśla Kieller, który zlecenie na budowę otrzymał od proboszcza borzyszkowskiego ks. Jana Gotfryda Borka. Utworzenie parafii w Brzeźnie Szlacheckim poprzedził generalny remont kościoła połączony z jego rozbudową. Prace te zainicjował w 1902 roku ks. Firyn, wikary w Brzeźnie. Parafię restytuowano w 1903 roku.

Rozbudowa kościoła pozwoliła na znaczne, o ok. 1/3 powiększenie nawy. Nawę przedłużono w kierunku wschodnim, po uprzednim rozebraniu prezbiterium, które odtworzono po zakończeniu prac przy rozbudowie. Równocześnie z rozbudową kościoła dokonano przekształceń okien i modernizację wystroju ścian na zewnątrz, przydając przez to bryle cechy stylu gotyckiego. Wnętrze wzbogacono nową malaturą, zachowując fragmenty starej dekoracji w części zachodniej, pod chórem. Dachy kościoła pokryto na nowo gontami. W latach 50-tych bieżącego wieku dobudowano nową zakrystię przy ścianie południowej prezbiterium, a wcześniej dobudówkę przy wieży.

Kościół jest jednym z najcenniejszych zabytków drewnianej architektury sakralnej regionu. Równie cenne jest jego wyposażenie, szczególnie późnobarokowa ambona. Dysonansem w tym wnętrzu są nowe, współczesne, jasne ławki. Wartość historyczną kościoła w Brzeźnie Szlacheckim, dawniej kościoła filialnego w parafii Borzyszkowy, należy rozpatrywać łącznie z tym ostatnim. Wspólnie tworzą one cenny zespół z pocz. XVIII wieku. Należy dodać, że w niedalekiej odległości od tych kościołów zachował się wspomniany wyżej kościół w Leśnie.

Stan kościoła w Brzeźnie nie jest zadowalający. Ostatnio przystąpiono do chemicznej konserwacji oszalowania ścian, zniszczonych w dolnej, przyziemnej części. Konserwacja ta nie wpłynie na polepszenie stanu konstrukcji ścian a jedynie o krótki okres czasu przedłuży zachowanie oszalowania. Nie jest ona ponadto zakończona, zastosowano też niewłaściwy preparat, przebarwiający drewno. Niezbędny jest kompleksowy remont konserwatorski poprzedzony dokładnym rozeznaniem stanu zachowania konstrukcji, wystroju i wyposażenia.

Kościół w BORZYSZKOWACH p.w. Św. Marcina wybudowano w latach 1721—1726 po pożarze poprzedniego. Do budowy zrębowego kościoła użyto drewna sosnowego. Forma kościoła jest tradycyjna: jednoprzestrzenna nawa jest szersza od prezbiterium, prezbiterium zamknięte jest wielobocznie, do jego ściany północnej przybudowano zakrystię. Południowe wejście do kościoła osłania kruchtą, którą rozebrano w 1937 roku. Równocześnie z nawą i prezbiterium budowano wieżę. Ściany kościoła od zewnątrz oszalowano deskami.

Dzięki dobrze zachowanym materiałom archiwalnym możemy śledzić powstawanie świątyni wraz z kompletowaniem wyposażenia oraz późniejsze remonty, których konieczność pojawiła się już w 31 lat po budowie, kiedy trzeba było odnawiać wieżę zniszczoną przez piorun. Poważniejszy zakres miały remonty za czasów proboszcza Pawła Hillara, kiedy to w latach 1845—1864 m.in. remontowano oszalowanie i wymieniano podwaliny ułożone na kamiennym fundamencie. Na początku XX wieku ponownie wykonano poważny remont kościoła, podczas którego zmodernizowano formę okien, wymieniono podwaliny i podłogi, pokrycie gontowe dachów i remontowano chór. Utrzymywany w dobrym stanie technicznym kościół został uznany przez Konserwatora Pomorskiego dr. Dalbora za obiekt zabytkowy w 1937 roku. Po zniszczeniach wojennych remontowano okna, wieżę, dachy i oszalowanie. Restaurowano wyposażenie, które pieczęlowitej renowacji zostało poddane w 1971 roku; wykonawcą tych prac był Antoni Rochowicz. W latach 70-tych odnowiono ściany pokrywając je warstwą lśniącego lakieru, wcześniej założono nowy sufit, którym zastąpiono stary z polichromiami z ok. 1863 roku. Zlikwidowano też balaski przed ołtarzem głównym i ławy kolatorskie, założono nowe podłogi i wstawiono nowe ławki.

W kościele zachowały się ołtarze o cechach późnego baroku i jeden klasycystyczny oraz barokowa ambona z pierwszej połowy XVIII wieku, na której utrwalono herby lokalnej szlachty kaszubskiej.

Kościół był kilkakrotnie przebudowywany, przy czym najistotniejsze zmiany w bryle i we wnętrzu nastąpiły od pocz. XX wieku. Szczególnie włączenie w obszar kościoła przestrzeni podwieżowej, przez wymontowanie części brusów (bolek) w ścianie zachodniej stworzyło zupełnie nową przestrzeń architektoniczną. Ta przebudowa, kolidująca z historycznymi wartościami a wymuszona przez konieczność pomieszczenia coraz większej liczby wiernych obniżyła rangę zabytkową obiektu. Wydaje się jednak, że problem rozwiązano najkorzystniej jak można było. Obecny stan techniczny kościoła jest zadowalający, z wyjątkiem gontowych pokryć dachowych, które powinny być wymienione.

Kościół w SIERAKOWICACH p.w. Św. Marcina Biskupa i Św. Jana Nepomucena wybudowano w latach 1820—1822. Budynek kościoła jest wzniesiony z drewna sosnowego w technice zrębowej. Tradycyjnie rozwiązano bryłę z krótkim korpusem nawowym, trójbocznie zamkniętym — węższym od nawy prezbiterium oraz wieżą zachodnią. Przed wejściem południowym jest kruchtą a od północy zakrystia przy prezbiterium. Dachy kościoła pokryto gontami, ściany od zewnątrz i we wnętrzu obito deskami i podobnie jak sufity — pobielono. Wzrastająca licznie parafia

6. Kontrakt między fundatorami, 14 kollarami wsi Brzeźno Szlacheckie a wykonawcą przytacza: Konstanty Mościński, „Parafia Borzyszkowska w powiecie człuchowskim w Prusach Zachodnich wedle zapisków ks. Prob. Jana Gotfryda Borka. Przyczynki do etnografii podał...”

w 1903 roku rozwiązała problem niedostatecznej powierzchni w kościele przez dobudowanie od zachodu ceglanego przedłużenia nawy i również murowanej wieży. Fragment starej, drewnianej dzwonnicy wykorzystano w formie zakrystii przybudowanej przy ścianie południowej prezbiterium. W 1903 roku wskazywano już na „...regionalną wartość zabytkową drewnianego kościoła”⁷⁾, przedstawiając sposób taniego jego remontu oraz postulując konieczność ochrony zabytkowego wnętrza. Znalaziono wtedy wyjście, które godziło obie potrzeby: powiększenia świątyni i zachowania substancji zabytkowej. Sposób w jaki to wykonano sprawił jednak, że zabytkowy kościół funkcjonuje w zaskakującym zestawieniu z zachodnią murowaną, neogotycką częścią, która także już nabrała wartości zabytkowych.

W ostatnim czasie odnowiono wnętrze kościoła, pokrywając ściany drewnianą boazerią. Dla świątyni wykonano także nowe, współczesne ławy. W kościele zachowane są wartościowe ołtarze: XVIII-wieczny główny i dwa boczne z drugiej połowy XVIII w., dwa ołtarze z początku XIX wieku oraz ambona z końca XVIII wieku.

Obecny kościół w MECHOWIE fundował w 1742 roku opat Rybiński. Wybudowano go w technice szkieletowej; w typowej dla Kaszub formie, lecz ówczesnie jeszcze nowatorskiej na wsi konstrukcji. Osnową tej konstrukcji są słupy ustawione na podwalinie i połączone systemem rygli i zastrzałów a u góry związane murlatą. Pola utworzonego w ten sposób szkieletu wypełnione są współcześnie cegłą i otynkowane. Spadziste dachy kościoła pokryte są obecnie dachówką. Wielokrotne remonty i przebudowy naruszyły pierwotny wygląd kościoła. Podobnie jak w wielu innych wypadkach w miarę upływu czasu dokonywano przekształceń detalu architektonicznego (m.in. okna) i wymiany tradycyjnego budulca — w tym przypadku gliniane wypełnienie pól szkieletu zastąpiono trwalszą cegłą, jednocześnie podmuruwując dolną część ścian na całym obwodzie. Wnętrze kościoła zachowało wiele cennych sprzętów i przedmiotów o dużej wartości historycznej. Piękny, ładnie położony i usytuowany kościół, o szlachetnej, tradycyjnej sylwetce jest dobrym przykładem dbałości o stan techniczny i estetykę.

Kościół w TYŁOWIE p.w. Oczyszczenia NMP wybudowano w 1755 roku z inicjatywy generała-majora wojsk polskich Józefa Przebendowskiego. Kościół, którego ściany zewnętrzne wzniesiono w technice szkieletowej, uzyskał formę świątyni typowej dla Kaszub z XVIII wieku. Nie jest odstępstwem od reguły brak wieży przy kościele. Także inne, wspomniane już kościoły, np. w Brzeźnie Szlacheckim czy też w Leśnie, Swornegaciach, Studzienicach, Sominach — w pierwszym okresie użytkowania pozbawione były wież. Kościół w Tyłowie przetrwał w takiej postaci do chwili obecnej; dzwony zawieszono w niskiej, wolnostojącej dzwonnicy, która była kilkakrotnie remontowana i odbudowywana ze zniszczeń. Podobnie — remontom poddawany był kościół, w trakcie których dochodziło do zmian pierwotnych rozwiązań. Zmieniono np. formę i materiał pokrycia dachu (należy przypuszczać, że przy okazji remontu dachu, kiedy to zamiast gontów użyto do krycia dachówek, zlikwidowano również naczółek nad szczytem zachodnim), przebudowano w 1896 roku okna, znacznie je powiększając, zmodernizowano wnętrze kościoła, m.in. pod białą stropu ukryta została polichromia o niezna-nej treści.

Obecnie kościół jest w niezadowalającym stanie technicznym. Ponieważ niektóre drewniane elementy szkieletowej konstrukcji ścian, silnie porażone przez szkodniki drewna, ulegają rozkładowi już trzeba było na nowo wymurować jeden z narożników nawy. Podczas tego remontu wyeliminowano tradycyjną konstrukcję. Kościół wymaga podjęcia działań konserwatorskich, które przede wszystkim muszą uwzględnić problem samej wsi i parafii w Tyłowie, gdyż w jej najbliższym sąsiedztwie prowadzi się ważne dla gospodarki inwestycje, które prawdopodobnie przesądzą o losie tej wsi. Jest to problem trudny, lecz

z uwagi na zabytkowe wartości tej świątyni wymagający pozytywnego rozwiązania. Spośród szkieletowych kościołów kaszubskich ten w najwyższym stopniu zachował oryginalną konstrukcję. W jego wnętrzu, które ostatnio znacznie zmodernizowano, zachowało się wartościowe wyposażenie, przede wszystkim dwa ołtarze boczne.

Jeżeli nie będzie możliwe utrzymanie kościoła in situ, należałoby rozważyć jego translokację; taka operacja przerastałaby wysokością koniecznych nakładów możliwości małej parafii. Prawdopodobnie prawidłowe rozwiązanie wymagać będzie działań na wyższym niż parafia szczeblu. Dyskusyjnie są opinie, że kościół ten „...należy do najmniej okazałych kościołów tego typu w regionie”, i że „...prezentuje najsłabsze rozwiązania architektoniczne i stylowe”⁸⁾, lecz nie tylko dlatego nie powinien być pozostawiony swojemu losowi.

Budowę kościoła w SIANOWIE p.w. Narodzenia i Nawiedzenia NMP, która trwała 3 lata, ukończono w 1816 roku. Zastąpił on także szkieletowej konstrukcji kościół, który spłonął podczas pożaru wsi 5 VIII 1811 roku.

Kościół posiada nietypową bryłę, gdyż wzniesiono go na planie wydłużonego prostokąta, bez wyodrębnionego prezbiterium. Zapewne tradycja i przywiązanie do wyobrażenia o wnętrzu kościoła spowodowały, że wschodnie narożniki kościoła wydzielono ukośnymi ścianami, przez co uzyskano namiastkę rozwiązania kościoła z prezbiterium; pożądaną oprawy dla ołtarza głównego.

Kościół był wielokrotnie remontowany i przebudowywany. W 1880 roku wybudowano nową zakrystię i kruchtę zamienioną później na kaplicę, w 1872 roku dobudowano kruchtę zachodnią. Podobnie jak w wielu innych kościołach podczas remontów używano materiałów i stosowano techniki odmienne niż przy budowie. Zniszczone dolne partie ścian zastąpiono podmurówką z cegły, wymieniono gontowe pokrycie dachu na blaszane, wymieniono stolarkę okienną i drzwiową. Ostatnio zmieniono wystrój malarski ścian i sufitów. Te i inne liczne remonty, jak: wzmocnienie fundamentów, remont wieży i konstrukcji dachowej sprawiły, że dzisiaj kościół w Sianowie prezentuje się poprawnie od strony technicznej. Ostatnia rozbudowa kościoła (ołtarz letni) wynika z faktu, iż jest on miejscem kultu Matki Boskiej Sianowskiej, Królowej Kaszub i gromadzi rzesze wiernych, niewspółmierne do pojemności wnętrza.

Kościół ze SWORNEGACI p.w. Św. Barbary był wybudowany około 1700 roku, po pożarze poprzedniego, który także był kościołem drewnianym, wybudowanym w technice zrębowej. Z przekazów źródłowych⁹⁾ wiadomo, że zniszczony przez pożar kościół, a początkowo także nowo wzniesiony — nie posiadał wieży. Wymieniane w inwentarzach, zarówno przed pożarem jak i po wybudowaniu nowego kościoła, dwa dzwony — zawieszane były zapewne w wolnostojącej dzwonnicy, która musiała ocaleć z pożaru. W 1742 roku dzwony przeniesiono do wieży dostawionej do kościoła w kilkadziesiąt lat po jego wybudowaniu. Nie tylko wieża wzbogaciła surową pierwotnie i zwartą bryłę świątyni. W 1774/1775 roku, przed wejściem południowym, wzniesiono szkieletową, obitą deskami kruchtę a w 1812 roku wybudowano nową zakrystię przy ścianie północnej prezbiterium, obszerniejszą w porównaniu z pierwotną. Inne zmiany zewnętrznego wyglądu świątyni poczynione w trakcie jej użytkowania polegały na oszalowaniu ścian deskami (w 1779 roku) i zmianie konstrukcji i wielkości okien (w 1856

7. Opinia rejonowego mistrza budowlanego Schmidta, przytoczona w opracowaniu M. Obremskiego „Sierakowice. Drewniany kościół parafialny pod wezwaniem św. Marcina bp. i św. Jana Nepomucena — skrócona dokumentacja historyczno-architektoniczna”. Maszynopis w PP PKZ oddz. Toruń.

8. Maciej Obremski: „Tyłowo. Szachulcowy kościół parafialny pod wezwaniem Oczyszczenia NMP w Tyłowie — skrócona dokumentacja historyczno-architektoniczna”. Maszynopis w PP PKZ oddz. Toruń.

9. Ważniejsze źródła przytoczone w cytowanym opracowaniu M. Obremskiego dotyczącym kościoła ze Swornegaci.

roku). Zmieniało się także wnętrze: dostawiano i prze-malowywano ołtarze, w 1797 roku wykonano dla kościoła nową ambonę, przebudowano chór. Istotne dla charakteru wnętrza prace modernizacyjne wykonano na przełomie XVIII/XIX wieku. Pomalowano wtedy sufit i przyozdobiono go trzema medalionami z przedstawieniami: Św. Jana Chrzciciela, Św. Barbary i Oka Opatrzności. Wykonawcą tych prac był podobno miejscowy organista, który także, wcześniej, pomalował nowo wykonaną ambonę. Ściany kościoła od wewnątrz pokryte papierowymi tapetami, które ręcznie zadrukowano przy użyciu klocków z powtarzającym się motywem stylizowanego kwiatu, były częściowo podmalowane¹⁰), usunięto je podczas kolejnego przeobrażenia wnętrza na początku XX wieku, kiedy to przygotowywano się do restytuowania parafii w Swornegaciach¹¹). Inne, liczne prace, których potwierdzenie znajdujemy w materiałach archiwalnych, miały charakter bieżących remontów, np. wymiany i remonty pokryć dachowych, wymiany podłóg, remonty drzwi, oszalowania, okien, zamków, itp.

Po wybudowaniu w Swornegaciach w 1916 roku nowego, neobarokowego kościoła, odpowiedniego pod względem wielkości dla potrzeb parafii — stary pełnił funkcję kostnicy i niekiedy magazynu kościelnego. W 1980 roku Kuria Biskupia Chełmińska przekazała ten kościół w formie daru dla Kaszubskiego Parku Etnograficznego we Wdzydzach. Rozbiórkę wykonaną w drugiej połowie 1981 roku poprzedziło wykonanie szczegółowej, obszernej dokumentacji konserwatorskiej, łącznie z dokumentacją filmową. W 1982 roku rozpoczęto roboty budowlane, teraz kontynuowane. W porównaniu ze stanem sprzed rozbiórki w wyglądzie zewnętrznym kościoła dostrzegalne będą zmiany, wynikające z przyjętego założenia, że odtworzy się dawne rozwiązania, zagubione podczas remontów i przebudowy. Przede wszystkim przywrócona zostanie pierwotna forma i konstrukcja okien, w których małe szybki oprawione będą w ołowiu. Odtworzy się południową kruchtę rozebraną po 1918 roku. Danych do jej rekonstrukcji dostarczają zapisy w dokumentach archiwalnych a ponadto jej obraz został utrwalony na zdjęciach wykonanych na początku XX wieku przez Izidora Gulgowskiego. Przywróci się także pierwotną wysokość ścian nawy, zniszczonych w dolnej części. Zostanie utrzymana wtórna zakrystia, nieco większa i w innym kształcie niż pierwotna, także — deskowanie ścian i wieża w jej stanie sprzed rozbiórki. Dachy będą pokryte dębowymi szkodłami, czyli odmianną gontu, na wzór odnalezionych na strychu kościoła.

Trzy ołtarze, ambona, chór, ława kolatorska, ławy dla wiernych — stałe wyposażenie, przejęte wraz z kościołem, po konserwacji będzie umieszczone w jego wnętrzu. Nie wiadomo co będzie z organami, które wcześniej wywieziono do Bydgoszczy. Organy te, dzieło gdańskiego organmistrza Gottfrida Weinerta, były wykonane w 1765 roku. Ich remont i konserwację w 1981 roku przeprowadzono w PP PKZ w Krakowie. Konserwację pozostałego wyposażenia oraz desek z polichromowanego sufitu wykonuje się w Pracowni Konserwacji Dziel Sztuki w Toruniu.

10. Pod zachowanymi, nikłymi fragmentami tapet odnaleziono kolorowe drzeworyty o treści religijnej. Są to chyba najstarsze znane drzeworyty kaszubskie.

11. P. Pałamarz, J.T. Petrus „Chojnice, Czersk i okolice” — prawdopodobnie między 1272 a 1275 rokiem wybudowano w Swornegaciach pierwszy kościół p.w. Św. Jana Chrzciciela, był on kościołem klasztornym o.o. Augustianów. Klasztor ufundowali książę Kaszub Mestwin II i jego żona Eufrozyna. Między 1303—1333 powołano w Swornegaciach parafię a w 1617 roku kościół swornegacki stał się kościołem filialnym w parafii Konarzyny. Parafię w Swornegaciach ponownie powołano w 1908 roku.

W tym komunikacie nie omówiono sporej grupy drewnianych kościołów kaszubskiego obszaru Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Trzeba jednak zauważyć, że są wśród nich prawdziwe perły architektury sakralnej. W większości są to kościoły konstrukcji szkieletowej z widocznym na zewnątrz szkieletem ścian. Jedynie, z wymienionych na wstępie, ściany kościoła w Sominach obite są gontem a ostatnio otynkowano kościół w Bożympolu Wielkim. Dachy kościołów pokryte są gontami a wyjątkowo, nawet chyba w skali kraju, dach kościoła w Jasieniu pokryty jest strzechą. Zasadnicza różnica między tą grupą kościołów a kościołami w Diecezji Chełmińskiej uwidacznia się w niewyodrębnionym prezbiterium.

Niektóre z tych kościołów w ostatnich latach poddane były kompleksowym remontom konserwatorskim. Należy jednak stwierdzić, że remonty te bardzo często były źle wykonane, w kilku kościołach jeszcze ich nie podjęto. Remont w przypadku kościoła w Ugoszczy czy też w Bożympolu Wielkim jest niezbędny, a odwlekanie go nie pozostaje bez wpływu na stan budynków. Niekiedy są to potrzeby niewielkie, np. remont czy też wymiana części pokrycia dachu, lecz istotne dla zachowania kościoła.

Ochrona tego rodzaju zabytków architektury regionalnej w dzisiejszych warunkach jest szczególnie trudna z uwagi np. na brak środków do chemicznej konserwacji drewna, brak odpowiednich materiałów budowlanych a także rzemieślników o określonych specjalnościach. Nie znaczy to jednak, że jest niemożliwa jak świadczą o tym przytaczane przykłady w tym komunikacie.

O dużym znaczeniu problemu ochrony drewnianego budownictwa sakralnego powinien nas przekonać fakt, że na Kaszubach, w obrębie Diecezji Chełmińskiej zachowało się tylko osiem takich obiektów. Wobec tego, że nasze czasy przyniosły nam decyzje o budowie wielu nowych, nowoczesnych świątyń, należy dążyć nie tylko do zachowania zabytkowych kościołów w ich ostatniej postaci. Przykłady z innych krajów europejskich, czy też innych dzielnic Polski (np. Małopolska) wskazują, że remonty jakie podejmuje się w kościołach mogą być dobrą okazją do przywrócenia zagubionych dawnych rozwiązań. Należałoby je odtwarzać w oparciu o badania historyczne i architektoniczne. Na Kaszubach przykładem tego rodzaju działania jest kościół w Leśnie. Jeżeli nie jest to możliwe w szerokim zakresie należy zalecać częściowe, ratownicze remonty. Nie mogą one jednak polegać na eliminowaniu wartościowych detali, sprzętów i elementów wystroju i zastępowaniu ich nowymi, współczesnymi. Nie należy zmieniać form i rozwiązań zastanych, przykładowo: stolarki okiennej i drzwiowej, kształtów i konstrukcji otworów dzwonnych na wieży, konstrukcji stropów, podłóg itp. Ponadto — wartość zabytkowa i szerzej — kulturowa nie tkwi tylko w obiekcie, lecz także jest nią jego najbliższe otoczenie: ogrodzenia, schody, drzewa itp.

Na wstępie sygnalizowano, że z okazji przenoszenia do Kaszubskiego Parku Etnograficznego we Wdzydzach zabytkowego kościoła ze Swornegaci wykonano badania historyczno-architektoniczne. Ich wartością jest to, że dostarczyły cennych informacji o metodach i technikach budowlanych jakie stosowano przy wznoszeniu tego kościoła. Równie wartościowe okazały się skrócone dokumentacje konserwatorsko-historyczne szeregu innych kościołów drewnianych. Dostarczyły one cennego, bo kompleksowego materiału na temat drewnianego budownictwa sakralnego na obszarze całych Kaszub. Życzyć by należało, aby wyniki tych prac, poszerzone tam gdzie to jest możliwe i niezbędne udostępniane były szerszemu kręgowi odbiorców.

W numerze 5 Pomeranii z 1983 roku, w artykule „Ethos Kaszubów w twórczości literackiej Augustyna Necla”, dokonano próby opisu istotnej treści ethosu Kaszubów. Mówiąc o istotnej treści zatrzymaliśmy się na postawach moralnych, gdyż w nich przede wszystkim wyraża się moralność bohaterów Necla wobec jednostki i społeczeństwa. Takie postawy moralne jak: sprawiedliwość, miłość, solidarność czy patriotyzm nie wyczerpują oczywiście całokształtu ethosu Kaszubów ukazanego w twórczości literackiej Augustyna Necla. Można mówić o innych jeszcze postawach jak np. sumienność, wytrwałość, odwaga, pracowitość itp. Omówione jednak w artykule postawy społeczno-moralne są w istocie rzeczy postawami o charakterze fundamentalnym.

Obecny artykuł stanowi w pewnym sensie kontynuację poprzedniego. Jeśli bowiem opis ethosu Ka-

szubów miałby stanowić studium pełne i w miarę możliwości wyczerpujące, nie można ograniczyć się tylko do ukazania charakterystycznych postaw moralnych, ale należy ukazać także to co leży u ich podłoża, to znaczy całokształt czynników warunkujących takie, a nie inne postawy bohaterów Necla. Rodzi się zatem istotne pytanie, na które chcielibyśmy udzielić odpowiedzi w niniejszym artykule: czym są warunkowane, co leży u podłoża takich postaw bohaterów Necla jak: sprawiedliwość, miłość, solidarność, patriotyzm?

Najogólniej można stwierdzić, że czynniki kształtujące ethos Kaszubów można podzielić na dwa zasadnicze. Pierwszy stanowią uwarunkowania zewnętrzne, a więc cała sytuacja geopolityczna i historyczno-społeczna, drugi zaś świadomość moralna bohaterów.

Maszopi czuli potrzebę bycia razem

Henryk Skorowski

UWARUNKOWANIA ZEWNĘTRZNE — SYTUACJA GEOPOLITYCZNA I HISTORYCZNO-SPOŁECZNA

Powszechnie wiadomo, iż każdy człowiek żyje i wzrasta w określonym środowisku, na które składa się wiele czynników. Zaliczyć można do nich: warunki geograficzne i historyczno-kulturowe, sytuację ekonomiczno-społeczną, rodzaj wykonywanej pracy zawodowej. Wymienione czynniki tworzące tło geopolityczne i historyczno-społeczne, wywierają swój wpływ na tworzenie szczególnego typu zachowań i postępowania jednostki. Niekiedy są one charakterystyczne do tego stopnia, że można stwierdzić, jakiej warstwy społecznej, grupy etnicznej lub obszaru kulturowego dana jednostka czy grupa ludzi jest przedstawicielem¹).

W świetle twórczości literackiej Necla czynnikami kształtującymi ethos Kaszubów od zewnątrz są: warunki geograficzne, historia, sytuacja ekonomiczno-społeczna, praktyka zawodowa oraz przynależność wyznaniowa.

Warunki geograficzne

Analiza twórczości literackiej Augustyna Necla pozwala już na wstępie postawić wniosek, że jednym z najistotniejszych czynników warunkujących i kształtujących postawy i zachowania etniczne Kaszubów są określone warunki geograficzne. Czym charakte-

ryzują się owe warunki geograficzne i w jaki sposób wpływają na moralne postawy?

Bohaterowie Necla w określony sposób są związani z morzem. Wypływa to ze specyficznego położenia geograficznego ziemi przez nich zamieszkałej, bezpośrednio graniczącej z morzem, a przez to także bezpośredniego kontaktu i obcowania z morskim żywiołem. Żywiół morski, kryjący w sobie pewien stopień „egzotyki”, z reguły u każdego przybysza z głębi kraju wywołuje podziw. Dla Kaszubów opisywanych przez Necla stosunek do natury, jaką jest żywioł morski, jest zgoła odmienny. Jest dla nich zjawiskiem bliskim i powszednim, pozbawionym powabu niezwykłości, istotnym elementem życia. Necel nie tylko podkreśla związek swoich bohaterów z morzem, ale na podstawie jego literatury można także ustalić charakter owego związku z przyrodą. Najogólniej mówiąc jawi się jako jedno wielkie pasmo doświadczania zależności od morza. Znakomicie wyrażają to słowa pieśni kaszubskich rybaków: „Morze gdyś jest dobre dajesz nam kask chleba, a gdy złe zabierasz rybaków do nieba”. Morze dla bohaterów Necla jest źródłem i dostarczycielem dóbr materialnych nieodzownych do życia. Znikoma ilość ziemi uprawnej a jednocześnie ubóstwo złóż mineralnych w tym rejonie określają morze jako podstawowe źródło ich egzystencji. W świetle prozy Necla można powiedzieć, że związek Kaszubów z morzem ma charakter bytowej zależności.

Świadomość egzystencjalnej zależności od morza kształtowała się równolegle do faktycznego współbywania z nim. To współbywanie charakteryzuje się zmaganiem i walką. Każdy kontakt człowieka

¹ Por. St. Witek, Teologia moralna fundamentalna, cz. 2, Prakseologia moralna, Lublin 1976, s. 25.

z przyrodą, jego bytowanie dzięki niej, jest związane na ogół z określoną formą zmagania. W szczególności jednak sposób jest to widoczne w koegzystencji człowieka z morzem. Morze bowiem wymaga od człowieka postawy męznego zmagania. A każda, nawet jednorazowa, walka czy zmaganie z naturą pozostawiają swoje odbicie w człowieku, tym bardziej zaś takie, które jest niemalże nieodłącznym elementem codzienności. Tak w istocie rzeczy jest w życiu bohaterów Necla. To ich nieustanne obcowanie z żywiołem morza, jego eksploataowanie, które przyjmuje postać walki i zmagania, oddziałuje na całokształt postaw i zachowań moralnych. Na podstawie literackiej twórczości Necla można wyróżnić dwójki sposób współkształtowania postaw moralnych kaszubskich rybaków w ich koegzystencji z morzem. Przede wszystkim ciągły kontakt z żywiołem morskim wiąże się ze specyficznym doświadczeniem, jakim jest zagrożenie życia. Tego rodzaju doświadczenie ludzkie na ogół nie jest zjawiskiem powszechnym i często występującym. W społeczności natomiast kaszubskich rybaków jest to jednak zjawisko niemalże codzienne. Każdy z bohaterów — rybaków jest niejednokrotnie narażony na niebezpieczeństwo utraty życia. Tego rodzaju osobiste doświadczenia kształtują świadomość, że istnieją w życiu innych ludzi analogiczne sytuacje zagrożenia, w których potrzebują oni pomocy innych. Dlatego często umieszczane w prozie Necla nawoływanie czy po prostu stwierdzenie faktu: „ten kuter jest w niebezpieczeństwie”, jest jak gdyby wezwaniem do życzliwej postawy pomocniczości. Każdy bowiem wie doskonale, na gruncie własnych przeżyć, co oznaczają te słowa. Dla bohaterów Necla takie wyrażenia jak „niebezpieczeństwo”, „zagrożenie” posiadają konotacyjne znaczenie — „potrzeby pomocy”. Świadomość, że ktoś jest potrzebujący niejako automatycznie wyzwała u kaszubskich rybaków określone postawy etyczne, które najogólniej określić można jako wrażliwość na ludzkie potrzeby, solidarność z człowiekiem potrzebującym. Klasycznym opisem takich asocjacji moralnych jest fragment powieści „Rewanie”. Szyper Dariusz obserwując walczącą z falami łódź „czuje”, że tamci ludzie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Jego stwierdzenie, że „potrzebują pomocy” mobilizuje jego samego i jego maszopów do natychmiastowego płynięcia w tamtym kierunku. Motywy i uzasadnienia, jakie stoją za taką decyzją, nie podlegają u nich dyskusji. Solidarność i życzliwość pomoc jest dla nich oczywistością. Jest to zatem pierwszy kierunek oddziaływania warunków geograficznych na postawy moralne. Ciągłe zmaganie z naturą pozwala zrozumieć innych ludzi, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie. To zaś zrozumienie leży u podłoża takich postaw jak: solidarność, pomoc człowiekowi.

Drugi kierunek oddziaływania wynika z innego osobistego doświadczenia. Ciągłe zmaganie z naturą, podyktowane bytową zależnością tych ludzi od morza, wiąże się z doświadczeniem potrzeby bycia we wspólnocie. Ujawnia się ona w prozie Necla przy różnych okazjach. Każdy bohater wie z osobistych przeżyć i doświadczeń, że sam, izolowany od grupy, nie tylko nie potrafi niczego w tym zmaganiu z naturą osiągnąć, ale nie potrafi w ogóle przetrwać. Doświadczenia więc zarówno własne, jak i czerpane z tradycji, prowadzą do głębokiego uświadomienia sobie potrzeby drugiego człowieka we własnym życiu oraz bycia potrzebnym także innym. Jest to zatem uświadomienie sobie potrzeby bycia we wspólnocie. W powieści „Kutry o czerwonych żaglach” Necel pisze tak: „Maszopi czuli potrzebę bycia razem. Tworzyli jakby jedną rodzinę. Łączyła ich mocna więź wspólnej pracy i walki z groźnym żywiołem. Byli sobie towarzyszami, przyjaciółmi, braćmi wypróbowanymi w biedzie i dostatku”.

Można zatem powiedzieć, iż świadomość wzajemnej potrzeby, wspólnoty, która wyrosła na podłożu osobistych doświadczeń zmagania i walki z naturą, leży u podłoża takich moralnych postaw jak: solidarność, braterstwo, wzajemna życzliwość i pomocniczość, wrażliwość na ludzkie potrzeby.

Można zatem powiedzieć, że warunki geograficzne kształtują określone postawy moralne, które wyrosły

na podłożu osobistych doświadczeń bycia w niebezpieczeństwie oraz świadomość działania i życia wspólnotowego, co znalazło odbicie w postawach moralnych wobec całej wspólnoty, jak i tych, którzy ją tworzą.

Historia

Czynnikiem warunkującym w znacznym stopniu ethos bohaterów Necla jest także historia. Oczywiście Necel nie jest historykiem i nie utrwała w całości historii Kaszubów. Niemniej jednak akcje swoich utworów osadza w konkretnych wydarzeniach historycznych. Biorąc pod uwagę całokształt literackiej twórczości Necla można odnaleźć tę zasadniczą prawdę, iż dzieje kaszubskiej ludności naznaczone są głębokim tragizmem. Tragizm ten ma swoje przyczyny przede wszystkim w wojnach i długotrwałych okresach niewoli. I właśnie te wydarzenia, które jak gdyby stanowią tło utworów Necla, mają swój udział w kształtowaniu nie tylko losu ludności kaszubskiej, lecz także określonych postaw etycznych.

Analizując twórczość literacką Necla dochodzi się do wniosku, iż każde niemal pokolenie jego bohaterów przeżywało swój dramat wojny czy okresu niewoli. W tym kontekście każdy z osobistego doświadczenia wiedział, jakie są następstwa tych wydarzeń. A jeśli nawet wśród nich są tacy, którzy osobiście nie przeżyli żadnego z wymienionych wydarzeń historycznych, to wiedzą o nich z przeżyć i opowiadań swoich najbliższych. Można zatem powiedzieć, że bohaterowie Necla — Kaszubi wzrastali i wychowywali byli w atmosferze wojen i czasu niewoli.

Jakie zatem konkretne następstwa niosły dla nich te wydarzenia w zakresie świadomości? Można wskazać na dwa zasadnicze: świadomość zagrożenia osobistej egzystencji oraz zagrożenia bytu ojczyzny.

Każda wojna lub czas niewoli niosły z sobą naruszanie praw osoby ludzkiej, takich jak: prawo wolności, własności, osobistych przekonań czy zapamiętanych. Wiązało się to z osobistymi upokorzeniami, krzywdą, niesprawiedliwością. Wchodzi tu także cała sprawa ucisku narodowościowego, prześladowanie i szykany za polskość, wiarę oraz cały problem wywłaszczania. To wszystko wpływało na kształtowanie świadomości zagrożenia egzystencjalnego, lęku i niepokoju nie tylko o własne życie, ale także swoich najbliższych.

Drugim następstwem wydarzeń historycznych, w świadomości bohaterów Necla, jest poczucie zagrożenia bytu ojczyzny. Nie chodzi już wyłącznie o osobiste, jednostkowe krzywdy, ale o krzywdę zadawaną ojczyźnie. Pojęcie ojczyzny nie ogranicza się tylko do elementu geograficznego, a więc do wiązania go tylko i wyłącznie z określonym terytorium. Na pojęcie ojczyzny, w ich świadomości, składają się także elementy kulturowe, jak język, tradycja czy przynależność do katolicyzmu. U bohaterów Necla istnieje dość mocno rozwinięta świadomość bycia Polakami, świadomość, że Kaszuby są częścią ojczyzny, którą jest Polska. To wszystko sprawia, że wyrządzone krzywdy i szkody zarówno materialne jak i moralne traktowane są przez nich jako niesprawiedliwość wyrządzona nie tylko im samym, ale całej ojczyźnie. Bohater Necla wyraża to słowami „...ojczyzna jest krzywdzona, jest w potrzebie...”.

Świadomość zagrożenia, a jednocześnie świadomość potrzeby obrony wartości osobistych jak życie, wolność, dobra materialne i wiara oraz społecznych, wśród których na pierwszym miejscu należy wymienić ojczyznę, jej wolność, nienaruszalność, kulturę, w poważnym stopniu warunkuje ethos kaszubskich rybaków w zakresie następujących odniesień: do współtowarzyszy, do wrogów i do samej ojczyzny.

Na pierwszym zatem miejscu należy stwierdzić, że czas trudnych i bolesnych doświadczeń wpływa w znacznym stopniu na wzajemne odniesienie do siebie bohaterów Necla. Chodzi w pierwszym rzędzie o kształtowanie się moralnej postawy solidarności. Klasycznym potwierdzeniem tego może być fragment z „Nie rzucim ziemi”: „Wieść o zamiarze Prusaków rozeszła się lotem błyskawicy po całych Kaszubach. Pod klasztor nadciągnęły masy chłopstwa

z kosami i cepami. Przybyli nawet rybacy z dalekiego Półwyspu Helskiego... Kaszubi otoczyli klasztor silnym kordonem i nie wpuszcili do niego Prusaków...". Jest w prozie Necła wiele fragmentów, z których wyraźnie widać, iż czasy osobistych i wspólnotowych doświadczeń w szczególnie sposób uświadamiały tym ludziom jednostkową niewystarczalność, a także siłę jaką stanowi życie i działanie wspólnotowe. Kaszubi Necła często o tym mówią: „Trzymajmy się razem a nie przyjdziemy do zguby...”, „Wspólnota to siła”. Z tej zaś świadomości bycia we wspólnocie rodzą się określone postawy moralne regulujące wzajemne odniesienie w skali interpersonalnej, a także odniesienia jednostki do całej wspólnoty. Do podstawowych postaw etycznych w tym zakresie należy zasada wzajemnej pomocy, życzliwości i solidarności.

Świadomość zagrożenia, doświadczanie krzywd ukształtowały także określone postawy moralne wobec wrogów. Wyrastają one na podłożu uświadamiania sobie krzywd i wszelkiej niesprawiedliwości jakiej doznawali od tych, którzy niszczyli zarówno ich osobiste dobra jak i dobrą całą ojczyznę. Kształtować się więc będą postawy niechęci niekiedy posuniętej aż do nienawiści. Wymownym w tej kwestii może być fragment: „Nie rzucim ziemi”, w którym Necel pokazuje Kaszubów odmawiającego pochowania ciał wrogów, na zasadzie zemsty za doznane krzywdy. Dodac też trzeba, iż świadomość, że każdorazowo zagrożenie egzystencji przychodzi z zewnątrz, ma swój wpływ na kształtowanie się określonych postaw wobec ludzi obcych i nieznanych, które można określić jako nieufność i podejrzliwość.

Wreszcie świadomość zagrożenia ojczyznę, jej dóbr, leży u podłoża kształtowania się postawy patriotyzmu. Bohaterowie Necła swoją postawę patriotyzmu demonstrują zarówno w czynie jak i w słowach: „skoro ojczyzna jest w potrzebie, prywatny majątek nie ma dla mnie znaczenia”.

Refleksja nad historią Kaszubów w relacji Necła pozwoliła zwrócić uwagę na wydarzenia historyczne, które mają znaczenie etologiczne. Chodzi o takie wydarzenia, jak czas wojny i niewoli. Mają one swoje konkretne następstwa, które w formie doświadczeń zalegają głęboko w świadomości bohaterów Necła. Te zaś doświadczenia i przeżycia w wielu wypadkach warunkują lub kształtują ethos. Jeżeli więc mówi się o wpływie warunków historycznych na ethos Kaszubów, to ma się na uwadze powstawanie i kształtowanie w atmosferze wspomnianych wyżej doświadczeń, określonych postaw moralnych wobec nieprzyjaciół, ludzi obcych, współtowarzyszy, a także wobec ojczyzny.

Sytuacja ekonomiczno-społeczna

Sytuacja ekonomiczno-społeczna wydaje się także warunkować jakość ethosu. Najogólniej można stwierdzić, że ludność kaszubska opisana przez Necła jest pod względem ekonomicznym uboga. Warunki zaś ekonomiczne, a w głównej mierze zajmowanie się tym samym „rzemiosłem”, jakim było rybołówstwo, powoduje, że ludność wiosek rybackich charakteryzuje się równością społeczną, to znaczy nie dostrzega się wśród niej zasadniczych dysproporcji i ostrych podziałów na ludzi zamożnych i skrajnie biednych. Wydaje się, iż są to dwie najistotniejsze cechy sytuacji ekonomiczno-społecznej, w której Necel umieszcza swoich bohaterów. Jest to dość istotne stwierdzenie, ponieważ właśnie materialne ubóstwo i społeczna równość kaszubskich rybaków kształtuje ich moralne postawy.

Biorąc pod uwagę warunki materialne bohaterów Necła, graniczące niejednokrotnie z ubóstwem, trzeba stwierdzić, że właśnie to osobiste doświadczenie trudnych warunków materialnych pozwala im łatwiej zrozumieć innego człowieka potrzebującego lub materialnie ubogiego. Zrozumienie znaczenia „być w potrzebie”, „być potrzebującym” jest niebagatelnym podłożem, na którym wyrastają określone postawy moralne. Dobitnie ilustrują to dwie wypowiedzi z powieści „Okretnicy spod nordowej gwiazdy”: „Sam nie wiem gdzie się obrócić — mruknął.

Koziróg położył mu dłoń na ramieniu. Choć drehu do nas. Prześpijmy się w jednym łóżku jak dwaj bracia...”. W innym zaś miejscu bohater powie: „Nie martw się bracie... Pomożemy ci w biedzie. Napoił go i nakarmił, bo od kilku dni głodował, nie mając w kieszeni ani peseta”. Te, jak i wiele innych fragmentów prozy wskazują, jak bieda ludzka w ogóle, a ubóstwo materialne w szczególności sprzyja kształtowaniu określonych postaw moralnych. Na pierwszy plan w życiu bohaterów wysuwa się postawa wrażliwości na ludzkie potrzeby, życzliwości a także spieszenia z pomocą.

Trudna sytuacja ekonomiczna kaszubskich rybaków rodzi w nich także mocne poczucie osobistej własności i niemają dla niej pietyzm. Analiza twórczości Necła pozwala stwierdzić, że osobista własność, nawet niewielka, staje się w życiu jego bohaterów wartością dużej wagi. Świadomość zaś wartości osobistej własności oraz powinność jej poszanowania, wiąże się ściśle z poczuciem szacunku wobec własności innych ludzi. Widać to wyraźnie w postawie bohatera książki „Kutry o czerwonych żaglach”, który nie rusza cudzej własności motywując to stwierdzeniem: „Ale jak ta łódź należy do jakiego biednego Niemca? Co wtedy?” Na podłożu zatem świadomości, że każdy człowiek ma prawo do własności i że istnieje obowiązek jej poszanowania, wyrastają liczne postawy różnorakiego jej respektowania, niezależnie od tego kto jest podmiotem prawa własności.

Biorąc natomiast pod uwagę drugi z wymienionych elementów sytuacji ekonomiczno-społecznej, jakim jest społeczna równość, trzeba stwierdzić, iż właśnie ona kształtuje świadomość w zakresie potrzeb wspólnoty i w ten sposób wpływa na jej ethos. Życie bowiem i działanie we wspólnocie domaga się przyjęcia odpowiednich postaw etycznych, które regulują jej wewnętrzne odniesienia. Ta równość społeczna sprawia, że wspólnota kaszubska jest jakby „twórcą” ocen i norm moralnych oraz czuwa nad zgodnością zachowania jednostki z przyjętymi przez społeczność normami.

Praktyka zawodowa

Na ludzkie życie oddziałuje również praktyka zawodowa. Nie tylko na ekonomiczną stronę ludzkiego życia, lecz także na kulturę i moralność. Praktykę zawodową bohaterów Necła stanowi przede wszystkim rybołówstwo. Większość mieszkańców nadmorskich wiosek, w czasie, który utrwała Necel, oddaje się temu zajęciu bezpośrednio lub pośrednio. Rodzi się zatem pytanie, w jakim stopniu praktyka zawodowa oddziałuje na ich moralność?

Wydaje się, iż już sama racja, dla której podejmują oni pracę ma swoje etologiczne oddziaływanie. Praca kaszubskich rybaków stoi w ściślejszej zależności od przyrody, od morza. Racją jej podejmowania jest konieczność gwarantująca egzystencję swoją i swoich najbliższych. Jest to działanie pływające z konkretnych potrzeb, które określić możemy jako potrzeby bytowe. Nie redukują się one do samych tylko potrzeb biologicznych, jakkolwiek ze względu na siłę występowania i konieczność zaspokojenia domagają się spełnienia w pierwszym rzędzie. Stąd na pierwszy plan wysuwa się poczucie obowiązku moralnego i odpowiedzialność człowieka do podjęcia takich działań, które zmierzają do zachowania życia zarówno własnego, jak i cudzego — zwłaszcza w stosunku do własnej rodziny. A zatem sama racja, dla której bohaterowie Necła podejmują pracę tłumaczy postawę moralną obowiązku podjęcia pracy, powinność moralną pracy. Kształtuje to także konkretne postawy moralne wobec samego zjawiska pracy, które najogólniej można określić jako postawy sumienności, rzetelności, pracowitości. W końcu jest to dla Kaszubów oczywista postawa miłości wobec swoich najbliższych. Przykładem może być postawa bohatera powieści „Okretnicy spod nordowej gwiazdy”: „...A jednak pójdę na okretnika. Nie będę gburowi za darmaka służył. Zarobionego grosza nie przepiję. Mam siostrę kalekę i chorego brata. Sam zarobię dla nich na chleb... Jest młody

a już myśli o tym, jakby sobie i swoim najbliższym polepszyć życie”.

Swoje etologiczne oddziaływanie ma także specyfika pracy bohaterów Necla. Z zajęcia mającego charakter zmagania, a nawet walki z przyrodą, wypływa specyficzna cecha. Jest nią po prostu wspólnotowość, charakter wspólnotowy. Zespołowość należy niejako do samej istoty pracy rybackiej, co wiąże się z doświadczeniem, że jednostka jest z reguły niewystarczająca w zmaganiu z naturą. W tym tkwi racja, dla której bohaterowie Necla zawiązują maszoperie. Ta forma wspólnotowego działania, która ma na celu uzyskiwanie dobrych efektów gospodarczych, pośrednio jednak wpływa także na kształtowanie określonych postaw współzycia i współdziałania między ludźmi. Po prostu współdziałanie ludzi, zwłaszcza w sytuacjach granicznych, „objawia” im etyczne ramy faktu, że łączą ich relacje osobowe. Wspólna praca, działanie nie dokonuje się więc tylko na płaszczyźnie technologicznej, prakseologicznej czy nawet biotechnicznej, lecz także płaszczyźnie wartości i powinności moralnych.

Analiza twórczości Necla pozwala stwierdzić, że wspólnotowe działanie jego bohaterów doprowadza do ukształtowania się całego systemu norm moralnych, które regulują stosunki jednostki między sobą, jednostki do wspólnoty i wspólnoty do jednostki. Powstają zatem wzorcowe typy koleżeńskich i partnerskich stosunków międzyosobowych, uszczegółowionych w określonych postawach moralnych takich jak: sprawiedliwość, solidarność, pomocniczość.

Możemy zatem stwierdzić, że zarówno specyfika pracy rybackiej, jak i racja jej podejmowania wpływa na tworzenie się u Kaszubów wielu swoistych cnót moralnych.

Przynależność wyznaniowa

Duże oddziaływanie na życie poszczególnych ludzi i grup społecznych ma także religia. W tym oddziaływaniu szczególne miejsce zajmuje sfera moralnego zachowania człowieka. Podobnie jest także w odniesieniu do Kaszubów opisywanych przez Necla. Są to ludzie charakteryzujący się żywą wiarą i religijnością. Uważają się za chrześcijan, należących do Kościoła katolickiego. Jakże zatem jest oddziaływanie ich przynależności wyznaniowej na moralne postawy?

Powszechnie wiadomo, że religia dostarcza określonego systemu moralnego, zespołu ocen, norm moralnych. Podobnie jest także w życiu bohaterów Necla. Dla nich religia chrześcijańska i nauczanie Kościoła jest takim konkretnym źródłem obiektywnego kodeksu moralnego. Istnieje wśród nich przekonanie, że Bóg jest autorem norm moralnych, całego systemu moralnego regulującego odniesienie człowieka do Boga i człowieka do człowieka. Podkreślenie, że Bóg jest autorem norm moralnych, łączy się jednocześnie z pojmowaniem Boga jako autorytetu w zakresie postępowania. Na podłożu takiej świadomości wkręca głębokie przekonanie, że z tej jedynie racji należy ów system moralny akceptować i według niego żyć, ponieważ tak nakazuje Bóg. Stąd też zasady i normy moralne głoszone przez Kościół są przyjmowane przez nich jako obowiązkowe i jako takie spełniane w życiu.

Religijny zatem system moralny zawierający normy i wskazania moralne leży u podłoża takich postaw moralnych, które regulują ich odniesienie do Boga, do człowieka, czy wreszcie do społeczeństwa. Kształtuje on zatem postawę wiary, miłości względem Boga i człowieka, sprawiedliwości.

Przynależność wyznaniowa kształtuje jednak ethos nie tylko poprzez fakt akceptacji chrześcijańskiego systemu moralnego, ale także poprzez zdobytą wiedzę religijną. To prawda, że religijność bohaterów Necla nie ma mocnego podłoża intelektualnego, lecz opiera się w głównej mierze na tradycji. Niemniej mają oni pewien zasób wiedzy religijnej, ukazujący im chrześcijański obraz świata, prawdy o tym kim jest człowiek, jakie jest jego pochodzenie i cel życia. Wiedza ta rzutuje na jakość postaw moralnych. I tak dla przykładu objawiona prawda o człowieku, że pochodzi on w swym istnieniu od Boga i prze-

znaczony jest przez niego do szczęścia wiecznego, znajduje swój konkretny wyraz w odniesieniu do człowieka, które możemy określić jako odniesienie życzliwe, godne, pełne zrozumienia, bez względu na pochodzenie tego człowieka czy jego zapatrywania wyznaniowe. Bohater Necla mówi o tym wprost: „...ludzie muszą być dla siebie dobrzy bez względu na wiarę...”.

Możemy zatem powiedzieć, że światopogląd religijny bohaterów Necla rozumiany jako zespół twierdzeń o całej rzeczywistości, a w szczególności o człowieku i jego miejscu w świecie, wpływa na kształtowanie się ich konkretnych postaw moralnych względem Boga, człowieka, społeczności, na ich poglądy na dobro lub zło, na uznanie przez nich wartości, ideałów moralnych, na ocenę moralną postępowania ludzi.

UWARUNKOWANIA WEWNĘTRZNE — ŚWIADOMOŚĆ MORALNA

Ethos Kaszubów wyrażany w określonych postawach moralnych warunkowany jest nie tylko poprzez całokształt sytuacji geopolitycznej i historyczno-społecznej. Omówione czynniki zewnętrzne są ważne, ale gdyby tylko do nich ograniczyć rozważania, obraz całości uwarunkowań nie byłby pełen. W twórczości literackiej Necla można odnaleźć takie uwarunkowania, które określić możemy jako wewnętrzne, rozumiane jako stan świadomości moralnej bohaterów. Treść świadomości moralnej bohaterów Necla, to nic innego jak określona wiedza moralna zdobyta poprzez osobiste przeżycia moralne. Stąd też na stan świadomości moralnej kaszubskich rybaków składają się przeżycia moralne, w których odkrywają oni określoną wiedzę moralną, następnie wyrosłe na tym gruncie przekonania moralne, wreszcie motywacje moralne.

Przeżycia moralne

Literackie opisy pozwalają przynajmniej częściowo wnikać w przeżycia wewnętrzne kaszubskich rybaków, których treścią jest powinność moralna. W ich świadomości jest ona faktem oczywistym. Odkrywają ją niejako bezpośrednio w szczególnych sytuacjach, zwłaszcza granicznych. Oto jeden z bohaterów utworu „Wolność i niewola”, Ryszard ma świadomość powinności moralnej w stosunku do swoich maszopów, którzy znajdują się w niebezpieczeństwie: „...jestem odpowiedzialny za życie sześciu innych rybaków”. Podobnie inni po prostu wie, że jest w relacji powinnościowej wobec zupełnie obcej kobiety, która nie ma warunków do życia „...to pani należy pomóc”. Tę samą powinność moralną odkrywają inni bohaterowie. Oni jak gdyby wewnętrznie i bezpośrednio „czują” określoną moralną powinność wobec drugiego człowieka.

Przytoczone przykłady pozwalają stwierdzić, iż powinność moralna jest dla kaszubskich rybaków jakimś faktem i zarazem aktem ich wewnętrznych przeżyć, ich wewnętrznego odczucia. Owo poznanie, odkrywanie powinności moralnej podejmowania określonych czynów nie dokonuje się na zasadzie zewnętrznych nakazów czy zakazów jakiegoś autorytetu. Moralna powinność pozostaje powinnością nawet wtedy, gdy istnieje nakaz jej przeciwny. I tak np. Józef, w powieści „Maszopi”, wie, iż istnieje surowy zakaz pomagania więźniom radzieckim, ale on w swoim wnętrzu „czuje”, że powinien pomóc z pomocą. Faktycznie też spełnia tę powinność.

Moralna powinność pozostaje powinnością nawet wtedy, gdy płynące z niej skutki jako następstwo działania nie „opłacają się” i są niejednokrotnie zagrożeniem dla własnego życia. Można zatem powiedzieć, że fakt moralnej powinności dany jest im niejako wprost w sferze ich wewnętrznych przeżyć. Ta odkryta w osobistych przeżyciach moralna powinność ma charakter bezwzględny i kategoryczny. Specyfikuje się ona pod względem treści jako powinność miłości bezinteresownej, sprawiedliwości, odpowiedzialności, opiekuństwa, w zależności od tego jakiej wartości ona dotyczy. W każdym jednak przypadku

moralnym, pomimo sytuacyjnego i treściowego zróżnicowania, bohaterowie Necla posiadają zdolność poznania tego, „że powinni” i „co powinni” czynić, jeśli mają się godnie zachować. Tego rodzaju wewnętrzne przeżycia stanowią dla nich określone źródło wiedzy moralnej.

Przekonania moralne

Ukazany świat wewnętrznych przeżyć kaszubskich rybaków pozwala na bardziej jeszcze szczegółowy opis ich stanu świadomości moralnej. Pisarz bowiem pokazuje swoich bohaterów nie tylko od strony doświadczeń przeżyć moralnych, w których odkrywają oni fakt moralnej powinności, lecz także w perspektywie ich wewnętrznych przekonań moralnych. Przekonania oczywiście nie utożsamiają się z aktualnymi przeżyciami, o których mówiliśmy wcześniej. Te aktualne przeżycia stanowią tylko dla przekonania tworzywo w postaci informacji, że człowiek „powinien”. Przekonania moralne bohaterów Necla będą po prostu ugruntowaną i uznaną za powszechnie ważną wiedzą moralną, którą zdobyli oni w jednostkowych przeżyciach powinności moralnej. Spróbujmy to zilustrować. Na drodze jednostkowego, osobistego przeżycia Budzisz — bohater utworu „W pogoni za ławicami” — odkrywa powinność udzielania pomocy znajdującym się w niebezpieczeństwie. To przeżycie jest dla niego źródłem wiedzy moralnej, ale wiedzy jeszcze jednostkowej. On po prostu „wie”, że w tej konkretnej, określonej sytuacji powinien pomóc. Takich jednostkowych sytuacji w życiu bohatera jest jednak bardzo wiele. Sprawiają one, że po przeżyciu którejś z kolei takiej sytuacji nie będzie już mówił: „Powinienem im pomóc”, ale stwierdzi: „Mam obowiązek iść im z pomocą”. To apodyktyczne niemalże stwierdzenie nie wyraża już jednostkowej wiedzy moralnej zdobytej w konkretnej sytuacji, ale wyraża już ugruntowaną w formie przekonania wiedzę moralną.

Przekonania moralne z samej swej natury cechują się tym, iż muszą być wyrażane na zewnątrz. Jedną z takich form uzewnętrznienia się moralnych przekonań bohaterów Necla są ich deklaracje słowne. Wypowiedzi tego rodzaju: „Ludzie muszą sobie pomagać”, „trzeba ludzi ratować”, „musimy im współczuć”, „trzeba ratować nawet wroga”, „muszę z nim rybaczyć” itp. mają tak apodyktyczny charakter, że za tymi sądami należy dopatrywać się wyrazu kategoriycznych przekonań moralnych.

W dotychczasowych naszych rozważaniach, mówiąc o przekonaniach moralnych, używaliśmy liczby mnogiej. Jednak już wyżej przytoczone deklaracje słowne pozwalają zauważyć, iż przekonania te ukierunkowane są na człowieka, dotyczą człowieka. Jest to po prostu jakieś otwarcie się na człowieka, wyrażane takimi określeniami jak „powinieneś”, „musisz”. Ciągłe w centrum jest człowiek. Można zatem, bez obawy zbłądzenia, stwierdzić, iż w rzeczywistości chodzi o jedno, ogólnie ważne przekonanie moralne miłości.

Motywacje moralne

Po ukazaniu przeżyć moralnych, które stanowią źródło wiedzy moralnej i przekonań jako utrwalonego zasobu tejże wiedzy, można pójść jeszcze dalej w opisie stanu świadomości moralnej bohaterów Necla. Chodzi mianowicie o motywacje moralne.

Necel ukazuje swoich bohaterów spieszących z po-

mocą w niebezpieczeństwie życia, pomagających, wyczulonych na ludzkie potrzeby, współczujących w nieszczęściu. „Czuja” oni powinność takiego zachowania nie dlatego, iż to przynosi im osobiste szczęście czy konkretną korzyść, ale dlatego, jak niejednokrotnie stwierdzają „bo to człowiek”. Dostrzega się to jeszcze wyraźniej w dialogach. Bohaterowie powieści „Okrętnicy spod nordowej gwiazdy” mówią: „Trochę mi go żal. Bez broni może umrzeć z głodu. Niech zdycha albo żyje korzonkami jak my, gdy się nam kule skończyły... Szkoda, bo to przecież człowiek”.

Jest w twórczości Necla wiele scen, w których jako motywacja powtarza się odwołanie do racji bycia „człowiekiem”, do „człowieczeństwa”. W imię tego dostrzeżonego i odczytanego „człowieczeństwa” bohater powieści „W pogoni za ławicami” podejmuje się otoczyć szczególną opieką potrzebującą kobietę, a bohater utworu „Wolność i niewola” podejmuje wielkie ryzyko zniszczenia dokumentów, które w rękach wrogów mogłyby się okazać niebezpieczne dla wielu ludzi. W wielu wypadkach powtarzane są słowa „bo to człowiek”, „toć to ludzie”. To zatem argumentowanie „człowieczeństwem”, jako motywem powinności moralnej, w sposób wyraźny wydaje się wskazywać, że bohater Necla dostrzega w człowieku wartości, albo mówiąc ściślej jest przekonany, że człowiek sam w sobie jest wartością. Można powiedzieć, że jest po prostu przekonany o godności osobowej drugiego człowieka. Świadomość ta rodzi konieczność bezwzględnej afirmacji człowieka, któremu jest ona należna z racji tego, że jest on określoną wartością.

Jeżeli zatem mówimy o motywacjach i racjach moralnych, to trzeba stwierdzić, iż wydają się one sięgać aż do wartości i bytu człowieka, do tego kim człowiek w swej najgłębszej istocie jest.

Prześledzenie stanu świadomości moralnej jest w naszych rozważaniach istotne, gdyż stanowi on wewnętrzne uwarunkowanie moralnych postaw. Żadna z omówionych postaw moralnych w poprzednim artykule nie jest konsekwencją tylko czynników zewnętrznych, lecz ma także, a może przede wszystkim swoje źródło w określonej świadomości moralnej. I tak dla przykładu postawa sprawiedliwości kształtowana jest nie tylko przez sytuację ekonomiczno-społeczną, uwarunkowaną historycznie, lecz także przez świadomość moralną, to znaczy przez przeżycia, w których odkrywają oni powinność bycia sprawiedliwym, przez przekonanie moralne miłości wobec człowieka, wreszcie przez motywację, która niejako „podpowiada”, że trzeba być sprawiedliwym wobec człowieka, bo jest tego godzien. A zatem stan świadomości moralnej kształtuje takie postawy jak: miłość, solidarność, sprawiedliwość.

* * *

Artykuł niniejszy jest pewną formą dopowiedzenia całej prawdy o ethosie Kaszubów, który utrwala w swojej literackiej twórczości A. Necel. Możemy w zakończeniu postawić twierdzenie, że takie fundamentalne postawy jak: sprawiedliwość, miłość, solidarność, patriotyzm i wiele innych, dzięki którym możemy mówić, że ethos Kaszubów widziany oczami Necla jest ethosem personalistycznego humanizmu, wyrosłym na gruncie określonej sytuacji geopolitycznej i historyczno-społecznej, jak również określonej świadomości moralnej Kaszubów.

Cziěj gburze z Gnieźdżewa

Kreban z Milachowa

Terosko jem często skolowacy. Chtęż bē nie bēł, cziěj bē go wēporailē w gęste gradla, skądka dodóm zawcōle wētrafic nie je letko. Nadcidnāł jem leno takā przepowiostkę. Po prōwdze nie szwaniłem po nieznōnēch perebusach, gdzie leno zwiērż dżęczy sznēkruje. Baro piękno zamachtac może sę człowiek w biōły dzeń na prostech szasejach, gdzie je teli wizrōw, co purchawkōw na grzēpie kole Zelōnkōw. Taczi przētrōfk ē mnie też potkōł. Wedōwało sę, że naji stara o kaszēbiznē zasługiwo choc na bēlne słowo. Przecę tak jak wiēc pierwiēj, tak ē dzysō jidze o to, żebē ruchna starēj, lēdowēj kulturē z dōwnēch czasōw cziēdē jesz orało sę we wolē, zōs wszētćziē noszēlē samorobny przyodzēwk, przeniesc w nasze czasē, w chtērnych rzādzi atom, telewizjō ē komputerē. Temu też sami Kaszubi (nie wszētćzi, nie wszētćzi) dōwajā bōczeniē na swojā domocēznę, żebē mowa starkōw nie zagināła, a kalinowō ē malinowō choranka nie wēcżęcniāła.

Dotādka jō wszētko rozmiēj. Nen snoży swjat zacznō mnie sę mēkcēc cziēdē od gduńszciech gazetōw, nie leno Kaszēbi, doždali sę jasernistej, jasnej oracēji: cēż ti niepleczny lubotnicē kaszēbstwa wēstwōrzajā, oni bē wiedzno chēcēl futrowac siebie ē jinszech lēdzy gōdkā, przepowiostkā, tuńcem ē ptōchami z drewna, kwiōtamē na obrusikach ze lnu. „Cēdziēm ta kaszēbizna na rozmaity ort” — taczīē sztołtnē zdaniē Tczēwortnē Czētińce moglē nalezć w „Dzenniku Bałtecciēm” pōrē ładnēch mniesacōw nazōd. Chtęż to wēgdulēł ze siebie takā „mādrosc”? Wastnā Barbarē Kalitē nawiedzēł wieszczy rozēm. Chutko tedē wżēła od jacziesgō Purtkā goguskę ē dalejżē oswieciwac tēch, co zaberowālē za dalek.

Przēwtōrzōł jeji cały chōr jinszech płōszczownikōw, a westrzōd nich jaczis Edward Derdowsczi (mnie sę widzy, że za tīm Derdowsczim chtos przekuretōwny sę tacēł). Chwaszczācy papiōrami chōr wołōł: „za wiele tego spiēwaniō, graniō ē tej pisaniē wēnēkanēj z drzewia kaszēbszcziēch tradycjōw. Nie dosc, że to wszētko pōchnie naftalinā, ale pod tumrōtami regionalnēj robotē po prōwdze wewołuje sę czōrne duchē ē szukō sę zamōwianie czarōw. Tego je ju kask za wiele! Szewczyk kaszēbsczi tan-cēje corōż to barziej apartny tuńc. Nōjwēższy czas, żebē go jinszych tuńcōw nauczēc. Jacziech? Wierę nech dyskotekowēch. Swjat jidze za technikā, a jaczies obarkniāle karna przednikōw regionalizmu zdrzā leno na gburską chēcē ē na malinēsczi, rodney ogrōdk skādka chcā wētricowac brzadnē dokōżē kulturē”.

Taczīēch z Milachowa powiōstkōw jō sę naczētōł jaż mnie w głowie zakolēbrowało. Żebē stōry Bacher Czōpięwsczi miōł w swoji sōdze tele wēgorzōw, co nech przērēbnych opowiescy, to bieda bē mu nie zazdrzāła w ślēpia. Chłopisko sę nie jiscēł na swōj żēwot. Dojadē bēł rozgorzony cziēdē czētōł, że niech-tērny Kaszēbi chcā ustawic przē szerocziēch steg-nach wizrē z kaszēbszcziimi nōpisami. Tejc to nie je prōwda. Starczēł, że jaczis niekaszēba rōż w czād-niku cos tacziego napisōł ē już w tīm widzy sę rękę kaszēbszcziēch biōtkarzy. Bacherk przēnōlēgōł do nech czētińcōw co czētalē ē czētajā wcāg stołeczne rzādnicziē. Niejeden rōż stojało w nich czōrno wē-

smarowane, że ogłowō polskō kultura je prawie jak wiōłdzi witraż, chtēren sklōdō sę z farwnēch kamōw regionalnēch kulturōw. Żle chcēmē bēc bogatszy, to muszimē chuchac na te rozmajitoscē wēdōkanē w re-gionalnēch mōlach. Sōm minister kulturē z taczīēm orēdżem cziēdēs wēstāpił. „Ē komu tu wierzēc” — pocziwōł skolowanā głowā stōry Bacherk.

Dłō mnie bēłō często pewny jedno: źle jidze o do-zeraniē ē rozwicē tego, co wērosło w malēch tat-czēznach, to we Warszawie nie brakuje zdrowego pozdrzātka ē tego, co sę okreslō mianem realizm. Tak Bacherkowi jak ē mnie widzāło sę zawdē, że pērzna realizmu brakuje u sasādōw. Nōjbleższim sasādem gduńszciego wojewōdztwa je Bydgoszcz. W tīm miesce nad Brdā drēkujā czādnik „Faktē”. Jō kupił rōż te „Faktē” ē czētōm articzēł Stefani Liskowskiē-Skurowēj „Kultura bez korzeni”. Cēż u Dioclīnca! Tu znōwka cos apartnego. Cały arti-czēł to jedno wiōłdziē chlichanie, że gduńszciej kul-turze odcētō korzenie. Że w slednēch latach urzēdnicē ē społēcnicē odcēli ostrā sēcziērā drzewiē kulturē od kaszēbszcziēgō kōrcza. Nie wierzyta? W czādniku „Faktē” z 30 lēpińca 1983 roku sā taczīe kwiōtczīe: „Historycznō refleksjō w dzysdniowēj kulturze Gduńska nie je obecnō... Sēc terenowēch placōwek kulturē nie bierze mocē z historii i tradēji swojēch zēm, bo nie je zadomowiōnō w kulturze regionalnej”. Dali pelno je wēpłoczkwō, że do znikwieniu przeszlē stare zwēcziē, że prawie umiarty je kaszēbsczi haft, lēdowi twōrcē nie majā nōlēżetēj pomocē, że za-boczono o Truskawkobraniu, Jarmarku we Wdzy-dzach i tak dali.

To je lēż! Wojewōdzczi Osrodek Kulturē we Gduń-sku baro wiele zrobił, żebē regionalnō kultura wē-lazła na szeroczi swjat. Chēba cos znaczy sōm Festi-wal Zespołōw Folklorystycznēch Polsczi Pōłnocnēj. Jarmark we Wdzydzach ē Truskawkobraniē na Złō-tēj Gōrze bēłē ē w tīm roku. Dożerowaniē twōrcōw lēdowēch ē usodcziē regionalnē wēdzrżā bēlniēj niźle tedē, cziēj nad lēdowoscā miała starē Wastna Lisz-kowskō-Skurowō.

Jo, tak to je sztołtnie na nim swjece. Jedny wēk-linajā Kaszēbōw, że za mocko sę zajimajā domocēz-nā ē cknā w tīm jaczis niebezpiek, jinszi (sasādē) cziēj ugardlony podnōszajā jiwer, że kaszēbscziē ko-rzenie sā szmergnięte na zaboczōne wzerzēsco a ka-szēbsczi region ostōł bez swojich mecenasōw. A trze-cy głos powiōdō, że obrany czierenk je dobrī ē że trzeba dali tak trzēmāc.

Co dwie głowē to nie jedna. Choc bē człowiek bēł nōbarzi uczali, to bē mu sę dwōjilo ē trojilo w oczach jak nōm z Bacherciem. Komu tu dac wiārę? Przē nech medytacējach czēlē żesmē sę jak w gęstim borze. Kureszce przēsłā nōm takō mēsl do głowōw: może jaczis Czētińc pōmoże nama wē-trafic na prostā stegnē ē oswiecy nōs co do tej re-gionalnej prōcē: cze mōmē ji we Gduńsku ē na Kaszēbach za mało, za wiele, cze też w sōm rōż?!

Pomōżta Drodzi Czētińce, bo jesmē z Bacherciem cziēj ti gburzē z Gnieźdżewa, chtērnim pomachtālē sę nodzi skorno usadlē na murawie ē zamoczēlē je we wodze.

Rzeczpospolita szlachecka żyła z morzem bez zaślubin, na kocią łapę. Wyniki były mierne. „Polak gdy orze — nie zna co to morze...” obowiązywało, podczas gdy sąsiedzi na morzu gruntowali swoją potęgę: Szwedzi, Duńczycy, niemiecka Hanza i Rosja Piotra Wielkiego. Nasze dzieje z tej epoki to zbiór mało znaczących zdarzeń, jak bitwa pod Oliwą, jak Władysława IV plan zbudowania nadbrzeżnej warowni albo budowa galeony w Elblągu, zresztą nie ukończona. Nie wykazywaliśmy gospodarczej aktywności z morzem związanej i prowadzonej na własny rachunek, więc nic trwałego z tego nie wynikło.

Druga Rzeczpospolita zaczęła od zaślubin z morzem wiosną 1920 roku. General Haller — rzecz znana mi z obrazu — wjechał w zatokę koniem i cisnął w fale złoty pierścień. Na brzegu roilo się od jego błękitnego wojska, a także cywilów z Pucka i okolicy, wszystkich tych Arendtów i Białków, Detlaffów i Jaszaków, Jeków i Janowśkich, co być może jeszcze żyją i pamiętają, jaki wówczas panował entuzjazm, jak dęto w puzony i walono w bębny, a potem o tym śpiewano, skąd nasz królewski szczerb piastowy. Co do pierścienia, to są tacy, co szukają go po dziś i jak nań natrafia, to będzie to sensacja na cały kraj i pożywka dla dysertacji naukowych o przemieszczaniu się rumowiska dennego w Zatoce Puckiej.

Zarty na bok, bo okazuje się, że sporo działo się nad skrawkiem morza po tragiczny 1939 rok. Ale jednocześnie mało, gdy za miarę wziąć liczebność narodu i jego ukryty potencjał. Aktywa znane: port gdyński, najnowocześniejszy wówczas nad Bałtykiem i wzniesiony zadziwiająco sprawnie, nowoczesne i duże miasto na dodatek, zaczątki handlowej floty, próby stworzenia przemysłu okrętowego. Dodajmy do tego marynarkę wojenną z kilkoma znakomitymi okrętami, która na Bałtyku nie miała szans, a zatem — chyba bluźnię? — sensu, dodajmy rybołówstwo kutrowe i łodziowe, szkolnictwo morskie na doskonałym poziomie z „Darem Pomorza” oraz Ligę Morską i Kolonialną, której m.in. zawdzięczamy Święto Morza jako instytucję i apetyt a to na Madagaskar, a to na Kamerun.

Ludowa Rzeczpospolita także posłubiła Bałtyk formalnie w Kołobrzegu i nawet fotoreporter przy tym był. Uzyskaliśmy, a ściślej wywalczyli 524 km morskiej granicy zamiast mizernych 140 i to już licząc dookoła Helu. Przypadły nam wielkie porty i te małe na wybrzeżu środkowym też i to z grubsza były atuty, z którymi trzeba było zacząć po raz trzeci.

Zróbmy teraz bilans. Jestem za odrzuceniem momentów emocjonalnych, jak owe święta morza, jak pokazy musztry, jak wychowanie morskie, maratony pływackie do i z Sopotu, bractwa żelaznej szekli, nautologia, a nawet, sorry, wspólnie wyczyny Samotnych Dam Oceanu — bo w końcu to nadbudowa tylko a nie materialna baza i z tego się pustawy polski mieszek nie napełni, a raczej chudnie. Proponuję natomiast uwagę ześrodkować na osiągnięciach czysto gospodarczych, a wtedy okaże się, iż każdemu zachwyconemu „ach!” towarzyszyć musi zakłopotane „tak, ale...” i że nie ma róży bez kolców. I taka będzie prawda najprawdziwsza, oczyszczona z narodowej megalomanii i hurra- optymizmu, jaki — niestety — odżywa w naszych środkach przekazu albo mass-mediumach. Oczywiście w niczym nie uwłacza to ogromnej pracowitości stoczników, portowców, rybaków czy

Powtórka

Często widzę przechodzącego ulicą Dąbrowską w Wielu staruszkę niosącego futeł z skrzypcami. To jeden z tych, którzy nie dla chwały i zaszczytów, ale dobra drugich i własnego zadowolenia pracowali przez całe życie — 83-letni Antos Skwierawski z Wiele (przepraszam za poufałość, ale wszyscy tak Go tu nazywają i pod takim imieniem powszechnie jest znany).

Urodził się 27 maja 1900 r. w Wielu, na Białej Górze okalającej Wiele od południa i przegladającej się w zwierniadle Jeziora Ciepłego, jako syn rolnika Jana Skwierawskiego i jego małżonki Marii. Młodość spędził tak jak inne dzieci kaszubskiej wsi: pasąc bydło i pomagając ojcu i starszym braciom w pracy na gospodarstwie.

Żył w rodzinie, w której w czasach niewoli pruskiej kultywowane były polskie tradycje narodowe. To z ojcem Antosia utrzymywał dobre stosunki ówczesny proboszcz wielewski — ks. Józef Szydzik, który w późniejszych latach budował na stokach Białej Góry słynną kalwarię wielewską.

Brat Antoniego, Stanisław, członek Zgromadzenia Księży Zmarłychwstańców, studiował wówczas w Rzymie teologię. W latach młodo-

dzywojennych był proboszczem polskiej parafii kościoła na Kahlenbergu w Wiedniu. W czasie okupacji był proboszczem w Warszawie, brał udział w powstaniu warszawskim, a po wojnie był proboszczem w Gniewie, gdzie zmarł.

Antos Skwierawski szkołę powszechną ukończył w 1914 r. w Wielu. Uczył go nauczyciel Masłowski, który ugruntował jego zainteresowania muzyczne, udzielając mu lekcji muzyki. Masłowski był także dyrygentem chóru kościelnego „Cecylia”, założonego w r. 1915 przez wikarego wielewskiego ks. Jaranowskiego, który wywarł wielki wpływ na zainteresowania muzyczne Antosia.

Po objęciu przez Masłowskiego stanowiska nauczyciela muzyki w Seminarium Nauczycielskim w Kościerzynie, dyrygentem chóru zostaje Antoni Skwierawski prowadząc go przez 12 lat. Miał szczęście i zaszczyt dyrygować występami chóru witałego wkraczającego do Wiele w styczniu 1920 r. polskie oddziały gen. Hallera. Chór pod jego kierownictwem uświetniał śpiewem nabożeństwa, akademie, przedstawienia i zabawy, których to imprez we Wielu nie brakowało. Także pod batutą p. Antosia chór miał zaszczyt wystąpić przed od-

marynarzy, w tej liczbie także tych tysięcy o brzasku dnia dojeżdżających z Kartuz, z Kościerzyny, z Redy czy z Wejherowa.

Z pracy dwóch już generacji powstał więc potężny przemysł okrętowy, to fakt — i branża ta zbudowała sporo milionów DWT statków towarowych, rybackich, promów czy statków specjalnych. Statki te co do jakości i nowoczesności mieszczą się w średnim standardzie światowym i są konkurencyjne — choć niekiedy tylko ceną — ale... Ale nie opanowaliśmy dotąd produkcji wielu ważnych i mniej ważnych elementów wyposażenia, w tym głównie elektroniki, automatyki — więc budowa wymaga importu za tzw. twarde dewizy, co przy eksporcie do I obszaru płatniczego stanowi problem; ale poczyniliśmy w stocznicach inwestycje wątpliwe wtedy, gdy światowe tendencje budowy olbrzymich zbiornikowców zaczęły wygasać; ale umiemy nieźle budować statki dotąd nie nauczyliśmy się nimi korzystnie handlować, czego dowodem niech będzie obecne zapłatanie się w budowę dwóch promów dla pewnego armatora o reputacji raczej wątpliwej oraz fakt, że kilka statków zbudowanych czeka — jak butki na półce — na nabycie.

Mamy sporą flotę handlową, zbudowaną zresztą wbrew logice w obcych stocznicach i to tam, gdzie robocizna jest najdroższa. Tak, ale z remontami tychże statków w kraju były, są i będą zawsze trudności. Co gorsze flota ta starzeje się fizycznie a stanem skorodowania kadłubów i nadbudówek przewyższa statki greckie i statki tanich bander — i starzeje się moralnie, mając takie statki jak RO-RO czy CONRO co najwyżej w tzw. ilościach śladowych. Ma także superzbiornikowce w nadmiarze i kłopot z tym, gdzie je najtaniej uwić.

Dawno temu przepędziliśmy z rybołówstwa szyprów Holendrów i złomowaliśmy trawlerzy parowe łowiące z burty oraz pechowce lugrotrawlerzy z serii „ptaszków” — inwestując pokaźnie w rozwój rybołówstwa dalekomorskiego, w przetwórstwo i bazy. Ale okazało się, że był to kierunek chybiony, oderwany od ekonomiki i od polityki. Połowy potężnie spadły, koszt tony ryby kalkuluje się coraz wyżej, nie ma zaplecza lądowego, a wreszcie różni egzotyczni współnicy każą sobie słono płacić za zezwolenie na połowy, nic do spółki nie wnosząc. Statki są już przestarzałe i nieekonomiczne. Co dalej? Mamy wreszcie Urząd Gospodarki Morskiej, ale gdy o rybołówstwo morskie idzie jakoś nie widać decyzji.

Górnicy znów tego fedrują, więc baza węgla w Porcie Północnym jest wykorzystana — ale baza paliw płynnych stoi bezczynnie i chyba nigdy nie ruszy. W budowę bazy rudy włożono sporo środków, ale jej zaniechano. Terminal kontenerowy w Gdyni dopiero raczkuje. W starych portach urządzenia się sypią, a na rzetelne oczyszczanie akwenów portowych brak pieniędzy.

Gdy piszę łzami ten felieton — słyszę, iż Marszałek Sejmu prof. Gucwa będąc w Gdyni zapowiedział posiedzenie naszego parlamentu, wyłącznie poświęcone sprawom gospodarki morskiej. Jest to bardzo dobra wieść pod warunkiem, że się na debacie nie skończy. Tymczasem reforma gospodarcza przechodzi obok uprawy morza jakby bokiem — a tylko „do trzech razy sztuka...” i historia, jeśli polską obecność nad Bałtykiem zmarnujemy, może nam nie dać więcej szans.

Miask.

wiedzącymi. Wiele dostojników, m.in. prezydentami Rzeczypospolitej Stanisławem Wojciechowskim i Ignacym Mościckim, księżmi biskupami Okoniewskim i Dominikiem.

W okresie odbywania służby wojskowej w latach 1920—23 jest członkiem orkiestry wojskowej 8 pułku Artylerii Lekkiej w Płocku.

Po powrocie z wojska udziela się jako instruktor muzyki w zespole mandolistów „Arion”, w chórze Wicka Rogali „Żaba” i w chórze kościelnym „Cecylia”, gdzie prowadzi dyrygenturę z przerwami do 1939 r. Poza ukochaną muzyką bierze udział w życiu kulturalnym wsi.

W okresie okupacji na Białej Górze, w mieszkaniu p. Antosia gromadzą się sąsiedzi, przyjaciele. Słuchają radia, polskich melodii płynących ze skrzypiec Antosia. Antoni Skwierawski włącza się w nurt życia podziemnej organizacji, udziela nauki muzyki i kontaktuje się z ukrywającymi.

Po wojnie 45-letni Antoni zarabia na utrzymanie pracą na roli, ale nie rezygnuje z ukochanej muzyki, organizując różne zespoły. W latach 1957—72 prowadzi, wynagradzany ryczałtowo, zespół mu-

zyczny przy szkole im. Wicka Rogali w Wielu.

W księdze protokołów Rady Pedagogicznej w Wielu znaleźć można w tym okresie niemałą ilość zapisów i uwag, pochlebnie świadczących o pracy zespołu mandolistów, złożonego przeciętnie z 36 uczniów szkoły. M.in. dnia 16 czerwca 1958 r. zapisano: „Bardzo dobrze pracował zespół muzyczny, którego opiekunem jest kol. A. Skwierawski. Z tej racji szkoła nasza otrzymała dyplom za pracę pozalekcyjną”.

W r. 1972 — 31 sierpnia — ówczesne władze oświatowe w Chojnicach rozwiązują z A. Skwierawskim umowę, tłumacząc brakiem kwalifikacji zawodowych nie pozwalających na zatrudnienie. Antoni Skwierawski znalazł się bez środków do życia. Obejmuje pracę jako stróż w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Wielu, gdzie pracuje tylko 4 lata, z braku sił nie wypracowując sobie prawa do renty inwalidzkiej. Z pomocą przychodzi Ministerstwo Kultury i Sztuki udzielając zasiłku okresowego.

W r. 1976 po otwarciu Gminnego Ośrodka Kultury w Wielu p. Antosia przystępuje do organizowania zespołu mandolinistek, którego wy-

stępy cieszą się wielką popularnością wśród mieszkańców oraz licznych wczasowiczów i turystów odwiedzających Wielę. W r. 1977 otrzymuje dzięki pomocy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego przez okres 1 roku zapomogę.

Archiwum osobiste p. Antosia jest dosyć zasobne. Są w nim gratulacyjne pisma za osiągnięcia w dziedzinie szerzenia kultury, dyplomy i odznaczenia. M.in. w r. 1964 otrzymał Odznakę 1000-lecia, w 1978 odznakę Nauczyciel-Wychowawca Młodzieży, w 1978 odznakę Zasłużony Działacz Kultury, w 1979 odznakę Zasłużonym Ziemi Gdańskiej, w 1980 Złotą Odznakę ZNP. Jednakże przykro, że władze kulturalno-oświatowe nie wystąpiły z wnioskiem o nadanie Antoniemu Skwierawskiemu Orderu Odrodzenia Polski, bo w świadomości społeczeństwa wielewskiego zupełnie na to odznaczenie zasługuje. A nie odznaczono go nawet Złotym Krzyżem Zasługi przyznanym nauczycielom za nienaganną pracę pedagogiczną.

Antoni Skwierawski całe swe siły poświęcił muzyce i dziś pod wieczór swego życia może powiedzieć: talentów, jakie otrzymałem nie roztrwonilem, ale uczciwie je

pomnożyłem, dzieląc je z młodszymi.

Muzyce poświęcił to co mógł, a prawie nic za to nie otrzymał, nie wszystko co robił było doceniane. Pan Antoni o tym nie mówi, jest zbyt skromny.

Może nasze władze kulturalno-oświatowe wezmą pod uwagę trudną sytuację życiową samotnego, starego działacza i przyznają rentę specjalną, by ten wieczór życia p. Antoniego był naprawdę pogodny.

Józef Lipski

X JARMARK WDZYDZKI

Było to prawdziwe święto folkloru. Przez dwa dni — 22 i 23 lipca — Wdzydze Kiszewskie rozbrzmiewały śpiewem i muzyką ludową. Na estradzie amfiteatru w Kaszubskim Parku Etnograficznym zaprezentowały się liczne zespoły pieśni i tańca, zespoły wokalne i kapele. Gościnnie wystąpił i spotkał się z serdecznym przyjęciem zespół polonijny „Podlasie” z Brunsum w Holandii, bawiący właśnie na Ziemi Kościerskiej. Z wielu atrakcji jubileuszowego jarmarku należy odnotować poza tym paradę żaglówek na jeziorze, konkurs wędkarski, skoki spadochronowe, a także pokaz wędzenia ryb, który demonstrował Antoni Jaszewski, mieszkaniec Wdzydz.

Zgodnie z charakterem imprezy urządzono rozliczne stragany, w tym ze sztuką ludową i rękodziełem. Prezentowano wszelkie rodzaje wytwórczości — od garncarstwa po wyroby w drewnie. Oglądając wyroby miejscowych twórców, m.in. hafty i plecionki rodziny Hinców, można było się przekonać, że Wdzydze Kiszewskie nadal zasługują na miano wsi artystów ludowych. Z typowo handlowych do najbardziej obleganych należało stoisko Zakładów Porcelany Stołowej „Lubiana”, które dostarczały ceramiki za 7,5 mln zł (14 ton!). Można było także — jeśli dopisała cierpliwość, bo kolejki ustawiały się tasemcowe — nabyć atrakcyjne towary przemysłowe. Za najbardziej i najlepiej zaopatrzone stoiska rzemieślnicze i handlowe przyznano, podobnie jak w latach ubiegłych, dyplomy i okolicznościowe patery. Otrzymali je: Janina i Zenon Kiszelińscy (ceramika szlachetna), Jadwiga i Janusz Maleccy (ludowe wyroby z drewna), Adam Borczyko (ceramika użytkowa), Bernard Jarzebiński (piekarz) i Gerard Pinker (kierownik sklepu odzieżowego WPHW w Kościerzynie).

Takiego natłoku uczestników jak w tym roku nie notowano w dziesięcioletniej tradycji imprezy. Oblicza się, że w czasie trwania jarmarku przez Wdzydze przewinęło się ponad 30 tysięcy osób. Zjechali około 2 tysiącami samochodów osobowych i kilkuset autokarami.

Podczas jarmarku nie zapomniano o postaciach najbardziej zasłu-

żonych dla wsi, o założycielach skansenu wdzydzkiego. Na grobie Teodory i Izidora Gulgowskich przedstawiciele władz i zespołów folklorystycznych złożyli wiązanki kwiatów. Ta uroczystość poprzedzona przemarszem orkiestry dętej z „Lubiany” i odegraniem hejnału otworzyła dwudniową imprezę, bardzo udaną i znakomicie zorganizowaną. (Sz)

ISTVAN BALÓ NA KASZUBACH I KOCIEWIU

W lipcu przebywał w Gdańsku wielki miłośnik kultury regionalnej, dyrektor Centrum Kultury z Pèsu — Istvan Baló. Odwiedził Kościerzynę, Wiele, Starogard, Tczew, Puck, Kartuzy, a także Gdańsk, Gdynię i Malbork. Zwiedził nasze muzea regionalne i szereg aktualnych wystaw. Zapoznał się z dorobkiem twórczym Zygmunta Bukowskiego z Mierzeszyna, z pracą Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego we Wieżycy i zespołu „Kaszuby” w Kartuzach. Był gościem Jarmarku Wdzydzkiego i klubu filmowego „Alka” w Pucku.

Istvan Baló przebywał na zaproszenie Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Gdańsku. Kaszuby i Kociewie zyskały na Węgrzech obok Vince Lajosa kolejnego orędownika. W Pèsu wystąpił już zespół „Kaszuby” z Kartuz, zaprezentowano wystawę sztuki ludowej Kaszub i Kociewia oraz wystawę fotografii Zygmunta Reszki z życia rybaków morskich. (Jot-ka)

FESTIWAL ZESPOŁÓW FOLKLORYSTYCZNYCH

Po dwuletniej przerwie znowu gościli w Gdańsku zespoły folklorystyczne z Polski północnej. Festiwal, siódmy już z kolei, zorganizowany przez Wojewódzki Ośrodek Kultury w Gdańsku, przypadł w okresie trwania Jarmarku Dominikańskiego, wzbogacając program towarzyszących mu imprez. Wystąpiły 22 zespoły z dziesięciu woje-

wództw północnych — od szczecińskiego po białostockie. I — co warto podkreślić — każdy z występów odbywał się przy wypełnionej po brzegi, ogromnej przecież sali Wielkiego Młyna. Publiczność dopisała wyjątkowo, o miejscach siedzących nie było mowy, jeśli nie przyszło się dostatecznie wcześniej, „galeria” widzów pod ścianami i przy wejściach wypełniała szczerlnie każdy metr kwadratowy. Nawet w ostatnim dniu przeglądu, w czasie gdy na Długim Targu prezentowano barwne widowisko kostiumowe „Wesele gdańskie”, Wielki Młyn był pełen widzów. Wspominam o tym na samym początku, gdyż ta imponująca frekwencja, w okresie gdy nie brakowało różnych jarmarkowych atrakcji, najlepiej świadczy o zainteresowaniu folklorem. Nie tylko, jak to wróżyli sceptycy, nie maleje ono, ale przeciwnie jakby przeżywa swój renesans.

Było co oglądać i okłaskiwać. Przez estradę przewinęły się w ciągu dziesięciu dni zespoły duże (liczące ponad 100 członków), i małe, prezentujące folklor w jego autentycznym wydaniu i stylizowany. Repertuar obejmował obrzędy i zwyczaje (podlaskie przedstawił zespół „Klecociaki” z Boćków w woj. białostockim, kaszubskie — „Bazuny” z Leżna), pieśni, tańce, przyspiewki, gadki. Co ciekawe wiele zespołów spoza Kaszub miało w swym repertuarze kaszubskie akcenty (np. Zespół Pieśni i Tańca „Złoty Kłos” z Goleniowa czy Pyrzycka Kapela Ludowa). Być może był to ukłon w stronę organizatorów festiwalu, ale nie wymóg. Zespoły prezentowały dobry poziom, co sprawiło że cały festiwal trzeba ocenić wysoko. Jury (M. Zacharewicz, K. Szalaśna, J. Właśniewski, A. Sutowski, R. Gleinert) nie miało w tej sytuacji łatwego zadania. Trzy główne nagrody „Bursztynowego Neptuna” przypadły: w kategorii zespołów prezentujących folklor autentyczny — Regionalnemu Zespołowi Pieśni i Tańca „Kaszuby” z Kartuz; w kategorii zespołów przedstawiających folklor autentycznie opracowany — „Olsztynowi”; w kategorii folkloru stylizowanego — „Powiślu” z Kwidzyna.

Ta ostatnia kategoria — dodam

KLEKA

na marginesie — wzbudziła pewne kontrowersje. Na przykład pod adresem Kaszubskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Kościerzyna” padł zarzut, że postawił „na doskonałość techniczną”, jakby perfekcyjność była rzeczywiście czymś nagannym. Dobrze, że wiele zespołów stara się ocalić autentyczny folklor, potrzebne są jednak także próby nowatorskiego przetwarzania tego, co pozostawiły poprzednie pokolenia. Czy „Kościerzyna”, która powstała znacznie później niż kartuskie „Kaszuby”, powinna była powtórzyć ten wzorec czy szukać własnego wyrazu? Sądzę, że kościerski zespół jest na właściwej drodze i zdoła znaleźć swoje miejsce wśród gamy różnorodnych — na szczęście! — zespołów kaszubskich. (Sz)

ROGATKI BEZ „MYTA”

Po alarmach, że Półwyspowi Helkiemu grozi zdeptanie i rozjeżdżenie zdecydowano się w tym roku ograniczyć ruch samochodów. Przy wjeździe ustawiono roгатki. Strażnicy — studenci zatrudnieni przez dyrekcję Nadmorskiego Parku Krajobrazowego — wpuszczali tylko taką ilość samochodów, jaką mogą pomieścić parkingi w Jastarni, Juracie i Chałupach. Zmotoryzowanym turystom wręczano karty wjazdu ze wskazaniem miejsca postoju. O ile w dni powszednie na ogół nie było trudności z wjazdem na półwysep, o tyle w soboty i niedziele już w godzinach rannych u jego nasady tworzyły się korki, chętnych było o wiele więcej niż miejsc na parkingach (360). W prasie lokalnej pisano o szturmie na helskie roгатki, próbach przekupienia strażników, którzy jednak „myta” nie pobierali i w ogóle o nieporozumieniach i spięciach. Ci, dla których zabrakło kart wstępu mogli co prawda przesiąść się do autobusu wahadłowego, kursującego z Władysławowa, ale z tej możliwości korzystano niezbyt często. Można to złożyć na karb niedobrych przyzwyczajzeń „samochodziarzy”, którzy najchętniej wjechaliby na samą plażę, można jednak zrozumieć niechęć do pozostawiania aut w odległym Władysławowie, jeśli uwzględnić, że wielu zmotoryzowanych turystów wozi w nich sprzęt turystyczny i własną „gastronomię”.

Decyzję o ograniczeniu ruchu na półwyspie (obowiązywała od 1 lipca do 15 września) należy uznać za słuszną, bo trzeba go chronić. Czy jednak po tegorocznych doświadczeniach nie należałoby po-

większyć ilości miejsc na parkingach? Możliwości nie są nieograniczone, ale dwa, trzy dodatkowe parkingi zapobiegłyby atmosferze szturmu i nerwowości na roгатkach. (Sz)

PŁONĄCE BŁOTA

Tegoroczne lato, wyjątkowo upalne i suche, obfitowało w pożary, w ilości nie notowanej od dawna. Płonęły lasy, zabudowania i nawet bagna. Niezwykle groźny pożar wybuchł na terenie Karwieńskich i Bielawskich Błot. Trwał tydzień i rozprzestrzenił się na obszarze 1200 ha. W akcji ratunkowej brało udział codziennie 10 sekcji straży pożarnej z rejonu Pucka, Wejherowa i Pruszcza Gdańskiego. Strażaków wspomagały jednostki wojskowe. Straty oceniono na 2,8 mln zł. Niewymierne są szkody we florze i faunie, gdyż cały obszar torfowisk, rozciągających się na południe od Karwi i Ostrowia, a na północ od Klanina i Sławoszyna, stanowi wielki rezerwat przyrodniczy. A właściwie stanowił, bo — jak pisze Alfons Sikora w „Osobliwościach i zabytkach przyrody województwa gdańskiego” — „bezładna i rabunkowa gospodarka oraz zrywanie wierzchnich warstw pokrywy roślinnej przez miejscową ludność dla celów opałowców doprowadziło do zniszczenia prawie całego obiektu”. Zagospodarowaniem części torfowisk zajęło się przed laty Gdańskie Przedsiębiorstwo Leśnej Produkcji niedrzewnej „Las” wprowadzając tu plantacje borówki amerykańskiej. Czy przy okazji tej rekultywacji nie naruszono stosunków wodnych? Z relacji o groźnym pożarze, który wywołał przestrach w najbliższej okolicy, wykorzystywanej na liczne obozowiska harcerskie, nie dowiedzieliśmy się o przyczynach wyjątkowej „suszy na bagnach”. (Sz)

RATOWANIE STAREJ ZABUDOWY

W Kościerzynie jest wiele starych domów, które wymagają pilnie remontów. Większość z nich znajduje się w pobliżu rynku i składa się na starówkę, dziś już o charakterze zabytkowym. Przez wiele lat mówiło się o potrzebie jej rewaloryzacji, ale deklaracjom z braku funduszy nie towarzyszyły czyny. W tym roku na sesji Rady Narodowej Miasta i Gminy doszło wreszcie do uchwalenia planu rewaloryzacji śródmieścia. Potrwa

kilka lat. Przewiduje się zachowanie wyglądu starej zabudowy, a jednocześnie dostosowanie wnętrza do obecnych potrzeb i wymogów, doprowadzenie wody, założenie kanalizacji i centralnego ogrzewania. Wiele bowiem starych domów jest nie tylko w złym stanie i bez przeprowadzenia kapitalnych remontów grozi im całkowite zniszczenie, ale i warunki w jakich mieszkają lokatorzy są wyjątkowo złe.

Jak stwierdził w „Głosie Wybrzeża” naczelnik Witold Cerowski prace już się rozpoczęły. W tym roku wyda się na ten cel 8 mln zł. Właścicielom prywatnych domów udzielane są bezzwrotne pożyczki do wysokości 140 tysięcy zł. Skorzystało z nich już 15 właścicieli. Jeśli uchwała rady narodowej zostanie wykonana, kościerska starówka będzie uratowana, śródmieście zyska na wyglądzie, a mieszkańcy na standardzie. (Sz)

PIĘKNE MADONNY

W artykule „Kaszubskie piękne Madonny w sztuce filigranistycznej Pomorza Gdańskiego” Franciszka Pabicha zamieszczonego w „Pomeranii” nr 6 br. chochlik drukarski przemiescił podpisy pod reprodukcjami filigranów. Podpis ze strony 31 dotyczy filigranu lewego na stronie 32 i odwrotnie. Przepraszamy. Red.

ZDJĘCIE KALWARII WIELEWSKIEJ TADEUSZA LORKA

Liczne zdjęcia Kalwarii Wielewskiej zamieszczone wraz z artykułem ks. Zdzisława Ossowskiego w „Pomeranii” nr 5 wykonał Tadeusz Lorek z Wiela. Autora za pominięcie nazwiska i Czytelników przepraszamy.

Redakcja

Z LĘBORKA

24 i 25 lipca Oddział Lęborski ZK-P sprzedawał książki Zrzeszenia, ceramikę Necla i specjalne patery wykonane przez „Lubianę”. Dochód przeznaczony był na fundację tablicy upamiętniającej działalność Szczepana Gracza.

13 i 29 lipca oddział zorganizował spotkanie nauczycieli przebywających na wczasach w Lęborku z kustoszem Muzeum Pieśni i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie — Edmundem Kamińskim. (St. F.)

Warunki prenumeraty

1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:

- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach;
- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:

- osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
- osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę wyłącznie

w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”;

3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy;

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

- do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny,
- do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Prenumerata w kraju: roczna — 480, półroczna — 240, kwartalna — 120. Prenumerata za granicę dla osób indywidualnych: roczna 540, półroczna 270, kwartalna 135; dla instytucji: roczna 720, półroczna 360, kwartalna 180.